Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042
Nr indeksu 36762

NUMER 51/52 (1395/1396) ROK XXVII 22 – 29 GRUDNIA 1984 ROKU CENA 25 ZŁ

NAKŁAD 50 TYS.

Spokojnych, pogodnych Świąt i pomyślności w Nowym Roku Naszym Czytelnikom

życzy zespół „Odgłosów"

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Polecamy świąteczne lektury:

Fragmenty czterech powieści z naszego zapasu:

★ **„Biały punkt" Wiesława Rogowskiego**

★ **„Letni dom wampirów" Bogdana Loebla**

★ **„Wątpliwości gubić po drodze" Karola J. Stryjskiego**

★ **„Wahadło" Jacka Sawaszkiewicza**

Relacje zagraniczne naszych reporterów:

★ **Romana Kubiaka z „dywanowego rejsu" do Hamburga**

★ **Renaty Sas z włoskiej wyprawy łódzkiej filharmonii**

★ **Dariusza Dorożyńskiego z Pragi**

Rozmowy:

★ **Pawła Tomaszewskiego z wróżką**

★ **Bogdy Madej z piłkarzem Markiem Dziubą**

★ **Jolanty Wrońskiej antyhorror o starej damie z lorgnon**

★ **Ryszarda Binkowskiego kryminalną opowieść o „Wigilii Bolka i Lolka"**

★ **Lucjana Olszewskiego „Boks stary jak świat"**

★ **Jarosława Łaskiego o podróży poślubnej w budce dróżnika**

★ **Ciąg dalszy „Rapiera Napoleona"**

Następny numer „Odgłosów" ukaże się 2 stycznia 1985 roku

Odgłosy

Adres redakcji: 90-438 Łódź, al. Mickiewicza 11.
Telefony: redaktor naczelny i sekretariat redakcji: 36-52-44, zastępca redaktora naczelnego, sekretarz redakcji: 36-80-99.
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas.
P.o. sekretarza redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu literackiego: Igor Sikirycki.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Karol J. Stryjski, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk
Stałe współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Brvl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" 90-950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów

Warunki prenumeraty: I dla instytucji i zakładów pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach. — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2 dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch" 3 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddziału w Warszawie nr 1153-201045-139-11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykła jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 3661. E-2.

Odgłosy

Przegląd prasy

W ubiegłym tygodniu krajowa opinię publiczną wzburzyły wydarzenia we Włoszczowej. Spora część gazet codziennych przedrukowała artykuł „Modlitwa czy polityka?" Anny Krawieckiej z kieleckiego „Słowa Ludu", a bulwersujący reportaż wyemitowała w ubiegły piątek Telewizja.

We Włoszczowej, w miejscowym Zespole Szkół Zawodowych uczniowie, namówieni przez katechetów wywiesili w klasach krzyże; po ich usunięciu przez administrację szkolną podjęli „strajk okupacyjny" w obronie — jak mówią — swej „wolności wyznania"

We Włoszczowej funkcjonariusze kościelni otworzyli

KOLEJNY FRONT „WOJNY O KRZYŻE"

— wojny nie wypowiedzianej, wojny, od której z całą mocą odżegnują się przedstawiciele władzy państwowej ale wojny z lubością prowokowanej przez katolickich ekstremistów.

„Jak się to wszystko zaczęło? Niepozornie — relacjonuje głosy włoszczowskich uczniów Anna Krawiecka — *Ksiądz zapytał niedawno, czy mamy krzyże w klasie, dziwił się, że nie. Spytał, czy chcemy mieć. Pewnie, że tak. Załatwił je, poświęcił. I później zawiesiliśmy je, choć dyrektor nie wyraził na to zgody. Nauczyciele też nie byli zadowoleni. Że zacznie się strajk? Nie, tego nie braliśmy pod uwagę. Nie przewidzieliśmy, że krzyże zostaną zdjęte. A że akurat taką formę protestu obraliśmy. Innej nie znamy".*

Z rozmów kieleckiej dziennikarki z uczniami włoszczowskiej szkoły wynika jeszcze, że to wcale nie z potrzeby zamanifestowania wiary zrodziła się „awantura krzyżowa" ale po prostu, z nudów. Tak jest. Bo oto młodzi powiadają: *„(...) Wydrukują, że jedyną rozrywką we Włoszczowej jest to co oferuje Kościół? W Domu Kultury nic się nie dzieje, w szkole po południu również. Nikt nam nie poświęca tyle uwagi, czasu co księża Pedagogowie, do których mamy zaufanie, można policzyć na palcach. Gdy w domu źle, gdzie z tym iść? .. Jesteśmy po trzy lata w ZSZ i co? Czy mieliśmy choć jedną wycieczkę, choć jedną wyprawę do teatru? (...) Dorośli przypominają sobie o nas, gdy trzeba salę podczas akademii wypełnić".*

Gorzkie to słowa. Znając realia gminnych prowincjonalnych miasteczek, nie ośmieliłbym się zakwestionować prawdziwości wyrzekań młodych włoszczowian. Ich szkoła jest prawdopodobnie, jak tysiące innych szkół, bezdusznym kombinatem nastawionym na produkcję kolejnych roczników jako tako, podkształconych „roboli". Młodzi zaś nie potrafią (poza jednostkami wybitnymi) być samowystarczalni — ani w kulturze, ani w sporcie, ani w ogóle w życiu społecznym. Muszą się tego gdzieś nauczyć, muszą mieć wzorce zachowań i potrzeb, autorytety i idoli.

Nie ulega wątpliwości, że mamy współcześnie do czynienia z kulturalną i ideologiczną ofensywą kościoła katolickiego. Inwestycje kościelne, to nie tylko obiekty służące modlitwie — to całe zaplecze katechetyczne, sui generis domy kultury, wyposażone w sale koncertowe, supernowoczesna aparaturę elektroniczną itp. atrakcyjne cudeńka wprost z zachodniego importu. W oparciu o te bazę kościół podjął walkę o umysły i dusze młodzieży daleko poza sferą nauczania zasad wiary.

Przypadek Włoszczowej świadczy dowodnie o tym, że niektórzy z funkcjonariuszy kościelnych zamierzają iść dalej z tą ofensywą — dalej: to znaczy przeciw porządkowi prawnemu w państwie, jakoby wypróbowując granice cierpliwości władz i badając ich determinację. Mamy tu bowiem do czynienia — w mikroskali oczywiście — z obrazą Konstytucji, z pogwałceniem praw fundamentalnych Rzeczypospolitej. Przede wszystkim jest to

POGWAŁCENIE PRAWA DO WOLNOŚCI SUMIENIA I WYZNANIA

oraz zasady świeckości szkoły.

Wolność to prawo demonstrowania i narzucania innym swych własnych poglądów i wiary. Młodzi nie szanują praw swego państwa, bo ich nie znają, nie rozumieją albo wyrastali dotąd w aurze powszechnego gwałcenia tych praw w sprawach codziennych. A tolerancję znają tylko jednostronnie — potrafią jej domagać się dla siebie, nie dając jej innym.

Natomiast dorośli inspiratorzy włoszczowskich zdarzeń, prowokatorzy i moralni terroryści z kapłańskimi święceniami, doskonale wiedzą co robią, jaką prowadzą grę. Chciałbym wierzyć, że są to wyizolowani z masy umiarkowanych sług kościoła ekstremiści. Na utwierdzenie się w tym mniemaniu jedno mi nie pozwala — to milczenie przedstawicieli hierarchii duchownej, zbyt długie milczenie, które jest aprobatą i poparciem. Czyżby zatem ów rozkudłany ksiądz Marek z gitarą spełniał rolę harcownika-zwiadowcy, który siłę przeciwnika rozpoznaje walką? (że posłużę się terminologią wojskową)...

We Włoszczowej funkcjonariusze kościoła zadają kłam twierdzeniom swych zwierzchników o umiłowaniu i pragnieniu spokoju, ergo: kompromitują ich wiarygodność. Obrażeni zwierzchnicy nie protestują. We Włoszczowej kapłani zadają kłam Chrystusowi, który twierdził niegdyś że królestwo jego nie z tego jest świata...

(Dopiero po dwóch tygodniach „akcji" biskup sufragan kielecki nakłonił księży, ich pomocników i uczniów do opuszczenia szkoły. Niewykluczone że pod wpływem opinii publicznej, która — jak się zdaje — nie udzieliła poparcia ekstremistom w sutannach i nawiedzonym „krzyżowcom").

Jakby na marginesie tych wydarzeń i bez jakiegokolwiek, nawet aluzyjnego, związku z nimi tkwią systemowe rozważania Jana Rema w „Samosądach" („Tu i Teraz" nr 50 — 12.12.84), o tym czy właściwie używamy słowa „opozycja" i co ono właściwie oznacza.

Jan Rem słusznie zauważył, że zaszło tu istotne nieporozumienie definicyjno-leksykalne, które w istotny sposób zaważyło na obrazie Polski w oczach polityków i społeczeństw świata, głównie tzw. Zachodu. Jan Rem pisze, że *„W rozumieniu ludzi Zachodu*

OPOZYCJA STANOWI NIEODZOWNĄ CZĘŚĆ PRZYZWOITYCH STOSUNKÓW POLITYCZNYCH

W tamtejszych krajach dzisiejsza opozycja to jutrzejsza władza i odwrotnie. (.) Opozycja legalna, parlamentarna i wpływowa różni się od sił mających w danym momencie władzę polityczną z reguły nie tak bardzo. Jest ona dajmy na to za obniżeniem skali podatków, drożeniem kredytów, dewaluacją waluty, rozwinięciem niektórych programów socjalnych (...). Taka jest realna skala opozycyjności tej opozycji, która pod ochroną prawa uczestniczy na Zachodzie w wolnej grze sił...).

Opozycja działająca na Zachodzie nie wysuwa projektów przeniesienia swych krajów z NATO do Układu Warszawskiego, zniesienia własności prywatnej środków produkcji (...).

Przyzwyczajony do takiej treści znaczeniowej słowa „opozycja" przeciętny przyzwoity zachodni obywatel rzyma się, że my tu w Polsce sadzamy „opozycję" do więzień, zwalczamy i tropimy. Polski reżim jest zły...

A tymczasem... *„To co w Polsce określane jest mianem opozycji, nie daje się porównać* — pisze Jan Rem — *do opozycji działającej w społeczeństwach Zachodu. Ta polska opozycja nie jest „wewnątrzsystemowa". Ona nie tai swoich bezpośrednich powiązań z przeciwstawnym obozowi socjalizmu blokiem polityczno-militarnym. Przyznaje się do tożsamych z nim dążeń i celów, korzysta z jego poparcia politycznego, z urządzeń propagandowych i zasilania materialnego(...)".*

W końcu Jan Rem konstatuje: *„Brakuje słowa na nazwanie tych w Polsce ugrupowań, które na Zachodzie i u nas określane są mianem opozycji.*

Zgadzam się z Janem Remem, że to nieporozumienie, że doprowadziło ono do wzl dzania antypatii wobec polskich władz że zaciemnia kontury i racje naszej polityki wewnętrznej. Ale żeby brakowało słowa? Ejże, język polski zna sporo

ZE SWEJ STRONY PROPONUJĘ: ZDRAJCY

Chyba będzie odpowiadało treści?...

Ale dość o sprawach ponurych, co nie znaczy, że będzie teraz od razu wesoło, tym bardziej, że o Sejmie. O jakości naszego współczesnego ustawodawstwa kilka już razy wypowiadałem się powątpiewająco. Na ogół dlatego, że nowo stanowione

PRAWA NIE WYTRZYMUJĄ KONFRONTACJI

z życiem. Stąd liczne poprawki, nowelizacje i projekty zmian. Jak sądzę, los taki czeka ustawę o szkolnictwie wyższym, której postanowienia mocno podobno doskwierają administracji, utrudniając jej życie — idzie o ograniczenie (może tylko czasowe) nadmiernie, zdaniem resortu, rozbudowanej samorządności uczelni, ułatwiającej anarchię i prowadzenie działalności antypaństwowej.

„Życie Warszawy" opublikowało dwie opinie — zwolennika nowelizacji prof. dr Mieczysława Serwińskiego posła na Sejm z Łodzi i prof. dr Andrzeja Kopffa z Krakowa — przeciwnika zmian. Dwugłos ten relacjonuje „Polityka" (nr 50 — 15.12.84). Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie nader osobliwa metoda autora tej relacji-komentarza — pana M. R. (byłbyż to Marek Rostocki?)

Kolega M. R. przytacza argumenty obu profesorów (nie ukrywam że jeden z argumentów prof. Kopffa — *„pośpiech, wszelkie działania intuicyjne, lub co gorzej emocjonalne, nigdy nie są wskazane"* — przekonuje mnie szczególnie, choć i argumentów prof. Serwińskiego nie odrzucam). Ale po co taki komentarz odautorski: *„4 maja 1982 roku, w szóstym miesiącu stanu wojennego, poseł prof. Serwiński głosował w Sejmie za ustawą w jej obecnym brzmieniu. Półtora roku po zniesieniu stanu wojennego ma wątpliwości czy zrobił słusznie".*

Co ma do tego stan wojenny? Za tym przymrugnięciem oka kryje się kilka wyjątkowo paskudnych sugestii wobec prof. Serwińskiego: jedna z nich to posądzenie o koniunkturalizm i słabość charakteru — wręcz uleganie przed siłą militarną. Tak się nie godzi. Poza tym głosowania w naszym parlamencie, aczkolwiek jawne, przez podniesienie ręki, nie są imienne i nie wolno nikomu naruszać przywileju posłów do anonimowości głosowania, chyba że oni sami publicznie stwierdzą jak głosowali (a tego prof. Serwiński nie zrobił). Faux pas, kolego M. R.!

Tydzień temu ustalaliśmy, skąd się biorą dzieci. Dziś pytanie o mniejszej doniosłości społecznej, a mianowicie

SKĄD SIĘ BIORĄ DZIENNIKARZE?

Problemem tym zajął się ostatnio nawet Zarząd Główny SD PRL. W relacji z tego posiedzenia stwierdzono: *„Podstawową sprawą jest właściwy dobór kandydatów do szkół dziennikarskich, jak i treści programu, zbyt obecnie przeładowanego teorią. Do tego, aby wykonywać sprawnie obowiązki dziennikarskie nie wystarczy legitymowanie się dyplomem ukończenia studiów; potrzebne są predyspozycje psychofizyczne i świadomość wagi swej pracy".*

Idę dalej — potrzebna jest iskra boża, talent po prostu, którego nie zastąpią żadne studia i kwity; tego nie sposób się nauczyć, z tym trzeba się urodzić. Studia dziennikarskie? Owszem, są użyteczne — jako formuła niekosztownego, a miłego spędzania czasu dla młodzieży płci obojga. Z dyplomem gorzej — przekonują się o tym rzesze „magistrów dziennikarstwa", antyszambrujące bezskutecznie po redakcjach, sfrustrowane i oburzone tym, że daje się przed nimi pierwszeństwo jakimś ludziom prosto z ulicy.

To właśnie jest okrucieństwo i uroda tego fachu — że nie tylko gwiazdor z pierwszych stron centralnych pism i telewizyjnego ekranu, ale każdy ciura z prowincjonalnej zakładówki musi mieć w sobie to coś, co sprawia, że go czytają, słuchają i rozumieją — nawet gdy go nienawidzą. Dla „nauczonych" nie ma miejsca w naszym zawodzie.

TOMASZ SAS

Czas

Nie należał do „niepokalanych", jak mówiła Wera Kostrzewa o tych, co to zwykle mieli rację, co nigdy nie błądzili, nie mylili się, bo zawsze trzymali się „linii", z żaglem pełnym wiatru.

Po raz pierwszy stanął na czele partii w momencie dla PPR nader tragicznym. W krótkim czasie partia traci swoich dotychczasowych przywódców: ginie Marceli Nowotko, a hitlerowcy aresztują Pawła Findera i Małgorzatę Fornalską. Po wyzwoleniu pierwsze lata jego sekretarzowania przypadły na okres likwidacji tragicznych skutków wojny. Był to także czas ostrych polemik w partii, programowych sporów. Przegrywa ze swoją koncepcją „polskiej drogi do socjalizmu". Odchodzi z życia politycznego, wypowiadając na jednym z ostatnich zebrań te twarde i szczere słowa: *„Idźcie i powiedzcie, że Wiesław, choć zbłądził, zawsze jest z partią".*

Odtąd wszyscy się od niego odsunęli. Aktyw nader szybko pogodził się z utratą niedawnego przywódcy. Na III Plenum partii, został usunięty z Komitetu Centralnego, a następnie w sierpniu 1951 roku aresztowany.

Powrócił do partii na funkcję I sekretarza KC w warunkach ostrego kryzysu politycznego, jaki miał miejsce w Polsce po czerwcowych wydarzeniach w Poznaniu.

Powrócił do władzy niczym mąż opatrznościowy w atmosferze wielkiego w nadziei polskiego października, fetowany, pozdrawiany przez tłumy wielokrotnym skandowaniem: *Wiesław! Wiesław!...*

Odszedł ze sceny politycznej w dniach tragicznego przesilenia grudniowego 1970 roku.

DOŚĆ WIECOWANIA I MANIFESTACJI

Na VII Plenum KC partii (lipiec 1956 r.) uchylono część zarzutów kierowanych pod adresem Władysława Gomułki. Wielu członków KC było wówczas zgodnych co do tego, iż Gomułce *„trzeba zwrócić deptaną godność, zwrócić legitymację partyjną, umożliwić powrót do działalności politycznej".* Jednakże ówczesne Biuro Polityczne uparcie domagało się, aby Wiesław zaaprobował generalną linię partii i przyznał się do zarzuconego mu w 1948 r. odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego. Tak więc personalne animozje, uprzedzenia, uparte doktrynerstwo wzięło górę nad politycznym realizmem, nad trzeźwą oceną napiętej sytuacji w kraju.

Zasadniczy zwrot w sprawie Gomułki oraz w sytuacji kryzysowej w Polsce, dokonał się dopiero na kolejnym, VIII Plenum KC PZPR. Obradowało ono w dniach od 19 do 21 października 1956 r.

VIII Plenum rozpoczęło swoje obrady w bardzo nerwowej, pełnej napięcia atmosferze. Członkom plenum znane już były planowane zmiany w składzie kierownictwa partii. Doszła już wiadomość, że do Warszawy przybędzie delegacja radziecka z I sekretarzem KPZR Nikitą Chruszczowem. Jak wspomina Jan Ptasiński *„wszystko to było dość zaskakujące".* W zagajeniu plenum Edward Ochab oświadczył, iż porządek posiedzenia ulegnie zmianie m.in. w związku z przybyciem do stolicy delegacji KPZR. Biuro Polityczne zadecydowało, że w rozmowach z radzieckim kierownictwem reprezentować je będzie dokooptowany do składu KC, kandydat na I sekretarza partii Władysław Gomułka. Nie zaproponowano dyskusji. Na tym posiedzenie przerwano.

Wizyta radzieckiej delegacji nie była zapowiedzianą. Stwarzało to w gorącej atmosferze tamtych dni okazję do plotek i domysłów. Rosło polityczne napięcie. Z nadzieją wyczekiwano zwrotu w tej skomplikowanej sytuacji. Tymczasem rozmowy prowadzone w Belwederze przez całą noc Ptasiński: *„nerwowe, ostre, otwarte i szczere".* W ich efekcie wytworzyła się sytuacja, która pozwoliła na rozwiązanie kryzysu polskiego środkami politycznymi, pokojowymi. Nazajutrz N. S. Chruszczow odleciał do Moskwy.

Druga faza polsko-radzieckiego dialogu toczyła się już na Kremlu. W listopadzie przybyła do Związku Radzieckiego polska delegacja partyjno-rządowa z Władysławem Gomułką na czele.

20 października w godzinach porannych rozpoczęły się właściwe obrady VIII Plenum KC PZPR. Debatę zainaugurował referat wygłoszony przez Gomułkę. Wiesław dokonał w nim oceny przyczyn kryzysu, efektów realizacji wielkiego skoku industrializacyjnego, stanu gospodarki oraz sytuacji międzynarodowej. Wiele miejsca w referacie zajęły sprawy partii. Wyciągając wnioski z *„nauki Poznania"* Gomułka konkludował m.in.:

„(...) Utrata kredytu zaufania klasy robotniczej oznacza utratę moralnej podstawy sprawowania władzy. Rządzić krajem można nawet w takich warunkach. Tylko rządy będą wówczas złe. Muszą się bowiem opierać na biurokracji, na łamaniu praworządności, na przemocy".

Nowo wybrany I sekretarz KC zapowiadał w swoim przemówieniu programowym daleko idące zmiany w systemie sprawowania władzy, w sposobach zarządzania gospodarką, w metodach pracy partyjnej, wreszcie — w życiu społecznym kraju. *„Trzeba* — konkludował — *krótko mówiąc wymienić wszystkie złe części z naszego modelu socjalizmu, zastąpić je lepszymi, udoskonalić ten model najlepszymi gotowymi wzorami i wnieść do niego własne, doskonalsze konstrukcje".* Wielu odczytywało te słowa Wiesława jako chęć powrotu do bronionej z takim zapałem do 1948 roku doktryny *„polskiej drogi do socjalizmu".* Analizując przemówienia programowe Gomułki oraz jego późniejsze wystąpienia, a przede wszystkim poddając ocenie posunięcia praktyczne, decyzje polityczne nowego I sekretarza, sądzić należy, iż rachuby tego typu były chybione, bezzasadne.

W dwa dni po przełomowym, VIII Plenum KC PZPR, 24 października 1956 roku, Gomułka przemawiając na wiecu do ludności Warszawy surowo ocenił odstępstwa od zasad socjalizmu, które stały się przyczyną nagromadzenia w społeczeństwie polskim *„zła, nieprawości i bolesnych rozczarowań".* Równocześnie nowy przywódca partii dzielił się z narodem wiarą, iż *„lata te minęły bezpowrotnie w przeszłość"*, apelując na koniec swojego krótkiego przemówienia:

„Dzisiaj zwracam się do ludu pracującego Warszawy i całego kraju z wezwaniem: dość wiecowania i manifestacji! Czas pójść do codziennej pracy..."

Sytuacja kryzysowa w Polsce została zażegnana. Sądzić także można, iż Władysław Gomułka uznał przełom październikowy za dokonany, a tym samym także za zakończony aktywny udział robotników w rozwiązywaniu politycznego kryzysu. Klasa robotnicza nadal wiązała z I sekretarzem KC wielkie nadzieje na doprowadzenie procesu odnowy do końca. Choć przyznać trzeba, że były i takie postawy: poparliśmy Wiesława i czego więcej od nas chcieć?...

Były więc z jednej strony — październikowe nadzieje, wola działania na rzecz odnowy, wyrażana jeszcze przez znaczną część społeczeństwa, ale i powoli wypalający się entuzjazm. Z drugiej zaś strony — stanowisko Gomułki skłaniającego się ku poglądowi o konieczności zakończenia etapu „wiecowania", stałego odwoływania się do mas.

Odtąd trud dalszego etapu rozwiązywania problemów, które w tak ostrym kształcie ujawnił kryzys czerwcowy, na siebie stosunkowo

Odgłosy

przełomu i nadziei

wąskie grono kierowniczego aktywu politycznego. Na tym etapie popaździernikowej odnowy Gomułka odnosił się jeszcze z pewną rezerwą do żywiołowego procesu rodzącej się samorządności robotniczej. *(„Skuteczność tej formy w budowaniu socjalizmu jest warunkowana przede wszystkim świadomością klasy robotniczej i jednocześnie ma wpływać na kształtowanie się świadomości robotniczej".* Wł. Gomułka, „Przemówienia 1956—1957", s. 163). Taka postawa Gomułki wynikała zapewne i z tego, iż niektórzy utożsamiali poparcie partii dla ruchu samorządowego z orientacją Wiesława i nowego kierownictwa PZPR na model jugosłowiański. Stąd na przedwyborczym spotkaniu w styczniu 1957 roku padło pytanie: *„Czy partia i rząd są istotnie przekonane, że wprowadzany obecnie w Polsce jugosłowiański model gospodarczy (rady robotnicze) spełni swe zadanie, i czy nie będzie tak samo błędne, jak dotychczasowe wzorowanie się na modelu radzieckim?"*

Gomułka replikował: *„Wypracowywanie dróg rozwoju budownictwa socjalistycznego najlepiej dostosowanych do warunków każdego kraju, jak też do warunków konkretnego okresu historycznego i konkretnego układu sił klasowych tak w skali danego kraju, jak w skali światowej, jest naczelnym obowiązkiem partii robotniczych i komunistycznych (...) Socjalizm w istocie rzeczy jest tylko jeden. Są tylko różne drogi prowadzące do zbudowania go. Samorządy robotnicze to nic innego, jak określona forma budowy socjalizmu".*

W tydzień później 14 stycznia 1957 r. w przemówieniu wygłoszonym na kolejnym spotkaniu przedwyborczym kandydatów do Sejmu, Wiesław rzucił hasło głosowania na listę FJN, głosowania bez skreśleń.

Władysław Gomułka w swoim przedwyborczym przemówieniu radiowym wygłoszonym w dniu 19 stycznia 1957 roku wyjaśnił:

„Wysuwamy hasło głosowania bez skreśleń dlatego, że wszystkie reakcyjne siły agitują bądź za skreślaniem czołowych kandydatów z ramienia PZPR, bądź też wzywają do skreślania wszystkich kandydatów. Wzywając do skreślania czołowych kandydatów, różni wrogowie władzy ludowej ukrywają swoje cele pod płaszczykiem wyboru miejscowych kandydatów. Starają się oni wykorzystać niewiadomość wyborców, umawiając im, że miejscowy poseł będzie lepiej dbał o sprawy swego terenu!..) Nasz polski Październik może żyć i rozwijać się, kiedy razem z jego zwolennikami zostaną wybrani do Sejmu wszyscy jego czołowi organizatorzy i przywódcy".

Po *„całej prawdzie"* o kryzysie 1956 roku wypowiedzianej ustami nowego I sekretarza KC PZPR, po entuzjastycznym przyjęciu Wiesława przez społeczeństwo, Polacy pragnęli wierzyć, iż powrotów historii już nie będzie. Były na to szanse. Były ku temu atuty. Mieczysław F. Rakowski komentując tamten okres stwierdza („Przesilenie grudniowe"): *„Odeszły już w przeszłość czasy szturmowszczyzny, rewolucyjnych haseł i powojennej biedy. Polska dysponowała niemałą bazą przemysłową i nową ludową inteligencją pochodzenia robotniczego i chłopskiego. Inny wymiar przybrały także aspiracje ludzi pracy..."*

Wydaje się, iż Władysław Gomułka w swoim październikowym programie odnowy niedostatecznie uwzględniał zmiany w świadomości polskiej klasy robotniczej (szczególnie nowej jej generacji), które zachodziły pod wpływem wydarzeń czerwcowych i październikowych. Klasa ta, której dojrzałość polityczną w ocenie *„nauk z Poznania"* Wiesław tak wychwalał, aspirowała odtąd coraz szybciej do roli rzeczywistego hegemona w państwie i społeczeństwie. Towarzyszyć temu winien proces oczekiwanych i niezbędnych zmian w systemie demokracji socjalistycznej.

OSIĄGNIĘCIA PAŹDZIERNIKA

Po XX Zjeździe KPZR nie był już w zasadzie możliwy nawrót do praktyk okresu *„błędów i wypaczeń"*. Kierownictwa partii komunistycznych i robotniczych europejskich krajów socjalistycznych zdawały się wyciągnąć nauki z polskiego czerwca i tragedii węgierskiej. Rozpoczęła się *„długa odwilż"*, oznaczająca powrót do leninowskich norm życia społecznego i politycznego. Jednakże ponowny wybór jesienią 1956 r. na I sekretarza KC PZPR Władysława Gomułki nie mógł oznaczać równoczesnej możliwości kontynuacji jego doktryny z lat czterdziestych. Stał teraz na czele innej partii, która była kierowniczą siłą polityczną tego samego narodu, ale innego już społeczeństwa. Musiał w swoim programie politycznym zmiany te uwzględnić.

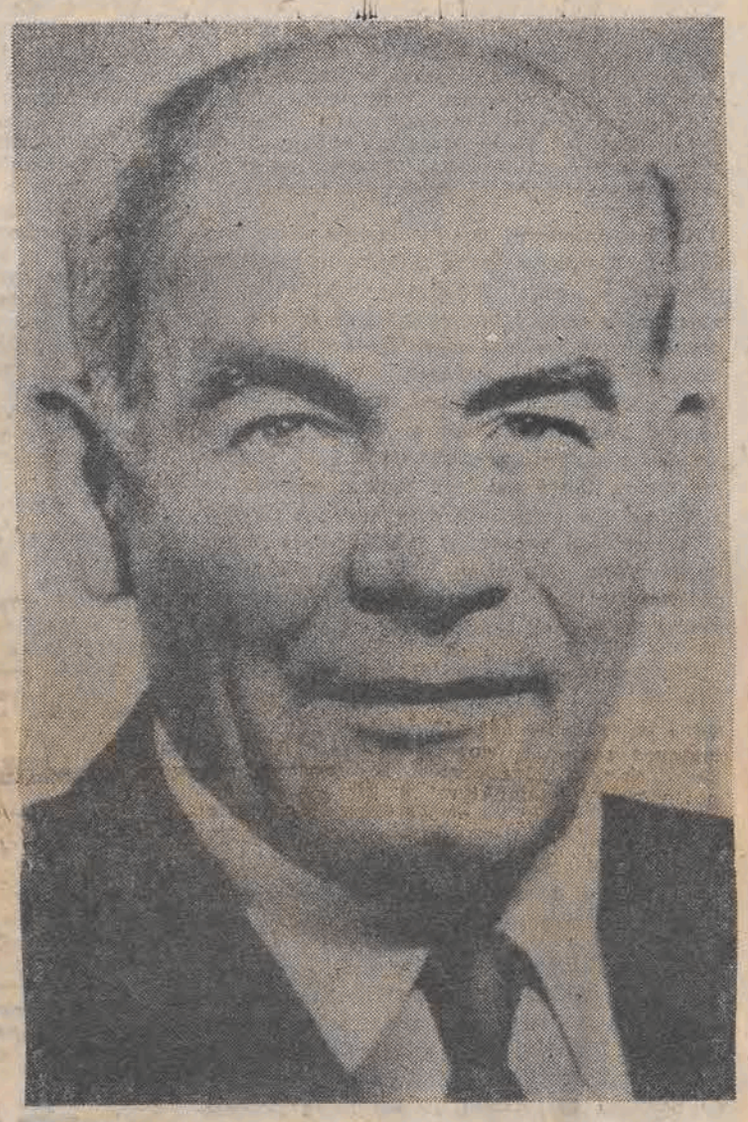

Można jednak, jak się wydaje mówić o osiągnięciach *„polskiego października"* o trwałych przemianach, które dokonały się w naszym kraju po przełomowym VIII Plenum KC PZPR. Między innymi uporządkowano i umocniono stosunki pomiędzy Polską a Związkiem Radzieckim, przez co stworzono obiektywne warunki do zahamowania fali antyradzieckich nastrojów. Potwierdzając silną więź łączącą narody radzieckie i Polaków Władysław Gomułka, przemawiając na wiecu ludności Warszawy, określił zasady te w sposób następujący:

„Wzajemne stosunki między partiami i państwami obozu socjalizmu, zespolonego wspólnotą celów i interesów, nie powinny dawać powodów do żadnych nieporozumień. Na tym polega jedna z głównych cech socjalizmu. Stosunki te winny się kształtować na zasadach międzynarodowej solidarności robotniczej, winny być oparte na wzajemnym zaufaniu i całkowitej równości praw, na udzielaniu sobie wzajemnej pomocy i przyjacielskiej krytyce, jeśli zaistnieje taka konieczność, na rozumnym i wynikającym z ducha przyjaźni i z ducha socjalizmu rozwiązywaniu wszelkich spraw spornych.

W ramach takich stosunków każdy kraj winien posiadać pełną niezależność i samodzielność, a prawo każdego narodu do suwerennego rządzenia się w niepodległym kraju winno być w pełni i nawzajem szanowane".

Tak rozumiane zasady przyjaźni, współpracy i internacjonalizmu stały się wytyczną w rozmowach prowadzonych w listopadzie 1956 roku. Porozumienie polsko-radzieckie zawarte wówczas na Kremlu dotyczyło m.in. przyznania radzieckiej pożyczki dla Polski, umożenia zadłużenia na zasadach rekompensaty za poprzednie dostawy węgla po tzw. cenach umownych oraz ustalenia nowych warunków pobytu wojsk radzieckich w Polsce. Strona radziecka wyraziła także zgodę na przeprowadzenie dodatkowej akcji repatriacyjnej, w której wyniku powróciło do kraju wiele tysięcy Polaków.

Popaździernikowe przemiany przyniosły wiele zmian o charakterze politycznym. Zlikwidowano nadrzędność służby bezpieczeństwa nad partią. Rozpoczął się niełatwy proces przywracania praworządności. Wszczęto przewody rehabilitacyjne. Do lutego 1957 roku komisje rehabilitacyjne PZPR przywróciły członkostwo ponad 1500 byłym działaczom PPR i PPS, niesłusznie usuniętym z partii po 1948 r. Przywrócono także pełne prawa członkom partii w stosunku do których w latach pięćdziesiątych zastosowano wszelkiego rodzaju nieuzasadnione sankcje, rygory lub kary.

Po roku 1956 nastąpił również stopniowy proces liberalizacji w sferze kultury i nauki. Odstępowano od zakusów komenderowania twórczością artystyczną i naukową. Rozpoczął się proces powrotu do samorządności wyższych uczelni.

Poważnym przemianom uległy stosunki międzypartyjne. Nie rezygnując z kierowniczej i przewodniej roli PZPR w systemie, postanowiono przywrócić autentycznie sojuszniczy charakter i pozycję ZSL oraz SD.

Radykalnej poprawie uległy stosunki z Kościołem. W ostatnich dniach października 1956 r. został zwolniony z klasztornego odosobnienia prymas Polski ks. kardynał Stefan Wyszyński. Jeszcze w okresie kampanii przedwyborczej do nowego Sejmu, tj. w styczniu 1957 roku, z inicjatywy Gomułki został podjęty dialog z Kościołem. Przywiązując wielką wagę do uzyskania porozumienia z Kościołem, do przezwyciężenia wszelkich podziałów rozbijających jedność narodową, partia deklarowała, że będzie kierować się w dziedzinie polityki wyznaniowej zasadą, że państwo winno traktować kwestię wiary i praktyk religijnych jako prywatną sprawę każdego obywatela. Pomimo oporów i nieufności, poczucia krzywdy, prymas przyjął propozycje Gomułki. 12 stycznia 1957 roku rozpoczęły się pierwsze rozmowy pomiędzy kardynałem Wyszyńskim i premierem Cyrankiewiczem.

Na fali wydarzeń październikowych zmianom ulegały także stosunki w zakładach pracy. Zainicjowano ruch rad robotniczych i samorządu pracowniczego. Stanowić miały one (rady i samorząd) gwarancję wywierania realnego wpływu przez załogi na sprawy zakładów i instytucji. Związki zawodowe zapowiadały, iż w większym niż dotąd stopniu strzec będą i wykorzystywać przynależne im funkcje obronne i rewindykacyjne.

Odtąd też *„krew przelana za ojczyznę liczyć się miała jednakowo"*. Realizacja tego hasła poprzez rehabilitację tych, którzy walczyli za Polskę na froncie zachodnim i byłych żołnierzy AK, odegrała istotny wpływ w odbudowywaniu jedności patriotycznej narodu.

Niewątpliwym osiągnięciem *„polskiego października"* było uniknięcie tragicznych wydarzeń, które miały miejsce na Węgrzech. Udało się w Polsce jesienią 1956 roku nie dopuścić do tragedii narodowej, uniknąć tym samym tysięcy niepotrzebnych ofiar, rozwiązać ostry kryzys środkami politycznymi. Ważną rolę odegrał wówczas autorytet i siła osobowości Władysława Gomułki, który zrazu zyskał poparcie znacznej większości społeczeństwa. Choć trzeba przyznać, iż motywy tego poparcia były bardzo różnorodne. Robotnicy akceptując nową linię i gomułkowski program partii, dawali tym wyraz swojej wierze, zaufaniu żywionym dla Wiesława. W jego programie popaździernikowej odnowy doceniali chęć rozwiązywania interesów i potrzeb klasy robotniczej. Poparcie dla Wiesława ze strony niektórych środowisk opozycyjnych wynikało zaś z rachuby na drugi etap tzw. pełnej liberalizacji systemu. Owi „liberałowie" liczyli na pogłębienie się różnic ideowych i politycznych w partii, będących skutkiem niekonsekwentnej walki z rewizjonizmem oraz osłabieniem PZPR starym, zasiedziałym w jej szeregach dogmatyzmem. Jak stwierdza Mieczysław F. Rakowski: *„Władysław Gomułka nie był pochopny w wyciąganiu wniosków personalnych, nawet wobec osób, które w stosunku do niego zachowały się nielojalnie"*. Oznaczało to w praktyce pozostawienie po październiku na wpływowych stanowiskach w aparacie politycznym, gospodarczym i administracyjnym wielu osób odpowiedzialnych za doprowadzenie do kryzysu czerwcowo-październikowego, obciążonych przeszłością *„okresu błędów i wypaczeń"*.

Najbardziej ograniczony, połowiczny i niekonsekwentny charakter miały przemiany w gospodarce. Co prawda odstąpiono ostatecznie od administracyjnej, przymusowej kolektywizacji rolnictwa, rozwiązano nierentowne spółdzielnie, ale nie opracowano w porę i nie wdrożono kompleksowego przyszłościowego programu rolnictwa z uwzględnieniem jego specyfiki (przewagi drobnych i średnich gospodarstw chłopskich). Nie wykorzystano także w szerszym, wymaganym stopniu możliwości zreformowania zarządzania gospodarką. Nie przerwano w zasadzie tempa forsownej industrializacji, kontynuując ten program do końca 1958 roku. Pozytywną stroną takiego wyboru było doprowadzenie do końca uruchamiania zakładów, których wznoszenie rozpoczęto w okresie sześciolatki.

Następował co prawda dość wydatny wzrost stopy życiowej ludności, ale działania podjęte w tym zakresie ledwo likwidowały powstałe w okresie wcześniejszym zaniedbania i opóźnienia. W wyniku zmniejszenia inwestycji w przemyśle ciężkim, skierowano szerszy strumień środków do przemysłu lekkiego, na rolnictwo i cele nieprodukcyjne. Jednakże bardziej istotne zmiany w strukturze podziału dochodu narodowego oraz kierunkach preferencyjnych w gospodarce nastąpiły dopiero po roku 1959.

Oceniając dziś, z perspektywy historii odnowę październikową uznać ją trzeba za nie w pełni i nie do końca wykorzystaną szansę, pomimo że dała ona początek wielu bezspornym i znaczącym przemianom następującym po VIII Plenum KC partii. Była ona realizowana z dużymi oporami, niekonsekwentnie, nie dość stanowczo. Stąd też nie stała się w tym stopniu, jak tego oczekiwano szansą i gwarancją uniknięcia w przyszłości gwałtownych załamań, zwrotów i kryzysów.

Wbrew intencjom i nadziejom Wiesława, nie stało się tak, jak to zapowiadał z trybuny przełomowego VIII Plenum KC partii.

NADZIEJE I ZAWODY

Odpowiedź na pytanie, dlaczego obietnice Wiesława i wielkie, rozbudzone w październiku nadzieje społeczne zawiodły, daje w pewnej mierze analiza gomułkowskiego programu odnowy. W najogólniejszym zarysie program ten zakładał:

1. Przede wszystkim przyjmował on już w założeniu, w swojej istocie nader pobieżną a w praktyce realizowaną niekonsekwentnie reformę życia społeczno-gospodarczego. Na takim myśleniu i działaniu — jak się zdaje — zaciążył pogląd, że wystarczy jedynie zlikwidować najbardziej drastyczne niedomagania, uporać się ze szczególnie widocznymi, w społecznych skutkach najbardziej bolesnymi deformacjami, a osiągnie się to, co tak odważnie kreślił Gomułka w swoim programowym wystąpieniu: *„(...) trzeba wymienić wszystkie złe części z naszego modelu socjalizmu"*. W efekcie jedynie zniwelowano deformacje, nie przezwyciężając ostatecznie błędnych, nieprawidłowych czy anachronicznych wypaczeń strukturalnych w gospodarce i życiu społecznym.

2. Brak było również bardziej konsekwentnego działania w zakresie odcinania się od obciążeń i wypaczeń poprzedniego okresu i to zarówno w życiu społecznym, jak i politycznym. Ograniczano się do podejmowania kwestii najbardziej palących, nierzadko rozwiązywanych w sposób pobieżny. Usuwano rażące bezprawie oraz ulegały likwidacji administracyjne naciski kolektywizacyjne. Brakowało jednak jasno i w pełni określonej wizji samorządu robotniczego i terytorialnego, modernizacji systemu sprawowania władzy, nowego pojmowania kierowniczej i przewodniej roli partii oraz nowych rozwiązań w sferze stosunków i instytucji demokracji socjalistycznej.

3. Odnowa 1956 roku, to także ograniczone posunięcia kadrowe. Wskutek tego zachowano w zasadzie ciągłość jednej ekipy. Tymczasem rzeczą historycznie dowiedzioną jest to, iż wszelkie rzeczywiste, wielkie zwroty dziejowe potrzebują gruntownej zmiany w kręgu elit (ekip) władzy, kierownictwa partyjnego (i nie jest to tylko problem tzw. rozliczeń).

W tym okresie w szeregach partii nie ujawniały się podziały i różnice poglądów tak silne, jak to obserwowano w dobie sporów z gomułkowską koncepcją polskiej drogi do socjalizmu. Nie oznacza to jednak, iż w partii, również w jej kierownictwie, nie było już rozdźwięków, przeciwstawnych poglądów, szczególnie w aspekcie wyboru kierunków i zakresu zmian realizowanych w ramach popaździernikowej odnowy. We władzach partii, w aparacie państwowym i administracji pozostawały jeszcze osoby, na których spoczywała odpowiedzialność za politykę „błędów i wypaczeń". Ludzie ci, jak wspomina Ryszard Wojna: *„z osobistej ekspiacji postalinowskiej chcieli uczynić ekspiację partii"*. Największe niebezpieczeństwo dla kontynuacji procesu odnowy stanowili w partii dogmatycy z tzw. grupy natolińskiej.

4. Władysław Gomułka, który otrzymał od społeczeństwa tak wielki kredyt zaufania w tak trudnym okresie, nie wykorzystał w pełni ani historycznej szansy, ani poparcia narodu. Nie potrafił zdobyć się na zmiany radykalne, nie wybrał drogi zasadniczych reform, ale swoiście rozumiany centryzm. Był to w istocie kompromis, który nikogo do końca nie zadowalał i który w efekcie nie mógł przynieść trwałych, jednoznacznie pozytywnych, nowatorskich rozwiązań.

Należy dodać, iż na dość szybki kres aktywności nurtu odnowy lat 1956-1957 miały wpływ także i inne czynniki, w tym także sytuacja międzynarodowa oraz skutki węgierskiej tragedii. Jednym z owych czynników był stosunkowo słaby stopień mobilności politycznej mas. Chodzi głównie o świadomą, dojrzałą mobilność klasy robotniczej. Dlatego też pomimo że w niektórych organizacjach partyjnych rozmaitych środowisk życie polityczne toczyło się jeszcze długo wartkim nurtem rozbudzonych w październiku nadziei, to były to już tylko wyjątki, efemerydy w masach partyjnych, ostygających w bierności politycznej i ideologicznej. Kiedy zarzucano potem np. młodzieży, że zbyt prędko porzuciła idee i ducha października, że uciekła w zakamarki apolityczności, do piwnic studenckich, do klubów, w działalność kulturalną, działacze nowo powstałych związków młodzieżowych odpowiadali najczęściej: przecież poparliśmy Wiesława!

Do tego rodzaju werbalnego poparcia zbyt wielu, nie tylko młodych, ograniczało swoją rolę i aktywność w procesie popaździernikowych przemian. To także jedna z przyczyn nie wykorzystanych w pełni szans tamtej odnowy.

Gomułka zwykle przy takiej okazji replikował podobnie, jak to uczynił w czerwcu 1957 roku na warszawskiej konferencji partyjnej, kiedy gromił podobnego rodzaju „malkontenctwo":

„Można mieć stanowisko krytyczne wówczas, o ile to krytyczne stanowisko wypływa z dobrej woli, z dążenia do szukania prawdy, do wzmocnienia prawdy, do ulepszania pracy partii. Tymczasem mnie się wydaje, że wielu towarzyszu zajmując krytyczne stanowisko nie wychodziło z tych założeń".

W rozważaniach na temat przyczyn *„odchodzenia od idei października"*, szczególnie w sferze władzy, należy zapewne uwzględnić także uwagę Mieczysława F. Rakowskiego zamieszczoną w cytowanej już książce pt. „Przesilenie grudniowe".

„Pomijając współodpowiedzialność najbliższego otoczenia należy wziąć pod uwagę fakt, że w całej strukturze partii komunistycznej, zwłaszcza rządzącej, pozycja I sekretarza jest obiektywnie wyposażona w nierzadko szerokie pełnomocnictwa. Posiada on ogromną władzę i dlatego tak ważne ma znaczenie prawdziwe, codzienne funkcjonowanie mechanizmów kontrolnych nie pozwalających na nadużywanie otrzymanej od partii władzy".

Można przywoływać jeszcze wiele różnorodnych faktów, zdarzeń i zjawisk ze wskazaniem, iż są to powody lub warunki, które w sumie złożyły się na to, iż październikowym nadziejom już w 1957 roku, a szczególnie na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych zaczęły towarzyszyć także popaździernikowe zawody i zwątpienia. Zapewne nie wyczerpałyby one wciąż od nowa zadawanych pytań o przyczyny ograniczonego powodzenia (i ograniczonego zakresu) tamtej odnowy. Sądzę jednakże, iż istnieją już ku temu warunki, dostatecznie odległa perspektywa historyczna oraz autentyczna społeczna potrzeba kontynuowania prób udzielania chociażby cząstkowych odpowiedzi na te pytania, które w gruncie rzeczy są pytaniami o najnowsze dzieje Polski Ludowej.

KAROL JÓZEF STRYJSKI

MAREK MAMOS

Świat na komputerach

Ekran monitora zajaśniał błękitnym światłem. Chwilę potem pojawiły się pierwsze żółte litery — What is your name? — zapytał komputer — My name is Marek — odpowiedziałem. Hello Marek. Nice meet you.

Komputer osobisty wygląda tak, jakby z maszyny do pisania zostawić same klawisze. Część oznaczono literami, inne cyframi, na pozostałych zaś widnieją niezrozumiałe dla laika symbole. Kilka mikroskopijnych, kolorowych lampek kontrolnych mruga magicznym światłem. Jest cały czarny i zaskakująco mały. Jednych w pierwszej chwili onieśmiela, wprawia w zakłopotanie. Drudzy powątpiewają, czy to maleństwo wielkości szkolnego piórnika jest aby na pewno inteligentnym komputerem, który potrafi prawie wszystko? Czy rzeczywiście można dla niego oszaleć tak jak to stało się z Amerykanami?

„Początkowo — mówi pan Krzysztof Ilewicz — *mikrokomputer służył mi tylko do zabawy. Ale po pewnym czasie zacząłem sam pisać programy. Ułożyłem na przykład taki program na dodawanie dla moich córek. Jedna ma pięć, druga sześć i pół roku. Nie można ich oderwać od komputera*".

Przed rozpoczęciem gry w szachy komputer trzeba „naładować". Program został zapisany na najzwyczajniejszej magnetofonowej kasecie firmy Stilon — Gorzów, a przekazywany jest do komputera za pomocą popularnego Grundiga tak jakbyśmy nagrywali muzykę z radia. Na drugim końcu, na wyjściu, znajduje się kolorowy monitor systemu PAL. Na naszych Rubinach czy Jowiszach obraz jest niestety czarno-biały. Może być też podłączona drukarka albo głośnik. Tak jest — on mówi — jeszcze trochę niewyraźnie, ale już własnym głosem.

W szachy można grać na jednym z dziewięciu poziomów. Na najniższym wykonuje ruchy szybko, ale mniej precyzyjnie. Na wyższych potrafi „myśleć" kilkanaście godzin. Program jest jednak mniej elastyczny niż ludzki rozum. Człowiek z miejsca — na pierwszy rzut oka odrzuca wiele ruchów złych lub niemożliwych do wykonania. Komputer przed każdym posunięciem musi wykonać miliony obliczeń. Wszystko musi sprawdzić. Taki ma program.

To co przy szachach stanowi o jego słabości w innych dziedzinach sprawia, że jest niezastąpiony. Potrafi na przykład kontrolować jednocześnie kilkadziesiąt parametrów procesu technologicznego. Umie reagować na wszelkie ich odchylenia od normy. Potrafi przechowywać informację, zapamiętać kilkadziesiąt tysięcy nazwisk, adresów, kont bankowych. Może być nauczycielem każdego szkolnego przedmiotu, a jednocześnie towarzyszem zabaw w długie zimowe wieczory. Komputer jest maszyną i dlatego jego zastosowania są takie same jak zastosowanie maszyn. Tam gdzie trzeba wykonać czynność prostą wiele razy, z ogromną precyzją, jest lepszy od człowieka.

Rozwój informatyki można porównać do rozwoju motoryzacji. Owszem, można się obejść bez samochodu, ale jest to tak wygodne narzędzie, że tylko nieliczni nie chcą obecnie z niego korzystać.

Czy stać nas na tak kosztowne, było nie było, urządzenie w kraju, w którym nie załatwiono jeszcze wielu podstawowych problemów technicznych i technologicznych od produkcji skarpet i gumy do majtek począwszy? Doc. dr hab. Wojciech Cellary przewodniczący sekcji systemów mikrokomputerowych w Polskim Towarzystwie Informatycznym twierdzi — że można to pytanie porównać do pytania z przeszłości — czy stać nas na elektryfikację kraju. Nie stać nas na rezygnację z elektroniki, na niestosowanie systemów mikrokomputerowych. To grozi utratą kontaktu cywilizacyjnego ze światem. Informatyzacja to nie jest postulat wychodzący z wąskiego grona zawodowców broniących swej dziedziny. To jest absolutna konieczność, kwestia być albo nie być dla postępu w jakiejkolwiek dziedzinie.

Mikrokomputery zostały zbudowane dzięki mikroprocesorom, albo lepiej powiedziawszy dzięki rewolucji mikroprocesorowej jaką przeżywa i elektronika, i świat. Technika mikroprocesorowa liczy sobie około 15 lat i jest to okres niespotykanego w innych dziedzinach nauki i techniki rozwoju. W tej piętnastoletniej historii można wyróżnić pewne momenty, w których ulega ona skokowemu przyspieszeniu. Ostatni nastąpił niespełna pięć lat temu, kiedy zbudowano nową generację mikroprocesorów, tak zwanych 16-bitowych. W Polsce obserwuje się naturalne zainteresowanie w środowisku informatyków i elektroników mikroprocesorami 16-bitowymi. Trudno jest jednak mówić o ich produkcji w najbliższym czasie na skalę przemysłową.

Nasze opóźnienie w produkcji urządzeń elektronicznych w stosunku do rozwiniętych krajów świata wynosi już ponad dziesięć lat i stale się zwiększa. Jesteśmy znacznie gorsi od krajów uważanych za trzeci świat — Singapuru, Korei Południowej, Tajwanu. Wiele państw nie określa już swego rozwoju kilogramami stali czy cementu na jednego mieszkańca. Podstawowym miernikiem jest teraz liczba półprzewodników. Jeden Polak zatrudniony w przemyśle elektronicznym wypracowuje rocznie dochód w wysokości 7 tys. dolarów, Koreańczyk ponad 16 tys., Japończyk 56 tys., obywatel Stanów Zjednoczonych 67 tys. dolarów.

Gorzej, że za opóźnieniem technologicznym idzie w parze opóźnienie zastosowań informatyki. W 1982 r. byliśmy jednym z niewielu, jeżeli nie jedynym krajem świata, w którym liczba komputerów zmniejszyła się. Przedsiębiorstwa skorzystały z samodzielności danej przez reformę i zlikwidowały systemy informatyczne. Systemy — trzeba powiedzieć — często niepotrzebne. W poprzednim dziesięcioleciu, kiedy gospodarką rządziły nakazy, przedsiębiorstwo po prostu dowiadywało się o tym, jakie rozwiązanie zastosować. Decyzje w tej materii podejmowało zjednoczenie bądź resort. Często komputer nie służył przedsiębiorstwu tylko tym, którzy je nadzorowali. Czy można od człowieka wymagać, że będzie z zapałem wprowadzać to, do czego nie ma przekonania, co nakazano, co służy do kontroli? Takie motywy nie wróżą sukcesów.

Ludzie starsi boją się włączyć telewizor, gdy tymczasem kilkuletnie dzieci manipulują wszystkimi gałkami bez zahamowań. Dyrektor, który w wieku 50 lat po raz pierwszy zetknął się z komputerem rzadko staje się jego entuzjastą. Tak samo jak z pływaniem. Pływania należy uczyć dzieci. Gdy dorosną, będą się wstydziły wejść do wody ze strachu przed kompromitacją.

Dzięki masowej produkcji mikroprocesorów, komputery stały się tak tanie, że na Zachodzie, szczególnie w Stanach Zjednoczonych, może sobie nań pozwolić przeciętnie zarabiający człowiek, a tym bardziej szkoła. Są bez mała sprzętem domowego użytku. Za kilka lat każdy absolwent szkoły podstawowej w USA umieć będzie korzystać z komputera lub przynajmniej rozumieć jego zastosowanie.

A w Polsce, no cóż, wielu absolwentów szkół wyższych nie widziało czegoś takiego na oczy. Wolno, zbyt wolno, ale i u nas idzie ku lepszemu. Działające pod patronatem Kuratorium Oświaty i Wychowania ognisko pracy pozaszkolnej przy ul. Nowotki 16 w Łodzi prowadzi z grupą kilkudziesięciu uczniów szkół podstawowych i średnich zajęcia z informatyki. Dzieci uczą się programować komputer w języku BASIC. Przychodzą z własnej, nieprzymuszonej woli dwa razy w tygodniu. Frekwencja jest stuprocentowa. Mikrokomputery są także w Technikum Elektronicznym i Technikum Energetycznym. Dziesięć następnych podarowanych przez jedną z zachodnioniemieckich firm jest już podobno w drodze do Łodzi. Dobre i to.

Komputer można wykorzystać do wszystkiego. „*Jeden z właścicieli francuskiej firmy konstrukcyjnej* — mówi dyrektor łódzkiego ZETO Marian Polski — *twierdzi, że u niego w biurze nie stosuje się papieru do pracy. Wszystkie katalogi typowych rozwiązań zakodowane są w pamięci komputera. Projektowanie polega na dialogu człowieka z „inteligentną maszyną". Wszystkie obliczenia, rysunki, pomiary wykonuje szybko komputer. Następnie przedstawia konstruktorowi dane w postaci rysunku, który można obracać na ekranie tak, jakby trzymało się w ręku gotowy model. Gdy rozwiązanie jest dobre, komputer otrzymuje rozkaz wydrukowania dokumentacji*". Dopiero wówczas potrzebny jest papier.

Komputer oszczędza czas projektanta. Pozwala na poświęcenie się pracy twórczej, koncepcyjnej. Brak czasu sprawia, że u nas zamiast kilku do wyboru przedstawia się najczęściej jeden możliwy wariant rozwiązania problemu. Często dokumentacja dociera do wykonawców na styk, a bywa i tak, że dopiero po ukończeniu roboty. Bo jakaś dokumentacja być musi.

Dzięki komputerowi odpada konieczność budowy prototypu. Dziś większość polskich konstruktorów ślęczy najpierw długie godziny nad rysunkami i obliczeniami. Potem buduje prototyp. Sprawdza go w warunkach naturalnych. Gdy coś szwankuje zmienia zły element, znowu buduje prototyp i tak do skutku. A przecież to samo, znacznie szybciej i dokładniej może zrobić komputer. Można na nim stymulować procesy ekonomiczne i produkcyjne. Można badać koniunkturę, ceny, rynki zbytu. O ile zmniejszyłaby się liczba błędnych decyzji gospodarczych.

Z każdym dniem pojawia się coraz więcej wyrobów o najwyższej precyzji wykonania, a jednocześnie bardzo tanich. Bez informatyki nie ruszymy z postępem na tyle, aby być liczącym się krajem na rynkach światowych. Już teraz mamy ogromne kłopoty ze sprzedażą artykułów, których produkcja nie jest poparta zastosowaniem elektroniki i których pracą nie sterują mikroprocesory.

Już obecnie w samochodach przodujących firm świata stosuje się odpowiednio zaprogramowane mikrokomputery. Regulują one na przykład szybkość pracy wycieraczek, temperaturę wewnątrz samochodu, światło reflektorów w zależności od warunków atmosferycznych. Ostrzegają i upominają kierowcę, gdy ten jest już zmęczony, że powinien na pewien czas przerwać jazdę i odpocząć. Czuwają nad pracą silnika, tak aby spalał jak najmniej paliwa.

Firma Mercedesa prowadzi prace nad automatycznym kierowcą. Trzeba tylko mikrokomputerowi wskazać cel podróży, a on wybierze najkrótszą drogę, podpowie, gdzie można napotkać samochodowe korki, kierunek każdego zakrętu wskaże na małym ekranie umieszczonym w desce rozdzielczej. Inne firmy rewolucję elektroniczną zapowiadają za dwa lata, kiedy to zostanie opracowany system wczesnego ostrzegania o zbliżającej się awarii jakiegoś podzespołu. Będzie go można zawczasu wymienić unikając tym samym przerw w eksploatacji pojazdu. Dzięki temu też nie oszukają nas w stacjach obsługi nieuczciwi monterzy. Mikrokomputer nie zaakceptuje wykonanej przez nich fuszerki.

Na komputerowej pustyni cierpią także naukowcy. Ogromna liczba publikacji, czasopism, patentów w każdej dziedzinie nauki i techniki sprawia, że samo tylko wyszukanie tytułów dotyczących konkretnego zagadnienia ciągnie się w Polsce przez długie miesiące. W USA sprawa zostaje załatwiona w tydzień. Bodajże tylko dwa ośrodki naukowe w naszym kraju dysponują systemami informatycznymi CYBER-72. W świecie można liczyć na kopy wyższe uczelnie posiadające nie mniej niż dwa systemy CYBER-170 (następna generacja) i kilkanaście mikrokomputerów. Gdybyśmy mieli najzdolniejszych naukowców, to w takich warunkach muszą oni wyścig do postępu przegrać już na starcie.

„*Niekoniecznie* — mówi dyrektor M. Polski — *jeśli ktoś chce wprowadzać informatykę musi od razu kupować komputer. Żeby korzystać z telefonu też nie trzeba być właścicielem centrali. Ważne jest, aby telefon był do niej przyłączony, by mogła ona spełnić każde życzenie abonenta. W ten sposób zleceniodawcy odpadają wszelkie problemy związane z profesjonalną informatyką. Pozostają jedynie kwestie związane z umiejętnym użytkowaniem*".

Niestety, istniejące w kraju sieci komputerowe ZETO, TOOB, EKOMA, CEKAR i inne nie są w pełni wykorzystane, mimo swych stosunkowo małych możliwości obliczeniowych i znacznego opóźnienia technologicznego w stosunku do poziomu światowego. Rynek usług informatycznych jest jednym z niewielu w Polsce rynków konsumenta.

Zdarza się, że zleceniodawcy nie bardzo wiedzą, czego mogą oczekiwać od komputera. A jeśli już stawiają jakieś precyzyjne wymagania, to najczęściej dotyczą one mało efektownych dziedzin pracy biurowej, finansowo-księgowej, ewidencji, a przecież komputer stworzony jest do nadzorowania produkcją, do pilnowania parametrów technologicznych, jakości wyrobów, do precyzyjnego sterowania maszynami. Wtedy efekty są największe. W „Feniksie" na przykład codziennie rejestrowana jest i rozliczana produkcja i sprzedaż wyrobów, kontrola realizacji zamówień i inne prace administracyjno-biurowe. I bardzo dobrze. Jednocześnie w tym samym zakładzie bardzo dużo badanych ostatnio przez PIH wyrobów nie spełniło norm jakościowych. W całym przemyśle lekkim 70 proc. złej produkcji spowodowanych jest przez niedbałość pracowników. No cóż, człowiek nie jest doskonały. Czasami mu się po prostu nie chce. Męczy się. Po kilku godzinach pracy wśród huku maszyn trudno jest skoncentrować uwagę. Komputer zaś nie myli się prawie nigdy. On po prostu nie przepuści niczego, co nie zostało wcześniej zaprogramowane. U nas bywa, że z maszyny wymontowane są mikroprocesory, bo nie pozwalają na ominięcie technologii. Ale to już jest problem z zupełnie innego artykułu.

Jeden z pozytywnych przykładów zastosowania informatyki pochodzi z Kopalni Węgla Brunatnego „Bełchatów", gdzie system mikrokomputerowy przystosowany został do ciągłego nadzoru i kontroli pracy taśmociągu. Pozwoli to zmniejszyć liczbę awarii, a tym samym i koszty remontów o ponad 100 mln. złotych rocznie.

Istnieją też przykłady zastosowania komputerów do prac, których wykonanie metodami tradycyjnymi byłoby niemożliwe. Biuro Projektowania i Programowania Rozwoju Łodzi analizuje przy pomocy komputerów warianty obciążeń układu komunikacyjnego. Chodzi o to po jakich trasach najczęściej poruszają się łodzianie i po jakich będą się poruszać, co można przewidzieć wiedząc wcześniej gdzie powstają nowe osiedla, fabryki, gdzie znajdą się centra handlowe i kulturalne. Nie ma co ukrywać, że badania prowadzone są z myślą o przyszłych trasach łódzkiego metra, które, jako bardzo kosztowne, czyż nie powinno być zaprojektowane z rozmysłem i dla ludzi.

Właśnie dla ludzi. W tym miejscu mści się nasze elektroniczne ubóstwo. Banki już od dawna korzystają z usług informatyki, ale klienci NBP czy PKO tego nie czują. Nadal przed okienkami stoją kilometrowe kolejki denerwujących się interesantów, którzy pragną za własne w końcu pieniądze być szybko, sprawnie i grzecznie obsłużeni. Mogą to załatwić tzw. urządzenia peryferyjne zainstalowane w każdym okienku, współpracujące z komputerem centralnym, urządzenia peryferyjne wyższego rzędu zwane dialogowymi, odpowiadające błyskawicznie na każde pytanie urzędniczki. Ba, dające po kilku sekundach odpowiedź na piśmie. Nowocześniejsze banki obywają się bez pośrednictwa urzędniczek.

Tomograf komputerowy. Kto nie widział tego urządzenia, ten nie wie czym jest współczesna medycyna. Dzięki niemu można na monitorze zobaczyć obraz organizmu pacjenta. Jest to obraz szczególnego rodzaju. Prześwietlone ciało zostaje dzięki komputerowi „pocięte na kawałki" i tak plasterek po plasterku, pokazywane jest na ekranie. Lekarz może dokładnie w kolorach obejrzeć chore organy. Prawdopodobieństwo postawienia złej diagnozy jest bliskie zeru. Tomograf pracuje przez 24 godziny na dobę, a mimo to kolejki oczekujących pacjentów są ogromne.

Mikrokomputery są, jak na razie, bezkonkurencyjne w niektórych tylko zastosowaniach, obliczeniach inżynierskich, projektowaniu, opracowaniach statystycznych. Razem z wielkimi komputerami stanowią system wzajemnie się uzupełniający. Sprzęt makro jest wszechstronniejszy i bardziej pojemny, mikro zaś znacznie tańszy, nie wymagający klimatyzowanych pomieszczeń, łatwiejszy w programowaniu. Poza tym mikrokomputer zaspokaja zrozumiałe dążenie człowieka do posiadania narzędzia pracy stale pod ręką.

Wszystkie opisane wyżej zagadnienia specjaliści znają nie od dziś. Zdumienie więc budzi lektura reklamowanego programu elektronizacji gospodarki narodowej do 1990 roku. Otóż do tego czasu mamy produkować rocznie — 12 mln. mikroprocesorów, 60 mln układów scalonych, 338 mln półprzewodników. Szacunkowa wartość tych elementów wyniesie ponad 105 mln dolarów, co przy około 40 mln mieszkańców da w tym roku 2,6 dolara na głowę. Gdy tymczasem już dziś na Węgrzech ta wartość osiąga 4 dolary, w Niemieckiej Republice Demokratycznej 8. Zaplanowano znaczny wzrost eksportu, do tego stopnia, że pozostająca w kraju część produkcji przemysłu elektronicznego będzie w latach 1985—1990 mniejsza niż w roku 1980. W programie nie przewiduje się produkcji wielu wyrobów powszechnego użytku, między innymi mikrokomputerów osobistych.

Plany sobie, a życie sobie. W Polsce jest już około 10 tys. mikrokomputerów u prywatnych osób. Nie wiem skąd wzięła się ta liczba, ale wydaje mi się ona prawdopodobna. Podobnie jak rynek kaset video, tak samo rozwija się rynek programów. Są wyspecjalizowane, prywatne firmy informatyczne, które oferują programy, najczęściej biorytmów, psychologicznych testów osobowości, gier telewizyjnych, ale nie tylko. Prowadzą one wielce użyteczną działalność usługową, z której najchętniej korzystają, potrafiące robić dobre interesy firmy polonijne. Zamiast zatrudniać pracowników biurowych, sporządzanie list płac, kalkulacje cen, całą księgowość zlecają mikrokomputerom. Tańsze to pewniejsze, bowiem jak już pisałem — komputer nie myli się prawie nigdy. Pomylić może się tylko programista.

Są to jednak działania bardzo niezorganizowane, chaotyczne. Bez jakiegoś jednego spójnego programu, bez zorientowania naszej gospodarki na elektronikę możemy, jak to powiedział doc. Cellary, stracić kontakt cywilizacyjny ze światem, możemy stać się Buszmenami Europy Środkowej.

Foto: Grzegorz Galasiński

TOMASZ SAS

Mam wyrzuty sumienia (2)

9.

Dość jednak o erotyzmie w naszej rzeczywistości społecznej. Dylemat, który chcę teraz przedstawić, na własny użytek dawno już rozstrzygnąłem — jestem też pewien, że podobnie myślą moi przyjaciele i koledzy, z którymi od paru lat współredaguję różne pisma (z ludźmi obojętnymi i nieprzyjaciółmi staram się nie pracować) — od gazet zakładowych, poprzez wojewódzki tygodnik partyjny, do pisma społeczno-kulturalnego. Skoro jednak nadarzyła się okazja, by dylemat ów zaprezentować publicznie..., Przede wszystkim dlatego iż jako „moralny sprawca afery „Skirolawek" czuję się zobowiązany do wyjaśnień.

Dylemat, o którym mowa sprowadza się w zasadzie do udzielenia odpowiedzi na pytanie postawione na początku tego tekstu: czy fakt zainteresowania tematyką erotyczno-obyczajową należy ignorować w praktyce redagowania pisma, czy też może wykorzystywać?

Pierwsza z możliwych postaw ma za sobą długie tradycje i wcale niebagatelne racje, także natury moralnej oraz ideowej. Do tradycji tych, poza wspomnianymi tu już obciążeniami o religijnym rodowodzie należy też swoiste gentlemen's agreement — jeżeli z umówionych powodów o jakichś faktach czy zjawiskach nie mówi się (albo zabrania się mówić — co na jedno wychodzi...), to tym samym fakty owe bądź zjawiska nie istnieją. Nie istnieją i już...

Racje moralne i ideowe przemawiające za ignorowaniem erotyzmu też mają swój szczególny prapoczątek: w naszym, ateistycznym zespole wartości pojawiły się jako niespodziewane dziedzictwo chrystianizmu — uznającego erotyzm jako zło i grzech. Rewolucyjny kanon etyczno-estetyczny — pryncypialny i purytańsko bezlitosny — swój sprzeciw wobec seksu wywiódł z zanegowania i zwalczania burżuazyjnego hedonizmu, zgnilizny moralnej, rozwiązłości, upadku obyczajów oraz brutalnego niewolnictwa erotycznego i wszechwładzy pieniądza. Intencja owej ortodoksji była — i jest nadal — szlachetna: wykreowanie nowego człowieka, wolnego od ulegania niskim, niemoralnym emocjom i popędom. Człowieka rozumnego, wydobytego z niewoli zmysłów, nieskazitelnego...

Nie sposób tej wizji nie zaakceptować. Ale dlaczego miałby to być człowiek wykastrowany? (To ostatnie proszę traktować jako figurę retoryczną: po pierwsze — nie dosłownie po drugie — dotyczącą obu płci...). Dlaczego erotyzm miałby być wygnany z wzorca nowego, idealnego człowieka? Czy tylko dlatego, że na początku popełniono pewien błąd paralaktyczny — patrząc z centrum walki przeciw starym porządkom, panujące w nich wynaturzenia i rozkład postrzegano jako normę ogólną, zasługującą na bezwzględne wyeliminowanie?

Terror owego wzorca moralnego, wypracowanego w szczególnej sytuacji, osłabł — i to znacznie — w miarę ogólnego łagodzenia się obyczajów. Poza tym sami moraliści zmienili swą postawę wobec erotyzmu i problematyki seksualnej. Przyjęto bezspornie, że jest to immanentny składnik egzystencji nie tylko gatunku ludzkiego jako całości, lecz także, a może przede wszystkim, ludzkich indywiduów. A jako taki nosi w sobie — poza biologią i techniką — pewne aspekty psychologiczne, socjologiczne czy kulturowe radykałowie i pionierzy skłaniają się nawet ku filozofii...

W teorii więc zaakceptowano erotyzm, zaprzestano też głoszenia aseksualnych wzorców i postaw; nie sposób bowiem sprzeciwiać się oczywistości. Nie ma też co ukrywać, że kształtowanie owego „nowego człowieka" przebiega niezwykle opornie — zabrakło chyba konsekwencji i determinacji, jednakowo silnej we wszystkich dziedzinach życia społecznego. A nadto silne i żywotne są nadal wzorce drobnomieszczańskie, ta przedziwna mieszanina pruderii na użytek publiczny i całkowitego braku jakichkolwiek zasad w życiu prywatnym.

Jest wszakże taka dziedzina naszego życia publicznego, wcale rozległa, gdzie purytański terror aseksualnych wzorców moralnych funkcjonuje ze szczególną siłą — to nasz system edukacji. Nie chcę zgłębiać tej kwestii, bo to temat zupełnie odrębny, dość powiedzieć, że z tego środowiska zawodowych wychowawców i wspierających ich wolontariuszy płynie zawsze najżywszy protest przeciw udziałowi erotyzmu w publicznym obiegu informacji opinii i idei.

10.

I tak doszliśmy do drugiej sfery, gdzie ciągle jeszcze ze sporą siłą ujawnia się konflikt postaw i poglądów na tle erotyzmu. Ta sfera jest komunikowanie masowe. Wprawdzie główny ciężar owego konfliktu przesunął się do obszaru cywilizacji obrazkowej, ale w dziedzinie słowa drukowanego dzieje się sporo, czego i w naszej redakcyjnej praktyce doświadczamy nader często.

Doświadczamy dlatego, iż dylemat, o którym była tu wcześniej mowa, rozstrzygnęliśmy jednoznacznie na rzecz praktycznego wykorzystywania owego jakby nadmiernego zainteresowania tematyką erotyczną.

W tym miejscu muszę z całą mocą oświadczyć że nie kierują nami tylko cyniczne względy handlowe, chociaż nie zamierzamy ukrywać (i nigdy tego nie robiliśmy) pewnego, choć z pewnością nie decydującego, wpływu tego aspektu sprawy na nasze decyzje.

Wszelako ważniejsze wydaje się nam co innego — mieć skromny chociaż udział w zmniejszaniu tego swoistego „napięcia społecznego" wokół problematyki erotycznej, udział w doprowadzeniu do normalności, do naturalnego traktowania spraw seksu w takich proporcjach, w jakich funkcjonuje on w naszym życiu — bez potępiania na jednym, a fetyszyzacji na drugim biegunie.

Mogłoby się tedy wydawać, że działamy wbrew własnym interesom ekonomicznym skoro wcześniej udowodniliśmy, że dzięki nadmiernemu zainteresowaniu erotyzmem podreperowaliśmy własną pozycję decydując się na druk takich na przykład „Skirolawek". Nie ma obawy — po pierwsze, ta fascynacja tak szybko nie zmaleje, a po drugie, my sami jesteśmy zainteresowani drukowaniem po prostu dobrej literatury współczesnej — obyczajowej, politycznej czy rozrywkowej lub sensacyjnej, a także erotycznej. Nie sądzę, że objawiamy jakieś wybujałe skłonności w tym ostatnim kierunku (a przypisywano nam takowe — do propagowania pornografii włącznie) — ale też i nie chcę tail, że dobra literatura obyczajowo-erotyczna cieszy się naszymi szczególnymi względami.

Jest kilka powodów, że tak się dzieje, ale najważniejsze wydają mi się dwa. O pierwszym była już mowa: to chęć współuczestniczenia — w miarę naszych skromnych możliwości — w procesie „unormalniania" funkcji erotyzmu w komunikowaniu masowym. Nie mamy bowiem wątpliwości co do tego, że funkcjonuje on w sposób nienormalny, zwłaszcza w obszarze słowa drukowanego, na którym się poruszamy. (Problemy cywilizacji obrazkowej pozwolę sobie pominąć — nie tyle z braku zainteresowania, co z niedostatku kompetencji).

Na czym ta nienormalność polega? Przede wszystkim na tym, że jako tako funkcjonuje tylko pewien szczególny wycinek całego problemu, mianowicie literatura naukowa (i to głównie o charakterze biologiczno-medycznym; brak natomiast socjologii, antropologii — poza fundamentalnym dziełem Bronisława Malinowskiego — i w ogóle nauk społecznych że o literaturoznawstwie nie wspomnę...) oraz mniej lub bardziej udolne poradnictwo, lecz w ilości dalece niewystarczającej. Jest też nieco poezji o wyraźnym zabarwieniu erotycznym i wreszcie to, co najbardziej ekscytuje naszą publiczność literacką, seksualne wątki w prozie i dramatopisarstwie czyli to, co lud polski zapożyczając się u pewnego satyryka, zwykł nazywać „momentami".

„Momenty" owe spełniają różnorakie funkcje — od logicznych i głęboko uzasadnionych elementów konstrukcji dzieła aż po wtręty o wyraźnie komercjalnym charakterze. Tych pierwszych jest oczywiście znacznie mniej — tak mało, że są właściwie niedostrzegalne w powodzi seksu doczepianego na siłę do każdej niemal sprawy dziejącej się w świecie przez literaturę przedstawianym. Analizie jakości tych erotycznych wzlotów PT. Współczesnych Pisarzy Polskich nie będę poświęcał miejsca i uwagi, poprzestawszy na gołym, choć nie gołosłownym twierdzeniu, że na ogół jest kiepska...

Warto przy okazji jeszcze wspomnieć o swoistym „podziemiu" erotycznym w obszarze słowa drukowanego. Krążą na przykład przepisywane i powielane różnymi technikami dzieła rozmaite: inedita niektórych sławnych i bogobojnych autorów, klasyków z lektur szkolnych (albo im przypisywane apokryfy), są w obiegu potworne pornograficzne ramoty z przedwojennej i okupacyjnej (pisemko pt. „Fala") produkcji, „romanse dla kucharek", skandalizujące pamiętniki, są także „dzieła" z zachodniego importu, ociekające spermą, wodą i krwią (nb. o dyskretnym zapachu Chanel nr 5).

Ale w tym wszystkim nie ma literatury.

11.

W tym miejscu pora na drugi powód naszych względów dla dobrej współczesnej literatury obyczajowo-erotycznej. Po prostu chcemy, aby ona wreszcie zaczęła istnieć w rzeczywistości społecznej doby obecnej, żeby nie była tandetna, grafomańska, ani skażona piętnem grzechu i antyseksualnego terroru. Żeby nie grasowała gdzieś po peryferiach świadomości i wyobraźni. Żeby jej twórca nie był z mocy środowiskowych wyroków godnym pogardy intelektualistą (któremu zresztą jednocześnie zazdrości się po cichu i talentu i odwagi, i zarobków...). Żeby spory wokół niej koncentrowały się na rzeczywistych wartościach a nie na urojonych pretensjach i moralizatorskiej agresji. I tak dalej...

A przede wszystkim ma to być d o b r a literatura — no i autentycznie r o z r y w k o w a. Żadnego zadęcia, misjonarstwa itp., hipokryzji. Prędzej czy później musimy się odreagować, jak uczenie mawiają psychologowie, wyjść z fazy konfliktu o erotykę, konfliktu, wzmagającego to nienaturalne, nadmierne zainteresowanie seksem. Nie chcę niczego przesądzać, ale mniemam, że skutecznym narzędziem w tej mierze jest — między innymi — upowszechnianie dobrej literatury.

Można by teraz tylko spytać, skąd wiemy, czy coś jest dobre czy nie? Na to niestety nie ma obiektywnej miary — wobec czego, drodzy Czytelnicy, musicie zaufać naszym wyborom, gustom i kryteriom. Możemy tylko obiecać, że dołożymy maksymalnej staranności i uzyjemy całej naszej wiedzy proponując lektury które w naszym tygodniku znajdziecie teraz i w przyszłości.

12.

Nie jest to ani nasze wyznanie wiary, ani nasz program, ani filozofia gazety — to po prostu dobra praktyka redagowania pisma, dotycząca zresztą zaledwie 1/16 jego objętości (czasem nieznacznie więcej...). W niby-polskiej nowomowie powiedziano by, że praktyka ambitna i zobowiązująca, że wzmożemy wysiłki i zgodną pracą całego kolektywu... wiele, rozumiecie...

Nic z tych rzeczy — nasz tygodnik traktujemy jak integralną, logicznie skonstruowaną jedność, w której literatura stanowi zaledwie ułamek całego przekazu. Tyle samo uwagi poświęcamy innym jego częściom. Ale nie obrażamy się, gdy czytelnik sięga tylko po tę jedną stronę — nie jesteśmy też zdziwieni, gdy po nią nie sięga. Najbardziej jednak cieszy nas czytelnicza nieobojętność — nie tylko akceptacja tego, co robimy — także sprzeciw, polemika, donos (to może mniej...), jakaś rozróba. W każdym razie ten szczególny ferment intelektualny, gromadzący wokół pisma przyjaciół i oponentów.

A że pochodną tego jest i pewien umiarkowany sukces handlowy... Nic w tym wstydliwego — wprost przeciwnie. Tym bardziej, że z różnych dróg dochodzenia do tego sukcesu nasza wydaje się nie najgorsza ze społecznego punktu widzenia. Można przecież było sprzedawać jakąś grafomańską tandetę z wykopalisk — owe „jawnogrzesznice" „tajemnice Nalewek", „trędowate" „kochanków lady Chatterley" „ulubieżnych Turków" i im podobne dzieła. Można krzyżówkę gołą babę, jakieś szmoncesy i wice nudystów olbromskich i kalibabkow. Można też ziołolecznictwo, bioenergoterapeutów, tajemnice magii, astrologię, horoskopy z palca wyssane, pana Szumana, pana Nardellego, ektoplazmę, UFO... Nawet Kodeks Boziewicza, można, jak się okazuje.

Sądzimy, że wobec całego tego chłamu rozmaitych możliwości i recept na sukces handlowy pisma społeczno-polityczno-kulturalnego nasz wybór jest co najmniej przyzwoity (żaden to paradoks!).

13.

Na koniec kilka uwag o samych „Skirolawkach" jako że właśnie ta powieść której niesamowita kariera zaczęła się właśnie u nas, sprowokowała — poprzez swój sukces i jego społeczne reperkusje — wszystkie refleksje, zapisane powyżej.

„Raz w roku w Skirolawkach" nie całkiem pasuje do nakreślonego tu wcześniej modelu literatury obyczajowo-erotycznej. Ta powieść w ogóle, jak sądzę, wymyka się wszelkim standardom i próbom zaszufladkowania. Skandal to zatem czy powód do chwały?

Przez dłuższy czas bawiło mnie zbieranie wszelkich tekstów krytycznych na temat „Skirolawek" w prasie polskiej, ale proceder ten porzuciłem, gdy objętość i waga usklądanych wycinków zaczęły się niebezpiecznie przybliżać do rozmiarów obu tomów powieści. W każdym razie jednak była to przednia lektura, pouczająca co się zowie. Może nie tyle w kwestii stanu i poziomu naszej krytyki literackiej, co w kwestii zdziczenia obyczajów polemicznych w naszym życiu publicznym — ale i to zawsze coś.

Dziś — przynajmniej dla mnie — nie ulega wątpliwości, że w zbiorze tekstów prasowych o „Skirolawkach" tkwi materiał na solidny szkic psychosocjologiczny o współczesnej literaturze, tzw. życiu literackim, o obyczajach krytyków i dziennikarzy i paru innych ciekawych kwestiach. Zapewne temat ten niebawem ktoś podejmie, może jakiś młody i ambitny magistrant polonistyki, dziennikarstwa albo nawet psychiatrii klinicznej...

Obowiązki, które pełnię w redakcji, sprawiły, że „Skirolawki" przeczytałem kilkakrotnie. Ale obowiązki te narzucają pewien specyficzny rodzaj lektury — nie pozwalają na refleksję nad urokami powieści, nie pozwalają zastanowić się nad nią na własny, prywatny użytek. Dopiero niedawno przeczytałem „Skirolawki" na świeżo, bez obciążeń, zabierając się do napisania tego tekstu, a trochę i dla przyjemności.

Ten ponowny kontakt z powieścią Nienackiego utwierdził mnie we wcześniejszym przekonaniu, że znakomita większość „krytyków", uczestniczących w pierwszej fazie ataku na książkę i jej autora po prostu nie przeczytała „Skirolawek" dostępnych już wtedy — choć nie bez trudności — w księgarniach. Wszyscy niemal poszli w ślad za Passentem, który pogląd na „Skirolawki" wyrobił sobie czytając tylko jeden z naszych pierwszych odcinków w „Odgłosach" i sięgając — w celach podobno porównawczych — po... któregoś z „Panów Samochodzików"... No cóż, bogato umięśniona pochwa pani Aldony, instruktorki łóżkowej gimnastyki oraz obfity zad Widłągowej — zapewne poprzez wyrazistość wizji — autorom pierwszych opinii o powieści odebrały zdolność analizowania sine ira et studio; niektórzy wręcz wyszli sparaliżowani z tego starcia...

Dopiero później ujawnili się recenzenci, którym „momenty" nie rzuciły się na mózg. A i sam autor „Skirolawek", sprowokowany bezczelnymi zaczepkami, spróbował egzegezy własnego dzieła. Lecz ilości i natężenia nieporozumień wokół powieści wcale to nie zmniejszyło — wprost przeciwnie: „Skirolawki" weszły do dziejów naszej literatury współczesnej w aurze największego skandalu literackiego ubiegłego (1983—84) sezonu, na czym i my skorzystaliśmy.

Czas uporządkowania opinii w tej kwestii jeszcze nie nadszedł, jak się wydaje. Dlatego pozwolę sobie tylko na kilka refleksji krytycznych. Nie jestem wyedukowanym filologiem i szczegółowo w skomplikowanej materii gatunków i rodzajów literackich się nie wyznaję. Najbliższa jest mi opinia, wedle której „Skirolawki" to rodzaj współczesnego moralitetu, czerpiącego z odwiecznego motywu cyklicznej, wielofazowej walki Dobra ze Złem.

Moralitet, jako utwór co się zowie dydaktyczny, dawno już przestał być klarowny, pod względem formy, dostojny i elegancki. W toku dziejów nabrał kształtów zgoła barokowych, „rozwichrzył się", stał się bogaty w rozmaite watki i dygresje — chyba dlatego, że owo mentorskie przesłanie winno stać się atrakcyjne by było skuteczne.

Dlatego „Skirolawki" można odczytywać na rozmaite sposoby. Zależnie od optyki, potrzeb i psychicznej gotowości do percepcji. Są więc „Skirolawki" kroniką obyczajową pewnej zamkniętej społeczności, rodzajem fresku socjologicznego. Są powieścią kryminalną o prostej, lecz przykuwającej uwagę intrydze. Są utworem erotyczno-obyczajowym, są powieścią psychologiczną o niemocy i męce tworzenia, o psychicznych dewiacjach. Są też swego rodzaju groteską, zabawą literacką, pełną ukrytych znaczeń, szyfrów. Mogą być współczesną bajką, mogą być powieścią historyczno-polityczną, nawet fantazją etnograficzną, sfabularyzowanym raportem badawczym z wykreowanego świata. Mogą być tym wszystkim jednocześnie, od początku do końca, przenikając się nawzajem i współtworząc skomplikowaną tkankę, fakturę owego moralitetu. Ta wielopostaciowość to chyba najcenniejsza zaleta powieści, pozwalająca rozsmakować się w lekturze — jeżeli czytelnikowi istotnie nie padną na mózg liczne „momenty" seksualne. Jeżeli czytelnik potrafi się bawić, jeżeli umie odrzucić cały bagaż literackich fobii i przesądów.

Jednym słowem: to po prostu d o b r a literatura, doskonała powieść — akurat taka jakiej potrzebujemy, by dopiąć niektórych celów naszej redakcyjnej polityki kulturalnej. Nie oznacza to że „Skirolawki" wyznaczają obowiązujący kanon jakości i treści. Raczej tylko określają profil naszych poszukiwań.

Ale powieść Nienackiego — poprzez silny związek z naszymi oczekiwaniami — pozostanie swego rodzaju symbolem sukcesu naszych opcji w redagowaniu pisma. Dlatego chyba wyzbędę się wyrzutów sumienia.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

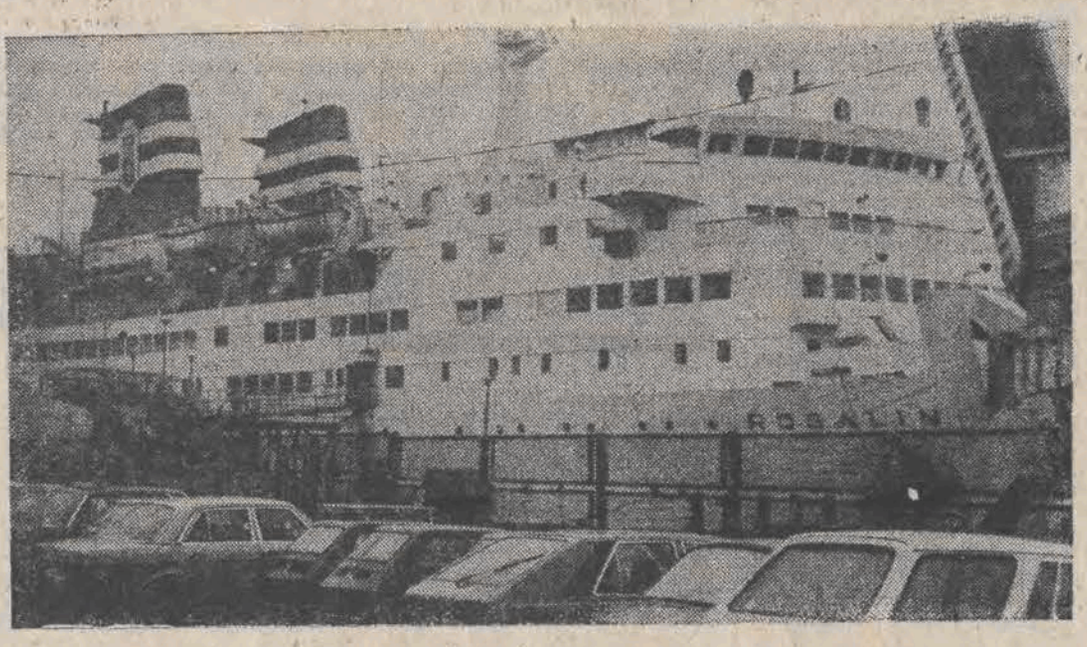

Foto: Roman Kubiak

Peweks na wodzie (1)

ROMAN KUBIAK

Na pokładzie „Rogalina" ostro pracuje ekipa zachodnioniemieckiej telewizji. Prom „Rogalin" to dobre miejsce do filmowania. Operator rejestruje wejście pasażerów na pokład. Robi zbliżenia twarzy młodych Polaków. Każdy z nich może okazać się emigrantem, może już nie wrócić do ojczystego kraju. W ubiegłym tygodniu w Hamburgu została trzecia część pasażerów „Rogalina". Stanęli w długiej kolejce uciekinierów proszących o socjalny zasiłek. Przed nimi zgłosiło się ponad stu rodaków, którzy odmówili powrotu na pokład „Stefana Batorego". „Bild Zeitung" wysłał tam swoich reporterów. Teraz zachodnioniemiecka telewizja chce na gorąco relacjonować rejs polskiego promu. Kamerzysta wtyka obiektyw do kabin, do restauracji, do nocnego klubu, do sklepu „Baltony". Oko kamery wodzi po talerzach, szklankach, polskich rękach, polskich twarzach, polskich ubiorach. Co jedzą Polacy, jak są ubrani, co kupują, o czym rozmawiają?... Sensacja wisi w powietrzu. Za dwa dni „Rogalin" wpłynie do niemieckiego portu...

Dopiero po kilku godzinach szef filmowej ekipy wejdzie w temat, czyli zorientuje się, że błądzi po marginesie hamburskiej eskapady. Dopiero po kilku godzinach Niemiec zrozumie, że ten rejs ma wybitnie komercyjny charakter.

Zrozumie, że na pokładzie promu płyną ludzie, którym w przygniatającej większości ani przez chwilę nie przyszło na myśl pozostanie w obcym kraju. Którzy nie mają też zamiaru zwiedzania duńskich czy niemieckich zabytków, a marzą jedynie o rychłym powrocie do domu — ma się rozumieć, wraz ze stosownymi zakupami.

„Rogalin" wiezie ludzi interesu. Co prawda jest też kilku „obcych", nastawionych na turystykę, i kilku desperatów biorących pod uwagę możliwość zostania w Republice Federalnej, ale ci stanowią nieistotną mniejszość.

„Rogalin" wiezie ludzi, którzy już się znają, którzy znają ten prom z poprzednich rejsów. Są na morskim szlaku do Hamburga po raz trzeci, piąty, ósmy. Pan Krzysio, pani Magda, Tadzio, Andrzejek...

„Rogalin" wiezie tanią wódkę i tanie papierosy dla Duńczyków i Niemców — jedyny towar z etykietką „Made in Poland", jaki w prywatnym imporcie da się zamienić na korony i marki.

„Rogalin" wiezie zastrzyk żywej gotówki dla producentów i handlarzy dywanów, dżinsów, opon, cytrusów, elektronicznych zegarków, magnetowidów, pończoch, rajstop, czekolad, kaset, samochodów, telefonów, kalkulatorów, nici...

„Rogalin" wiezie też nadzieję łatwego i dużego zysku, zgodnego łączenia przyjemnego z pożytecznym.

Zrozumiawszy powyższe zachodnioniemiecka telewizja zdecydowała brać temat jak leci.

W KOPENHADZE ZA DROGO

Wczesnym rankiem polski prom zawija do Kopenhagi. Cumuje w przystani „Polferries" w sąsiedztwie gigantycznego promu „Skandinavia", przy którym ponad 120-metrowy „Rogalin" wygląda jak szalupa ratunkowa.

Kopenhaga to dopiero preludium nieciodniowej imprezy. W okamgnieniu rodacy gotowi są do zejścia na ląd. Pokornie, w długim ogonku, ustawiają się przed obliczem duńskiego celnika. Prawie każdy pasażer wyposażony jest w niezbędnik polskiego turysty wkraczającego do Danii. Niezbędnik zawiera: pół litra krajowej wódki oraz karton papierosów — najlepiej marki „Prince" lub „Marlboro". Jest szansa, acz niewielka, spieniężenia Duńczykom papierosów „Carmen" i „Caro". Polacy kładą ten zestaw na stoliku celnika. Brodaty Duńczyk przystawia na etykietach prostokątną pieczęć. Uśmiecha się dyskretnie.

Ekipa telewizyjna filmuje. Zbliżenia: na twarze i ręce Polaków.

Duńczyk z politowaniem kiwa głową, gdy do stolika podchodzi dziesięcioletnia dziewczynka z „połówką" i papierosami.

Ekipa telewizyjna filmuje.

Matka dziecka, powołując się na demokrację i obywatelskie swobody, żąda uznania prawa nieletniej do zalegalizowania wyżej wymienionego towaru. Duńczyk kategorycznie odmawia.

Ekipa telewizyjna filmuje.

Worost z trapu, turyści tłoczą się do dobrze sobie znanych miejsc. Obok przystani czekają już miejscowi amatorzy mocnego trunku — przeważnie rodacy z ostatniej fali emigracji. Skupują towar od pierwszej grupy schodzących na ląd pasażerów „Rogalina". Mile widziany jest spirytus, którego sprzedawać w Danii nie wolno. Niestety kupcy nie grzeszą nadmiarem waluty, więc nabywszy po dwa litry alkoholu, pośpiesznie oddalają się.

Kilka kroków od przystani, na ulicy Esplanden, mieści się sklepik „Neptun", gdzie obsługa wyśmienicie włada językiem polskim. Tu, w okolicy najłatwiej sprzedać „eksportowy" towar. Zaglądają tutaj nasi emigranci oraz marynarze, zwykle ochoczo przystający na propozycję nabycia „Polish vodki".

W poprzecznej uliczce, w sklepiku „Misza" mówi się po rosyjsku i po polsku. Na chodniku stoją zachęcające reklamy: „Polskie indyki bardzo smaczne", „Prigłaszajem w nasz magazin".

Godzinę później, nasycenie duńskiego rynku polską wódką jest już tak duże, że zgodnie z prawem podaży i popytu, cena butelki „żytniej" spada z 70 do 40 koron.

W innych dzielnicach Duńczycy niechętnie kupują papierosy, a na widok spirytusu panicznie oddalają się.

Wielokrotni uczestnicy promowych wycieczek twierdzą, że takiej dezaprobaty dla „uczciwych" trunków i takiego braku poszanowania dla tytoniu jeszcze w Kopenhadze nie widzieli.

Szczęśliwcy, którym udało się wymienić używki na twardą walutę, wracają na pokład „Rogalina", żeby uzupełnić „eksportową" ofertę naszego handlu. Tym razem nielegalnie już wynoszonym alkoholem.

Jeden z orbisowskich autokarów wyjeżdżających z przystani zostaje zatrzymany i dokładnie przeszukany przez specjalną brygadę duńskich celników. W podręcznych bagażach naszych „turystów" celnicy znajdują kilka szklanych eksponatów nie opatrzonych pieczęcią królestwa Danii. Ich właściciele muszą po tysiąc koron cła powiększonego o umowną karę. Podobno była to nie pierwsza tego typu akcja duńskich celników, którzy powoli, bo powoli ale uczą się dotrzymywać kroku sprytnym Polakom.

Promowi fachowcy od prywatnego polsko-duńskiego marketingu natychmiast zamieniają korony na marki i dolary. Ich zdaniem, w Kopenhadze nie opłaca się niczego kupować. Lepiej zachować walutę na tani Hamburg. Rzeczywiście, ceny w Kopenhadze są, delikatnie mówiąc, bandyckie. Duńczycy nie ukrywają, że po większe sprawunki płyną do Lubeki. Koszty utrzymania są tu bardzo wysokie, a o pracę niezwykle trudno. Duńczycy nader rzadko pracują w pełnym wymiarze godzin. Przeważnie wykonują zawodowe obowiązki przez 5—6 godzin na dobę. Praca cieszy się tu niezwykłym poszanowaniem i nikt nie zaniedbuje swych obowiązków. Polaków szokuje przede wszystkim fakt, że w godzinach przedpołudniowych kopenhaskie ulice są niemal puste. Tylko gdzieniegdzie drepcą emeryci i mknie młodzież na rowerach. Zresztą rowery są szalenie popularnym środkiem komunikacji. Bilet autobusowy kosztuje 6 koron (drogo), nic więc dziwnego, iż wszystkie szersze ulice mają wyznaczone pasy ruchu dla rowerzystów. W salonie BMW, nowy model tej marki oferuje się za, bagatela, 540 tys. koron! Wozy innych renomowanych firm też nie przystają do kieszeni „statystycznego" Duńczyka, dlatego co i raz na ulicach stolicy spotkać można tańsze „Łady", „Skody", „Polonezy", małe i duże „Fiaty", a nawet dwusuwowe „Wartburgi".

Słynny lunapark „Tivoli" jest zamknięty aż do czerwca, co dla turystów z „Rogalina" oznacza, że czas najwyższy wracać na prom, by przekąsić coś z taniej, krajowej kuchni.

Po obiedzie zaplanowano autokarową wycieczkę po mieście. Chętnych nie jest wielu — po co włazić do sklepów, w których i tak się niczego nie kupi... Poczekamy do Hamburga.

Ci, którzy postanowili jechać, to głównie mniej zaradni handlowcy. Im nie powiodło się — nie zdołali sprzedać wódy i liczą na stosowną okazję.

Autokar mknie bulwarami Andersena, mija plac ratuszowy, banki, biura lotnicze, muzeum sztuki nowoczesnej, pałac Charlottenborg. Tempo wycieczki jest iście amerykańskie. Rzut oka — owszem, ładne — jedziemy dalej. Przed ratuszem krótki postój. Pilot namawia do obejrzenia zabytków. Atoli odzywają się głosy, że budowla jak to budowla, właściwie to szkoda czasu, bo idzie zmierzch i trzeba jeszcze skoczyć do hipisów. Po co do hipisów? Ano, może tym dziwakom uda się spieniężyć alkohol. Jakiś „światowiec" z miasta Łodzi ostrzega, że te brudasy mogą dać po mordzie. Tyle wie o hipisach... Dwie mieszczki w kurtkach z lisa głośno zastanawiają się, czy te dzikusy nie mają pieniędzy, czy też nie chce im się pracować. Dochodzą do wniosku, że z tego zachodniego dobrobytu poprzewracało im się w głowach. Ale jedziemy, jedziemy — może mają choć 50 koron na pół litra.

Południowa dzielnica Christiania jest enklawą młodych. Wysoki, barwnie pomalowany mur odgradza ją od miasta. Za murem: walące się rudery, zniszczone fabryczne hale, kamienice, nieudolnie sklecone baraki, samochodowe wraki, sterty nikomu niepotrzebnych przedmiotów. Na ocalałych tynkach bajecznie kolorowe malunki dowolnej treści, masa pacyfistycznych i anarchistycznych haseł. Tu i ówdzie płoną ogniska, przy których grzeją dłonie młodzi różnych nacji. Wiodą rozmowy przy użyciu słów zaczerpniętych z różnych języków świata. Są wśród nich Polacy. Jedni celowo dołączyli do hipisów, inni znaleźli tutaj tymczasowe schronienie. Młodzi Polacy, hipisi — a może niewłaściwe to określenie, bo idee, style i ubiory skutecznie pomieszały się w tej wielonarodowościowej masie (łączy ich tylko powszechna pogarda dla przemocy). Więc młodzi Polacy nie przyznają się do więzi z pazernymi turystami niosącymi w rękach pół litra. Odchodzą błotnistymi ścieżkami — byle dalej od zachłannych rodaków, byle dalej od zasmuconych oczu kontestatorskiej braci.

Lecz handlującym Polakom nikt nie powie złego słowa, nie wyrzuci ich za mury getta — takie są tutejsze obyczaje, wejść może każdy — bez obaw, a to, w jakim celu tak czyni, pozostaje w rachunku jego godności — jeśli takową ma.

O zmroku autokar powraca na prom. Rusza dyskoteka, dancing, ruleta, poker i dewizowy sklep. Disco, disco, disco... Huczą automaty do wygrywania pieniędzy, tłumek naciera na pewexowskie stoisko z dżinsami „Montana", płynie piwo w nocnym klubie, jak woda idą wuchy szynki z napisem „Polish ham". Pasażerki szturmują stoisko z termosami, pasażerowie gapią się w ekran telewizora. Rozmowy na tematy ogólne „...trzy korony to marka, dziesięć koron to dolar. Tysiąc dolarów to ponad sześćset tysięcy złotych. Opłaca się, nie opłaca się..."

Ekipa telewizji filmuje.

Wieczorem Kopenhaga zakwita milionami świateł. Palą się tęczowe neony, sznury lamp na mostach, skwerach, w parkach. Świątecznie już udekorowane miasto zaczyna tętnić życiem. Zjawiają się uliczne teatrzyki, kapele, samotni muzycy.

Za dwie godziny prom rusza w drugi etap rejsu. Jutro nastąpi clou programu: Hamburg. Już jutro zacznie się prawdziwy „dywanowy" rejs.

Większość pasażerów jest już na pokładzie. Tylko kilku romantyków, którym obce są uroki disco, szwenda się po uliczkach starej Kopenhagi.

Ci, którzy są w duńskiej stolicy po raz pierwszy, tylko tych z piątego, szóstego tiumusu, gdzie czuwa owa kopenhaska Syrenka. Nikt z zapytanych nie umiał udzielić odpowiedzi.

Syrenka czuwa na kamieniu, pięćset metrów za rufą „Rogalina"...

DYWANOWY REJS

W Travemünde, gdzie „Rogalin" wpłynął do portu, pierwsi zbiegli na ląd kamerzyści zachodnioniemieckiej telewizji. Na dole, w pełnej gotowości bojowej, czekają już fotoreporterzy „Bilda", „Sterna" i hamburskich popołudniówek. Błyskają flesze, pomrukują kamery, wysoko nad głowami sterczą kikuty mikrofonów. Właściwie to brak jest tylko kompanii honorowej. Cała reszta odpowiada scenariuszowi powitania głowy państwa. Rudowłosa reporterka dziarsko przeciska się przez tłumek kolegów z konkurencyjnych redakcji. Dopada pierwszego lepszego Polaka i koniecznie chce wiedzieć, jak udało mu się zbiec do Bundesrepubliki. Jest mocno rozczarowana, kiedy słyszy, że wyjazd był najzupełniej legalny. Może więc inaczej: „Czy w Polsce jest głód? Jak duże jest u was bezrobocie?"... — naciera szalejąca reporterka. Wszystko na nic. Proponuje odwiezienie Polaków do niemieckiego urzędu emigracyjnego, gdzie — o czym jest święcie przekonana — poproszą o polityczny azyl. Rzecz oczywista, będzie im towarzyszyła z kamerą i mikrofonem. Jakiś Polak znacząco puka się w czoło. Reporterka jest wyraźnie zdziwiona. Przecież mieli przypłynąć uchodźcy...

Przed pawilonem odpraw dzielnie wyczekuje oficjalna delegacja powitalna. Są to we własnych osobach, właściciele i agenci firm oraz sklepów z tanią odzieżą, dywanami, elektronicznym sprzętem, etc., etc. Wszyscy panowie mówią biegle po polsku. Są wyposażeni w reklamowe druki z dokładną mapką i trasą dojazdu do swych sklepików. Pan Chłopicki z „Texapolu" zaprasza na Ditmar-Koel-Strasse 10 do punktu sprzedaży prawie wszystkiego, czego poszukuje polski turysta-zaopatrzeniowiec. Biała wizytówka pana Chłopickiego informuje: „Wysyłamy paczki do Polski po cenach eksportowych. Dywany, jeansy, rajstopy, zegarki, videa, czekoladę, cytrusowe owoce, shetlandy..."

Pięciojęzyczna oferta „Romexu" zachęca do kupienia każdej ilości belgijskich dywanów, z dostawą na prom. „Prowadzimy sprzedaż wysyłkową. Wysyłamy paczki do całej Europy, a zwłaszcza do Polski. Zakupy oraz zamówienia można realizować we wszystkich walutach, według aktualnej wymiany bankowej. Nasz nabrzeżny turystyczny zakład handlowy usytuowany obok starego tunelu i przystani żeglugowej daje możliwość pogodzenia spaceru i dokonania udanego zakupu..." — zachwala reklamówka „Romexu".

Najbardziej obrotny jest szef „Janexu", który, choć mieszka prawie sto kilometrów od przystani, zawsze osobiście wita pasażerów polskich promów zawijających do Travemünde. Klient nasz pan — klienta trzeba przydybać i doprowadzić do sklepu. Polacy to dobrzy, jeśli nie jedyni, klienci „Janexu".

Nie opodal stoją firmowe samochody pana Chłopickiego i innych. „Nie traćmy czasu, jedźmy do mojego sklepu! Aha, wieviel przywieźliście marek?"

Odprawa graniczna. Niemieccy celnicy dobrze wiedzą, jaki towar kryją podróżne torby Polaków. Każdy ewentualny strzał to murowana dziesiątka — wódka, wódka, wódka... Ale tego ranka celnicy są „ślepi i głusi" — można przemycić nawet słonia. Za to następnego dnia nie prześliznie się nawet mysz: delikwenci z flachą są dyskwalifikowani.

Do Hamburga wyruszają wszystkie orbisowskie autokary. Jadą autostradą, pilotowane przez prywatne wozy z warszawską, łódzką i koszalińską rejestracją. Na czele karawany sunie mikrobus dywanowo-dżinsowej firmy.

„Orbis" dawno już odstąpił od programu zwiedzania miasta; uległ presji turystów-handlarzy. Wszyscy kierowcy autokarów zgodnie skręcają w prawo: ku dzielnicy najtańszych sklepików. Za chwilę wjadą na Ditmar-Koel-Strasse. Za chwilę nastąpi właściwa odsłona „dywanowego" rejsu...

C.D.N.

Kopenhaga

Hamburg

Foto: Roman Kubiak

Dziennik włoski

6,5 tys. kilometrów w deszczu...

RENATA SAS

Trudno o lepszą niż świąteczna okazję do poopowiadania, zwłaszcza jeśli zaliczyło się akurat atrakcyjną podróż. A któż do atrakcyjnych nie zaliczy wyprawy do Włoch. I ci życzliwi, i ci trochę mniej powtarzali: „zazdroszczę ci. Włochy! Cudowny kraj — ten lazur nieba, ten zapach pradziejów, ach — Rzym, Wenecja, Neapol...".

Nie, nie, nic z tego. Ani Rzym, ani Wenecja, ani Neapol. O Neapolu najwyżej zdanie za Iwaszkiewiczem: *„Jakoś nie mogłem się przekonać do Neapolu"*. Ja też nie, choć z innej przyczyny — widziałam to wspaniałe miasto tylko z autostrady i to za ścianą deszczu. Pogoda bowiem podczas całej podróży robiła wszystko, żeby zaprzeczyć folderowym blaskom Italii. Lało, padało, a później znowu lało. Wspomnę więc tylko jeszcze raz Iwaszkiewiczowe „Podróże do Włoch". „— *Był listopad, miesiąc niedobry do podróży*". No właśnie. Był listopad, a moja podróż do Włoch nie miała nic wspólnego z turystyczną eskursją. Jechałam patrzeć i opisać jak podczas swojego kolejnego tournée będzie przyjmowana Filharmonia Łódzka.

Skoro o sztuce mowa, trudno nie zacząć od pieniędzy. Pod tym względem artystyczne wojaże naszych zespołów i solistów skłaniają wciąż do tej samej refleksji: podróże kształcą. Pouczają jak gospodarować taniej, co zabrać, żeby jakoś przetrwać, jak urządzić w drodze gospodarstwo, by w finale na granicy w Tarvizio móc wymienić grube tysiące lirów na kilkanaście dolarów i dla poprawienia samopoczucia pomnożyć każdy przez czarnorynkowe 600 zł. Nie deliberując nad stawkami mogę skończyć ten temat tylko jedną refleksją: jeśli nie wyjedzie ten zespół, to inny. Więc na ogół zwycięża wniosek, że skoro da się trochę zyskać, to po co wszystko tracić...

Rezygnuję z kolejnego rozpamiętywania finansowych zawiłości, szczególnie że widziałam i słyszałam jak niepokoili się artyści, gdy ten wyjazd wisiał na włosku. Uproszczeniem byłoby sprowadzać wszystko do pieniędzy. Zagraniczne koncerty nęcą, nobilitują, uatrakcyjniają pracę. Są ważne nie tylko w przeliczeniu na kilogramy przywiezionych mandarynek, kawy albo ilość par dżinsów, bądź drobnych dolarów na gwiazdkowe prezenciki z Pewexu, bo w sumie tu i tak taniej niż we Włoszech.

Najpierw trzeba było jednak wyjechać. Trzy autokary zabierały nas na trasę, która w ostatecznym rozrachunku miała liczyć 6,5 tys. km. Nasza podróż zaczęła się 7 listopada. W każdym z trzech autokarów dyrektor Kazimierz Mikołajczak wygłasza powitalne orędzie, mówiąc o powinnościach i nieuniknionych trudach. Pierwszy przystanek w Katowicach. Targamy nasze ciężkie od prowiantu bagaże do hotelu „Warszawa". Niemal wszyscy gnają na mecz. Rano widać, że było co czcić — Widzew wygrał z Borussią.

8 LISTOPADA

Mamy pierwszego chorego. Na szczęście to był tylko ząb i udało się go (ząb) zostawić w Katowicach. Na granicy czekamy w nieskończoność. Ja jedna *nie byłam dotąd na Zachodzie. Sypią się więc opowieści o tym co zobaczę, co mnie zadziwi. Współczuje pani — usłyszę od jednego* z wielu profesorów Higginsów i niczym Eliza wysłuchuję dobrych rad, informacji o tym, że muszę być ostrożna, że pilnować paszportu i dolarów, nie zagapić się zanadto, *„bo jedna koleżanka to tak się zapatrzyła na kolorową wystawę, że wlazła w szybę"*.

Licząc tylko Włochy ta podróż jest dla filharmoników siódma. Jeszcze dopełniamy zapasy pieczywa, jeszcze w restauracji można zaliczyć piwo za złotówki. Po czterech godzinach jesteśmy w Czechosłowacji. Żołnierz kontrolujący nasze paszporty przestrzega jednego z muzyków: żeby pan tylko nie grał jak Tekla. Ale żarty na bok. Teraz celnicy. Kontrola wyrywkowa nie przynosi żadnych rewelacji. (Tak się jednak składa, że mają do niej szczęście wciąż te same walizki). Bez problemów mijamy szlaban oglądając się tylko na rozbrajanie z lisów i futer jakieś ekskursji turystycznej do Austrii. 200 czechosłowackich koron diety upłynniamy na wzbogacenie zapasów — czekolada, cytryny, jakieś puszki.

9 LISTOPADA

Rano żegnamy Czechosłowację. Nocleg będzie już we Włoszech. Czescy granicznicy każą wystawiać cały bagaż. Parę koron pozostałych z diet trzeba złożyć w depozycie. Czujemy ciężar odpowiedzialności człowieka przekraczającego granice. A tu już następna. Austriacy jednak nie są zainteresowani naszymi walizkami. Pytają za to o repertuar. A kiedy z ust stróża granicy popłynie fragment koncertu skrzypcowego D-dur Czajkowskiego, jaki wieziemy do Włoch, jest nam miło. Ruszamy w stronę Wiednia. Pusta droga i co parę kilometrów rzucające się w oczy pryzmy starych samochodów. Przynajmniej te pierwsze robią wrażenie na podróżnikach z kraju, w którym panuje kult auta.

Wjeżdżamy w Alpy. Cudowne pejzaże pod Simmeringiem! Trudno nie nabrać przekonania, że tu musi być zimowe El Dorado. Mijamy arcyschludne miasteczka. Zdaje się, że te rzędy wypucowanych domków z obramowanymi drewnem tarasami, z gazonami kwiatów ustawiono na pokaz, że nikt w nich nie mieszka. Łatwo o takie wrażenie, bo nie mijamy zbyt wielu ludzi. Nigdzie się też nie zatrzymujemy. Nasze 235 szylingów diety będziemy wydawać w drodze powrotnej.

W autokarze atmosfera wycieczkowa. Tylko solistka, Barbara Górzyńska, nie rezygnuje z porcji ćwiczeń. Później okazało się, że niezwykle pilny jest także jeden z waltornistów, który nie mógł mieć przy sobie instrumentu, więc do popołudniowych ćwiczeń kupił róg pocztowy i szlifował artystyczną formę.

Około godz. 18 jesteśmy na granicy w Tarvisio. Jakiś włoski kierowca wielkiej ciężarówki wyładowanej drewnem odgrywa przed służbą graniczną dramatyczną scenę. Jak przystało na filmowy typ Włocha macha rękoma, tłumacząc, że to nasz autokar zajechał mu drogę, że przez nas musi czekać na drugą zmianę graniczną. Prawie rozpacza. Ale nic nie wskórał i to my niepostrzeżenie znaleźliśmy się w miasteczku, w którym jeszcze za szylingi i już za liry można wypić pierwsze espresso i lampkę wina. Kartonik soku o pojemności jednej szklanki — 900 lirów! Te wysokie liczby na razie szokują. W banku patrzymy na kurs dolara. — niecałe 1.800 lirów. Nie tak źle. Wjeżdżamy w cudowny pejzaż rodzinnego miasta Dino Zoffa. Nareszcie swojsko. Za pierwszym zakrętem mały „Fiat"! Mijamy kolejne miasteczka. Już wieczór. Domy jakby nie zamieszkane. Grube, drewniane okiennice i żaluzje oddzielają mieszkania od świata. Jedziemy w stronę Bolonii. Górska trasa w nocy straszy, gdy światło autokaru padnie w kolejną przepaścistą czeluść. Zaliczamy tunele. Ktoś przypomina znaną opowieść o włoskich powojennych decyzjach rządowych: albo budować szpitale, albo drogi. Nie wiem jak wyglądają szpitale, ale drogi się Włochom udały, a gęszcz tuneli to i wygoda, i atrakcja. Do tego stacje benzynowe stanowiące jakby rodzaj oaz na pustyni autostrad — kolorowe, czyste i bez względu na porę dnia czekające na klienta. Na razie w stacyjnych sklepikach tylko oglądamy rozmaitość towarów, powtarzając: w dużych magazynach wszystko będzie tańsze. Potem się okaże, że kolorowe samochodziki, dla syna, które mnie akurat bardzo interesowały, choć droższe, tutaj są najładniejsze. Zapłacę więc po 3 i 5 tys. lirów za jakiegoś „dżipa" i samochód policyjny z otwieranymi drzwiami.

Gnamy do Rovigo. Miasto z wieloma kościołami, architekturą sięgającą X i XII wieku, spuścizną po Wenecjanach trudno jednak zwiedzać. Już północ, a my rano ruszamy w drogę. Grupa młodych ludzi wypatrzywszy, że to polski autokar — pozdrawia nas dłonią ułożoną w „V". Szybka kolacja, kanapki i herbata do termosu na jutro, bo przed nami ciężki dzień.

10 LISTOPADA

Dźwięki dzwonów dają znak miastu. O godz. 7 zaczyna się ruch. Ulica należy do najmłodszych. Grupy kolorowo ubranych dziewczyn i chłopaków, takie same jak w Warszawie czy Łodzi, śpieszą do szkoły. Tylko charakterystyczny sposób noszenia książek spiętych paskiem, nawet gdy na ramieniu wisi duża torba, obcy jest naszym nastolatkom. Na kontemplowanie widoków z hotelowego okna nie mam czasu, bo już pora na śniadanie i zaraz wyjazd. Śniadanie prawie jak komunia. Wszędzie jednakowe i równie symboliczne. Bułka albo grzanki, ciut dżemu, wiekowe masło, do tego kawa lub herbata. Prawdziwe śniadanie z krajowych zapasów „odprawimy" w autokarze. W drodze zaglądamy do gazet. Wszędzie nas pełno, nas, Polaków. Oczywiście sprawia to pogrzeb ks. Popiełuszki. W „Corriere della serra" patrzymy na najdramatyczniejsze chyba zdjęcie: Popiełuszko w trumnie, zmasakrowana twarz i ręce. Później to samo zdjęcie powtórzą jeszcze magazyny i powielą plakaty. Gra na emocjach, szarpanie wrażliwości, epatowanie tragedią — wszystko na sprzedaż.

Jest pochmurne południe. Co jakiś czas z autostrady widać Adriatyk. Dość ponure niecieka-we wybrzeże. Jedziemy w góry. Miejsce docelowe — Sulmona. Wjeżdżamy w najwyższe pasmo Apeninów. Jutro koncert. Ale na razie jest sobota, późne popołudnie. Piękny hotel leży zupełnie na pustkowiu. W folderze z okolicznych atrakcji są nawet niedźwiedzie. Ale my znacznie bardziej chcielibyśmy zobaczyć ślady ludzkiego życia. Do miasteczka — 4 km wzdłuż przelotowej drogi. Oczywiście chodników nie ma. Ryzykujemy jednak bliskie spotkanie z pędzącym weekendowo samochodem. Jakże warto było przedsięwziąć tę wyprawę! Sulmona to cudowne miejsce, jakby zupełnie zagubione w górskim bezkresie. Po długim marszu naraz przed nami miejskie ożywienie, pejzaż jakby ułożony ze wszystkiego i wszystkich, których ktoś zaprojektował, ulokował i uruchomił. Spacerujące rodziny, prześliczne wspaniale ubrane dzieci, tłum mężczyzn na głównym placu. Choć już wieczór i sobota, w małych sklepikach czekają na klientów. Do cen lepiej się nie przywiązywać, ale trudno nie spojrzeć na dobrane charakterem i kształtem złote ozdoby albo eleganckie zestawy najmodniejszych ciuchów. W kawiarniach głównie mężczyźni. Uliczny tłum gęstnieje. Przed oczyma, niczym z kartek żurnala, przesuwają się dziewczyny w kolorowych, wielkich samodziałowych kurtkach i żakietach: czerń, czerwień, zieleń i dużo szarości. Włoskie buty mają swoją sławę — czółenka na szpilkach, płaskie botki, rozmaitość kozaczków — efektowne i kosztowne. Ale płaściutkie baleriny to około 40 tys. lirów. Zostańmy więc przy wystawach, a jeszcze lepiej przy architekturze. Wąziutkie uliczki, na których nie ma nawet miejsca na latarnie, takie które można przeskoczyć trzema susami, mieszczą i przechodniów, i skrzynki z towarem, i jeszcze autobusy. Cudowny nastrój, filmowy klimat. Wracamy do hotelu. O tej porze roku jest pusty. Tylko na dole w restauracji żegna się jakieś wielkie męskie towarzystwo. Wyobraźnia podpowiada zakończenie obrad mafiozów. To górskie pustkowie pasuje do takich skojarzeń.

11 LISTOPADA

Dziś niedziela. Koncert w L'Aquili. To 20 km od naszego hotelu. Orkiestra przyjedzie na dwie godziny przed koncertem. Ale wraz z podróżującą z nami żoną maestra Andrzeja Markowskiego, jedziemy wcześniej, żeby trochę powędrować po mieście. Jak uczy doświadczenie innych, w malownicze, ale puste zaułki nie należy się zapuszczać. Przedeptujemy więc uczęszczane szlaki. Miasto położone u stóp Monte Corno (2.914 m) najwyższego szczytu w Abruzzach pachnie jesienią. Jest senne niedzielne popołudnie. W małej restauracyjce prosimy o pizzę. Kelnerka dziwi się, że wielkiego koła tego włoskiego przysmaku nie poprzedzamy zjedzeniem miski spagetti jak to czynią Włosi.

Koncert jest o godz. 17.30. W XIII-wiecznej surowej, acz pięknej bazylice, panuje przeraźliwe zimno. Muzycy, zachowując estradowe stroje, pod spód ubierają się najciepiej jak można. Tylko nasza skrzypaczka Barbara Górzyńska nie rezygnuje ze swoich granatowych zwiewności. Koncerty opisałam już dokładnie w relacjach dla „Dziennika Łódzkiego", więc przypomnę tylko, że ten był doskonale przyjęty, że zarówno skrzypaczka wykonująca koncert skrzypcowy D-dur Czajkowskiego, jak i orkiestra pod batutą Zdzisława Szostaka oraz wykonawca solowej partii w „Haroldzie w Italii", altowiolista Stefan Kamasa zebrali gorące brawa.

Kierowcy grzeją wnętrza autokarów. Wreszcie jest nam ciepło. Łyk wina staje się wręcz konieczny. Znowu sukces — mówimy półżartem. I tak to już jest, że zagraniczne występy, bez taryfy ulgowej, odpowiadają temu stwierdzeniu. Wyjaśnienia z pewnością należy szukać i w emocjach, i w chęci zaprezentowania się przed obcą publicznością. Jedno jest pewne: po tym koncercie nasza orkiestra może już także liczyć na sukces w okolicy koła podbiegunowego.

12 LISTOPADA

Cały dzień podróży. Postanawiamy ją jeszcze przedłużyć. Za przyzwoleniem Andrzeja Markowskiego, który właśnie dołączył do naszego autobusowego gremium, zbaczamy z kursu i jedziemy pod Monte Cassino. Przeraźliwie kręta droga. Ponury jesienny dzień, trudna trasa z widokiem na zawieszony wysoko biały klasztor...

Gdy zza kolejnego zakrętu wyłoni się wpisany w szarość wielki znak krzyża z białym orłem w środku, a niżej widać już będzie polski cmentarz, trudno nie mówić o wrażeniu. Jak zawsze jest tu dużo polskich grup. Przy płycie z nazwiskiem Andersa jacyś pielgrzymi z Krakowa śpiewają „Boże coś Polskę", grono osób z opaskami AK na rękawach składa biało-czerwone kwiaty, zapala świeczki. Stary kapelan, który przywiózł tu swoją grupę, opowiada o walce. Niby wszystko wiadomo, ale tu opowieści słucha się inaczej.

Zajrzeliśmy na Monte Cassino tylko na chwilę. Czas goni. Przed nami kalabryjskie miasteczko Crotone. Dojeżdżamy w straszliwej ulewie. Rozkołysane palmy, wzburzone morze, zimno... W hotelu lodowaty chłód. Za oknami wścieka się wiatr. Gdyby nie palmy, to pewnie tak samo jest w tej chwili w Międzyzdrojach.

13 LISTOPADA

Nawet ci, którzy zupełnie nie są przesądni, mieli prawo uznać, że trzynastka to marna liczba. Ledwie zdążyliśmy się rozejrzeć z okna, nabrać przekonania, że piękny pejzaż przyjdzie nam oglądać w deszczu, a już wiadomość: pogotowie, serce... Stoimy w hallu zupełnie dobici. Na szczęście, żeby już nie budować apokaliptycznych obrazów, mogę wyjaśnić, że wszystko dobrze się skończyło. Nasz chory przeszedł tylko chwilową słabość.

Parę godzin przed koncertem jedziemy na rekonesans po mieście. Pierwsze zakupy, wizje lokalne w sklepach. Wieczorny koncert nie zapowiada się zbyt optymistycznie. Sala kinowa, przed którą królują zapowiedzi najbardziej kasowych, terrorystycznych filmów, nie należy do najefektowniejszych. Tu po raz pierwszy A. Markowski dyryguje VII Symfonią Beethovena.

W kalabryjskim miasteczku pielęgnującym ślady po szkole Pitagorasa, dobrze będą wspominać orkiestrę, dyrygenta i Barbarę Górzyńską. Gospodarze chcą za wszelką cenę podkreślić, że cenią wszystko co polskie, swoje uznanie dla zespołu pieczętując słowami wdzięczności dla... papieża. Po 10 wiekach pierwszym papieżem jaki przyjechał do Kalabrii był papież-Polak — powtarzają.

I tu spotykamy Polaków. Tancerze z Krakowa uczą w szkole baletowej. Na towarzyskie pogwarki nie mamy za dużo czasu, bo już noc. A rano ruszamy do Messyny.

14 LISTOPADA

Malownicza trasa wciąż spotyka się z morzem. Sycylia przybliżona promem, już blisko. Od urody pejzażu odrywa handlowa oferta. Koncertmistrz Zenon Hodor, znający świetnie włoski, musi objąć funkcję doradcy handlowego. Marokańczyk oferujący towar, jest zadowolony. Klucze samochodowe, zegarki elektroniczne — pewnie tam gdzieś kupowane na kilogramy — idą całkiem dobrze. Ale to jedyne sycylijskie zakupy. Na inne nie ma czasu. Oglądamy miasto z okien autokarów.

Stefan Kamasa opowiada o sycylijskim przesłuchaniu altowiolistów. Kiedy jeden z muzyków stający przed komisją otwiera futerał, nie może ukryć przerażenia. Cóż się stało? — pytają członkowie komisji. — Ja tu mam karabin, a brat z altówką stoi pod bankiem... No jak tu wyzbyć się skojarzeń z sycylijską mafią? Nie wpadliśmy jednak na jej trop. Etna też nas nie postraszyła. Tylko deszcz nieustannie robi swoje. Miasto nie wygląda ciekawie, chociaż nie da się zapomnieć przewodnikowej wiedzy o trzęsieniu ziemi z 1908 roku, które 28 grudnia w ciągu pół minuty pozbawiło życia jedną trzecią mieszkańców. Trzeba by pewnie rozsmakować się w architekturze katedry, podziwiać ruchome postacie zegara — dzieła mistrza Ungherera, ale czas goni. Jutro mamy do pokonania 900 km drogi.

15 LISTOPADA

Można by powiedzieć: jedziemy, jedziemy, jedziemy. Już chyba wszystkie dowcipy zostały opowiedziane, zaczyna kwitnąć autobusowa twórczość poetycko-muzyczna. W kupionym po drodze magazynie „Oggi" cały serwis przedstawiający sercową opowieść o Włochu zakochanym w Rumunce, który nie mógł się doczekać, aż ukochaną wypuszczą z jej kraju, więc kupił „Citroena", zabudował przód i przemycił wybrankę. A teraz już będą żyć długo i szczęśliwie. Czytelnicy na całym świecie lubią romantyczne historie, doprawione politycznym sosem.

16 LISTOPADA

Pewnie nikogo nie zaskoczę tym stwierdzeniem, ale: znów jedziemy. Jeszcze 500 km i prosto z trasy na koncert do Giussano pod Mediolanem. Trudno się było spodziewać, że w taką ulewę przyjdzie aż tylu słuchaczy. Górzyńska bardzo się podoba. „Siódmą" Beethovena przerywa ciemność. Nie udało się naprawić światła, ale słuchacze mają prawo uznać, że słuchali dobrych muzyków. Gospodarze zapraszają nas na mały bankiet. Są pyszne kanapki, miniaturowa pizza, rewelacyjne ciasteczka, a do tego rozmaitość win i szampańskie strzały.

17 LISTOPADA

Pożegnaliśmy Stefana Kamasę, który pojechał do swoich studentów do Francji. Życzymy mu powodzenia w Koncercie na altówkę K. Pendereckiego, którego prapremiera czeka go w Berlinie Zachodnim. Zanim pojedziemy dalej, jeszcze zakupy. Wcześniej nie było na nie czasu. Market pod Mediolanem opanowujemy na dwie godziny. To, co może się podobać, jest na ogół powyżej finansowych możliwości posiadacza diet. Półki wypełnione różnościami spożywczymi kuszą. Przy regałach z winem panienka uzbrojona w plastykowe szklanki zaprasza do degustacji jednego z gatunków. A teraz co kupić? Najlepiej, żeby beztroskie wrzucanie do koszyka miał kto korygować, odstawiając „nadmiary fantazji" z powrotem na półki. Mnie się w ten sposób udało przebrnąć przez kolorowe rozmaitości i nie przeżywać chwil grozy przed kasą rozważając: wystarczy czy nie wystarczy. Ale teraz już w drogę. W Sondrio — w kurorcie tuż przy granicy szwajcarskiej, przed publicznością stanie orkiestra i dyrygent. Solistka dziś odpoczywa. Publiczność w tym malowniczym, drogim miasteczku zgotowała zespołowi, Andrzejowi Markowskiemu i wykonującemu partię solową w „Szecherezadzie" Rimskiego-Korsakowa — Zenonowi Hodorowi świetne przyjęcie. „Filharmonia Rubinstein" podobała się. A gdy po koncercie wiadomo już na pewno, że udało się szczęśliwie zakończyć perypetie z hotelem, atmosfera wyraźnie staje się luźniejsza, wyschły już łzy naszej pagartowskiej opiekunki, która w popłochu starała się odkręcić, co „skrzętni" gospodarze namieszali.

18 LISTOPADA

Finał coraz bliżej. Ostatni koncert w Brescii. Miasto oglądamy z autokaru. W przyhotelowej restauracyjce bulion i porcja gotowanego mięsa za jedyne 10 tys. lirów. Dla innych jest teraz trochę czasu przed koncertem na uruchomienie kuchenek gazowych i urządzenie obiadu z zapasów. Ostatni koncert. W sali będącej jakby małą La Scalą muzyka nabiera ostrego brzmienia. Ale ma swój wyraz. Ta akustyka wymaga arcystarannej interpretacji. Jak było, zaświadczą najlepiej recenzje, fetujące naszą skrzypaczkę już w tytule, nie szczędzące pochwał orkiestrze i Andrzejowi Markowskiemu. Jeszcze Mazur z „Halki" na bis i zwijamy żagle. Rano w drogę. Nastrój odprężenia. Czcimy finał winem.

Wejście na Most Karola z lewego brzegu Wełtawy *Foto: Tomasz Zarzycki*

U szewca Mateusza - to je ono!

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Gdy zmordowany wielogodzinną podróżą pociągiem wysiądzie wreszcie Polonus na praskim dworcu, z lekkim niedowierzaniem przygląda się licznym bufetom i barom, gdzie od wczesnych godzin serwuje się chętnym piwo, wino, szampana. Tych chętnych nie brakuje, choć akturat na dworcu czy lotnisku, gdy wyląduje samolot z Warszawy — przeważają nasi. I nikt nie pyta czy już minęła trzynasta, ustawa antyalkoholowa też jest zbędna...

Idzie Polonus do restauracji, ledwie siądzie przy stoliku, a już pojawia się przed nim szklanica porządnie schłodzonego piwska... W wielu sklepach możesz zamówić którąś z kapitalnych sałatek, z chrupiącym pieczywem (eh, te bułeczki ministra Krasińskiego) i do tego białe lub czerwone wino, a może wolisz jednak „Pilznera"? Gdzie się nie ruszysz mruga neonem grill-bar, piwiarnia, winiarnia. Możesz wybrać się do ekskluzywnej, hotelowej restauracji, a może bardziej odpowiada ci atmosfera stylowej karczmy, gospody, snack-baru? Wybieraj — masz w Pradze około 1500 różnej klasy lokali. W każdym bez mała otrzymać możesz „coś mocniejszego", od piwa do renomowanych, importowanych koniaków i „łyskaczy". Dlaczego więc nie widać nigdzie zataczających się facetów, przysypiających na stoliku z twarzą w schabowym opojów? Bez burd, awantur, wybitych szyb i milicyjnych interwencji? Jak oni to robią?!

Jurek Gołębiewski — „stały dopisovatel deniku „Trybuna Robotnicza" v Katovicich", niezastąpiony cicerone w czasie mojego kilkudniowego pobytu w Pradze, ma na ten temat własną teorię. Bynajmniej nie wyssaną z palca, a cztery lata podglądania naszych południowych sąsiadów to chyba wystarczające referencje.

— Wiem, że to zabrzmi jak bajka o żelaznym wilku: tu się dużo pije i nie ma pijaków. Samego piwa wypijają Czesi i Słowacy rocznie około 150 litrów na głowę, wliczając staruszków i niemowlaki; w Pradze, myślę, jeszcze więcej. Ale, stary — tu jest inna kultura picia i inna technika. Gdyby ci w lokalu podano ciepłe piwo — facet może z pracy wylecieć. Oni się tym piciem delektują, smakują trunek, nikt nie „pompuje" w siebie litrów napoju na pusty żołądek, a że piwo obowiązkowo schłodzone, pasteryzowane, więc i żadnych sensacji nie ma. Nawet jeśli spotka się w gospodzie na towarzyskiej imprezie grono przyjaciół to siedzą przy tych kuflach godzinami, zagryzając różnymi przystawkami. Inna sprawa — też dla nas niezrozumiała — nikt mocno wstawionemu klientowi nie poda nawet jednego „małego jasnego". A piwo piją tu rzeczywiście wszyscy. I nikogo nie dziwi widok faceta na ulicy w niedzielę wieczorem z dzbankiem złotego napoju w garści: widocznie ma gości i wyskoczył do gospody po parę litrów orzeźwiającej „dwunastki"...

To było sobotnie popołudnie. Gdy już ledwie żyłem po wielogodzinnej wyprawie na praską starówkę, kark mi zdrętwiał od podziwiania hradczańskich budowli, wydeptałem bruki Złotej Uliczki, dla której czas zatrzymał się parę wieków temu — mój przewodnik zaserwował mi jeszcze jedną niespodziankę. Listopadowy wieczór zbliżał się szybko, ziąb był przenikliwy, więc nie dałem się długo prosić, gdy zaproponował krótki odpoczynek w winiarni.

Wąskie drzwi pod arkadami, dzwonek, dwa stopnie w dół. Przytulne, małe wnętrze, ciepło — to były pierwsze wrażenia. Uśmiechnięty mężczyzna w firmowej kamizelce pomógł zdjąć kurtki, które szybko znalazły się na wieszakach i poprowadził do stolika. Jednego z sześciu na sali. Zapalił świecę umieszczoną w stylizowanym... bucie, poszeptał chwilę z Jerzym i pojawiły się wnet lampki białego wina oraz karty dań.

Później się okazało, że mój przewodnik zna tę kartę na pamięć, między innymi dlatego, że od wielu lat proponuje się tu identyczne potrawy i napoje, z takimi samymi przystawkami, dodatkami, niezmiennie jednakowo przyprawione i podane. Ale rozglądając się z ciekawością po gustownie urządzonym wnętrzu stwierdziłem raptem z pewnym zdumieniem, że siedząca obok dama występuje w jednym... buciku Elegancka, wytworna kobieta bawiła się znakomicie w towarzystwie przystojnego brodacza, gospodarz w barwnej kamizelce dyskretnie dolewał szampańskich bąbelków, ale ona z całą pewnością była w jednym bucie! Trąciłem Jurka: — Stary, o co tu chodzi?

— Spokojnie, zaraz zobaczysz... — usłyszałem w odpowiedzi.

Zająłem się więc białym wytrawnym i smakowitymi kotlecikami w ostrym sosie, z ryżem i sałatką, ale zerkałem co chwila na praskiego „Kopciuszka". Nie minął kwadrans, gdy zjawił się... szewc. Z zaplecza. W roboczym fartuchu. Przymierzył damie bucik, pogwarzyli chwilę, dopisał coś do rachunku i zniknął.

— Widzisz — tłumaczył Jurek — jesteś w barze-winiarni „U szewca Mateusza", a specjalnością zakładu jest tu ekspresowa naprawa obuwia! I nie jest to żadna prywatna ani ajencyjna knajpa, właścicielem lokalu jest spółdzielnia rzemieślnicza, konkretnie — skórzana, a wszelkiej maści obuwie naprawić możesz w godzinach ich pracy, czyli codziennie od 12 do 22. Jedni zjawiają się w sytuacjach awaryjnych, inni przychodzą na dobry obiad z siatką butów do naprawy. Po prostu.

I biegnie opowieść o człowieku, od którego imienia wzięła się nazwa winiarni, o szewcu Mateuszu. Człowieku z biednej rodziny, samouku o niezwykłej inteligencji, kulturze i wielkich aspiracjach. Chciał poznać ludzi światłych wybitnych, znanych; ministrów, dyplomatów, aktorów. Twierdził, że jeśli zostanie szewcem, dobrym szewcem, to ma szanse, bo z butami każdy do niego przyjdzie... I dopiął swego. Gdy w 1971 roku uruchomiono na Hradczanach niecodzienny lokal — jemu zaproponowano tu miejsce. Mówiono, że był „profesorem dusz i butów", w ciągu lat zyskał sobie sympatię i przyjaźń ludzi prostych i ministrów. Filozof, biegle władający językiem niemieckim i angielskim, nikomu nie skąpił gościny, rady, serca. Zaprzyjaźniony z dyplomatami, pracownikami pobliskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, reżyserami, piosenkarzami dyskutować potrafił na każdy temat, był postacią, której trudno było nie znać. Przy każdej okazji wspominał jako cudownego człowieka m. in. naszego ambasadora Jana Mitręgę, z którym był po imieniu, a który często się tu zjawiał, by nie tyle podzelować dyplomatyczne obuwie, co pogawędzić.

I nikt nie wiedział, kto pierwszy ochrzcił szewca-filozofa mianem mistrza Mateusza, bo tak naprawdę nazywał się Jaroslav Adamek. Nazywał, bowiem Mateusz zmarł w połowie ubiegłego roku. Jego schedę, jak mówią — z dobrodziejstwem inwentarza — przejął też mistrz w swoim fachu — Milos Angelo, z pochodzenia Jugosłowianin, o którym przyjaciele mówią żartem, że w przeciwieństwie do wielu swoich rodaków „uciekł" do Czechosłowacji, a nie na Zachód.

Z przyjemnością obserwuję przy pracy barmana i kelnera w jednej osobie, zresztą w myśl rodzimej nomenklatury należałoby mu jeszcze przypisać etat kierownika sali, szatniarza, portiera i — bez obrazy — babci klozetowej. Jest nieprawdopodobnie szybki, przy tym grzeczny, uczynny i — niewiarygodne — uśmiechnięty. Znika na chwilę na zapleczu, by wyprysnąć stamtąd z pachnącymi potrawami, nie zapomni dopełnić kieliszków, podaje okrycia, żegna gości i wita nowych, w locie przyjmuje zamówienia, doradzi, gdy trzeba, da ogień, drinka przy barze. Jest wszędzie.

Lokal jest maleńki, kuchnia, czyli zaplecze — jeszcze mniejsza, a toaleta w podwórzu. Niestety, u nas określenie: toaleta w podwórzu budzi jednoznaczne skojarzenia, nad którymi, ze względu choćby na świąteczny nastrój, nie będę się dłużej rozwodził. Gdy u „Szewca Mateusza" szukałem tego ustronnego miejsca, ledwie przestąpiłem próg drzwi od strony niewielkiego podwórka, zabłysły nad nim światła kilku lamp. To szef sali zauważył moje wyjście i pamiętał, bym sobie nie nabił o framugę guza. A sama toaleta była olśniewająco czysta, ze świeżym ręcznikiem i mydłem. Pardon za ten wtręt, jednak szlag mnie trafiał, tam, u szewca, gdy wspomniałem nasze lokale najwyższych kategorii...

Ale miało być świątecznie. Cóż więc oni takiego podają w tej winiarni? Cóż tak ludzi przyciąga (oprócz zelowania butów?) Zerknijmy w kartę, której treść, jako się rzekło, niezmienna jest od początku istnienia lokalu. Zacząć od trunków? Proszę bardzo. Pięć rodzajów aperitifów, od „Campari" do „Moskiewskiej", sześć białych i cztery czerwone wina, dwa gatunki szampanów, marynarski grog, wina na gorąco, kilka rodzajów wódek z pięcioletnią śliwowicą na czele oraz full import, do wyboru, do koloru — brandy, giny, „skocze" (dla ciekawości — 50 gram „Ballantine" — 41 koron). Dla pań — jeszcze likiery, kilka świetnych marek. Włącznie z powszechnie lubianą „Beherovką", uznawaną żartobliwie za trzynaste źródło Karlovych Varów, ekstrakt 47 różnych ziół. Dosyć trunków? Zgoda, więc napoje bezalkoholowe, koktajle (szesnaście różnych odmian), kawę podawaną na osiem sposobów — zostawmy na deser. O tym ostatnim — też za chwilę. Jesteśmy głodni... O kanapkach nie wspomnę, ale kilkanaście przystawek na zimno, z wędzonym łososiem, półmiskiem wędlin, rybnymi wątróbkami z cytryną — stanowi wstęp wcale smakowity. Zupy: tylko trzy, ale mamy jeszcze w propozycjach „diabelskie" tosty i kilka ciepłych zakąsek. Wreszcie — dania zasadnicze, czyli dziesięć potraw w cenie od 17 do 49 koron. Specjalność — loretansky rizek, czyli taki nasz sznycelek na winie oraz mięso po chińsku. Mamy ochotę na deser? Dziesięć propozycji do wyboru: od pucharu lodów do hradczańskich naleśników z alkoholem. Chyba wystarczy...

Uwijający się wciąż jak w ukropie szef sali (jak go inaczej nazwać...) — Jan Nedved, widząc co się święci, bo i Jurek wydaje się, uprzedził go, że ktoś zamierza ich opisać, podrzuca mi trzy opasłe księgi. Przeprasza, ale nie ma czasu przysiąść się choć na minutę, może nieco później... I już jest przy drzwiach, pomaga wyswobodzić się z płaszczy dwóm starszym paniom i po chwili, usadowiwszy je przy sąsiednim stoliku, doradza coś z karty, sugeruje drinki.

Przeglądam księgi. Nie tylko ja jestem pod urokiem tego lokalu. Na każdej stronie pracowicie powklejane dziękczynne dedykacje, pozdrowienia kreślone na rachunkowych świstkach, wizytówki, zdjęcia z autografami. Miga mi fotka Karela Gotta, jakieś słowa uznania w języku włoskim, wizytówka z nadrukiem w języku hiszpańskim, angielskim, jeszcze okolicznościowe wiersze, rysunki, słynna Melanie dziękuje za naprawę bucika. Zdjęcie Nadii Urbankowej, dwie kartki dalej uśmiecha się obok życzeń sympatyczny Jiri Korn. Rozpromieniona Vondrackova wznosi toast na zapleczu obok starannie wykaligrafowanych pozdrowień kogoś ważnego z Caracas. Jest także Irena Jarocka i skreślone jej ręką podziękowania za niezapomniane wrażenia, atmosferę...

Trzy grube tomiska, a w nich zapisana życzliwość, ciepłe przyjęcie, kapitalna atmosfera winiarni. Ta atmosfera tchnie z każdego kąta. Naprawdę trudno stąd wyjść. Gdy za oknem duje wichura, zimno, niemiło, tu przyćmione światła, świece na stołach, z ukrytych gdzieś głośników sączy się cały czas „włoszczyzna". I ta dyskretna, nieporównywalna nawet z naszym „Wierzynkiem" (bo nie na pokaz...) obsługa. Tu pracują zaledwie cztery, słownie — cztery, osoby. Dwie na zapleczu, jedna na sali, no i — szewc...

Jan pochyla się nad nami. Pyta co jeszcze podać, może coś na ciepło, a może jakiś deser? Nie mamy już na nic siły, za chwilę pękniemy w szwach. Więc tylko kawa i po maleńkim koniaku. Pstryka zapalniczka, ledwie tylko sięgnęliśmy z Jurkiem po papierosa. Tych ostatnich, zresztą masz, drogi Czytelniku, kilkadziesiąt gatunków do wyboru w każdej trafice. Od krajowych, po kilka koron, przez licencyjne do oryginalnych, importowanych — po 20—25 koron. Drogo? Ale są, leżą, gdy ci przyjdzie ochota — możesz kupić bez problemów, bez potrzeby uciekania się do eksportu wewnętrznego". I „Camele", i „Kenty", i „Benson and Hedges"...

Nad małą czarną wróciła też do nas — zupełnie niepotrzebnie — nasza rodzima, gastronomiczna rzeczywistość. Te gigantyczne restauracje-stodoły, z szatniarką robiącą na drutach, znudzonymi tabunami kelnerów, babcią klozetową wydającą, sorry, papier pod przydział. Brudne stoły, niedomyte nakrycia, muchy na skamieniałych kanapkach i ohydne, ciepłe pomyje, zwane piwem. Czy nie można inaczej? Szefowie od naszej krajowej gastronomii twierdzą, że nie. Bo nie ma: mocy, surowca, odpowiedniej kadry, bodźców do rzetelnej roboty i tak dalej. Przyczynami można by brulion zapisać, ale generalnie — nic się nie da zrobić. No, gdyby ewentualnie w prywatne ręce, może ajent. Niby są wyjątki, lepsze i gorsze, ale tu przecież chodzi naprawdę o regułę! I co tu gębę, za przeproszeniem, strzępić po próżnicy, wniosek jest jeden: przysłać naszych gastronomicznych gestorów, choć na parę dni do Czechosłowacji. Nie, nie!! Nie na „Pilznera", ale na praktyczne szkolenie...

Zaczęliśmy właśnie sporządzać listę, kogo by na pierwszy ogień, gdy na sekundę, jak zaznaczył, przysiadł się ten niesamowity Nedved. Właściwie jest ich dwóch, pracują na zmianę, on i Petr Vonka, tak, od 12 godziny, ale zawsze któryś przychodzi wcześniej, bo trzeba lokal uporządkować, przygotować zakąski, przystawki. Po zakończeniu roboty sprzątają, pomagają w kuchni, zmywają, by rano wszystko lśniło. No, a w nocy, gdy nie ma dyżuru, nagrywają kasety, by z „muzycznym podkładem" być na bieżąco...

Przyznaje bez żenady, że zarabia nieźle. Jak się starają to i nie ma klienta, który by do rachunku te pięć, czasem więcej koron nie dołożył. Dlaczego nie, jeśli wychodzi zadowolony? Tak, rzeczywiście, nie ma w Pradze polskiej restauracji, a on sam chętnie by poznał bliżej naszą kuchnię. I znów znika, bo z zaplecza ozwał się dyskretny dzwonek. W przelocie zmienił na stoliku popielniczki, zapalił nową świecę. Obsłużył kilku nowo przybyłych, błyskawicznie przyrządził dwa aperitify przy barku. I znów wrócił do nas. Bo prosiłem go o jakiś przepis, najchętniej na ich specjalność, ów loretansky rizek. I oto on:

— Bierzemy 40 dekagramów (danie dla dwóch osób) ładnej cielęciny. Mięso szpikujemy żółtym serem, po czym rozklepujemy, dodajemy sól, pieprz, według smaku. Teraz dajemy porcję na olej, na patelnię (ewentualnie do grilla), smażymy, dusimy troszkę podlewając wodą, aby mięso „doszło". Wyjmujemy je, a sos, który zostaje dorabiamy cebulą, keczupem, wlewamy także 50 gram czerwonego wina. Sos podgrzewamy, by zgęstniał, dodając znów do smaku soli i pieprzu. Na talerze wykładamy gorące mięso, zalewamy sosem, dodając jeszcze utarty ser i zieleninę. Podajemy z ryżem, pieczywem, jak kto woli, jakąś smaczną sałatkę, no i lampkę wina... Prawda, że proste?

Żegnamy się, dosyć na dziś tych gastronomicznych szaleństw. Jan podaje okrycia, a przy drzwiach z uśmiechem tłumaczy:

— Jeśli komuś z twoich Czytelników nie uda się nasza specjalność, to zapraszamy na oryginał, do „Szewca Mateusza". Żaden problem, a i stolik można zarezerwować, także telefonicznie...

No więc proszę bardzo: Praha 7, Loretanske Namesti 4, tel. 53-35-97. To je ono!...

■

Vaclavske Namesti *Foto: Tomasz Zarzycki*

W marcu sześćdziesiątego czwartego roku zmarł Kuba. Nie było już śladu po zimie, nastały dni ciepłe, coraz dłuższe.

Artur przyjechał na pogrzeb z Joanną.

Kuba został pochowany w Cisnej, na małym cmentarzu tuż przy drodze do Majdanu, ostatniej stacji kolejki waskotorowej.

Nad mogiłą stała garstka nieznajomych. Nikt nie przemawiał, byłoby to chyba śmieszne. Kuba odchodził w milczeniu, żegnany cichym szumem świerków z pobliskiego stoku Rożków.

— Wszystko, co robił w życiu, było dla niego jednakowo ważne, a robił przecież wiele różnych rzeczy. Gnała go przed siebie ciekawość życia. Mówił, że komunista musi być zawsze pierwszy, na przedzie. Dopiero za nim pójdą inni. Co jakiś czas trzeba przystanąć, obejrzeć się za siebie, sprawdzić, czy naprawdę idą — wspomniał Artur po drodze. — Kiedy było z nim naprawdę źle, powiedział: nigdy nie zazdrościłem tym, którzy byli w lepszej ode mnie sytuacji, nie żywiłem urazy nawet do tych, którzy chcieli mnie utopić w łyżce wody. I cieszyłem się, że istniałem nadal. Tak trzeba, mój drogi, mówił, bo chociaż ślad twój wystygnie szybko, to chodzi o to, aby nikt się potem za ciebie nie wstydził.

Przenocowali w hotelu miejskim w Sanoku.

— Nie lubię pogrzebów, rozstań. Czasami boję się nocy jak śmierci. Lękam się samotności.

— Głuptasie, jesteś jak dziecko.

— Zabawne. Człowiek uporczywie trzyma się wozu, myśli sobie: najważniejsze, aby być na górze, aby nie spaść. A kiedy stanie się to najgorsze, jest mu wszystko jedno.

— Trzeba umieć chwytać los, który się nie powtarza — powiedziała.

— Właśnie, łapać los, a nie trzymać się uporczywie góry.

Stał przy oknie z rękami w kieszeniach, odwrócony do niej plecami.

— O czym myślisz? — spytała z niepokojem.

— O tym, jak rozpocząć życie od nowa, od początku. Rzucić wszystko w diabły, chwytać szczęśliwy los, który się nie powtarza.

— Szczęśliwy los? — powtórzyła. Wciąż nie odstępowało jej uczucie leku.

— Tak. To właśnie ty nim jesteś, Joanno.

Posmutniała zatroskana.

Na IV Zjeździe partii towarzysz Ryszard Godula nie został ponownie wybrany sekretarzem KC.

— Towarzysz Wiesław zadecydował, że tu, w Katowicach, ma dostatecznie dużo roboty, że województwo ważniejsze — tłumaczył Stach Lutyński.

— Tak, roboty jest faktycznie sporo, — Artur udawał, że przekonuje go ta argumentacja.

Wymieniali wtedy zdania jak szyfr. Nie był to czas zadawania niepotrzebnych pytań.

O odejściu Goduli mówiło się różnie. Doszło do Artura, że ponoć poróżnili się z towarzyszem Wiesławem. Wydawało mu się to mało prawdopodobne. Skłonny był uwierzyć, że to przeciwnicy Ryszarda urobili Wiesława przeciwko niemu. Ale dlaczego nie sprawdził, dlaczego dał im wiarę?

Słyszał też i inną wersję. Na przyjęciu u Wiśnickich, a bywali tam rozmaici ludzie, ktoś opowiadał, że Godula wyleciał za Poznań.

— Co to znaczy? — spytał Artur.

— Uznano, że jego zachowanie w czasie wydarzeń poznańskich było, delikatnie mówiąc, nie bardzo w porządku.

Na dalsze pytania odpowiedział:

— Ba! Może historia kiedyś na to odpowie, za dwadzieścia pare lat, a może i później.

— Pewnie już ci wiadomo, że zostaje tutaj — zaczął rozmowę Ryszard przy pierwszej okazji.

— Tak.

— Dwa kroki do tyłu, a potem jeden duży w przód. Nie ja to wymyśliłem.

— Tak — mruknął Artur. Starał się być swobodny i naturalny. Wyszło powściągliwie.

— Jak tam u ciebie, co słychać?

— Szczerze mówiąc, jestem trochę zmęczony, ale najważniejsze, że robota postępuje. Jednak nie będzie nowego dworca?

— Będzie! Jeszcze nie teraz, ale będzie. Wszystko będzie — przekonywał Ryszard uparcie.

— Tak.

— Mam do ciebie prośbę — zwrócił się do Artura ciepłym, przyjacielskim tonem — Może wróciłbyś do Komitetu? Na sekretarza?

— A czym miałbym się zająć?

— Nauka.

— Nie rozumiem.

— Jest projekt, aby powstał na Śląsku uniwersytet. Ktoś to musi wziąć na siebie. Pomyślałem o tobie, bo widziałem, jak sobie dajesz radę z przebudową śródmieścia. Mamy przodującą klasę robotniczą, ale nie mamy własnej, śląskiej inteligencji. Nasze dzieci muszą jeździć do Krakowa, Wrocławia. Co o tym myślisz?

— Zaskoczyłeś mnie, ale pomysł uważam za dobry. Nie bardzo wiem, od czego zacząć.

— Od zgody — podpowiedział Ryszard. — No jak?

— Dobra, spróbujemy.

— Napijemy się za pomyślność wielkiej sprawy.

Jak się to mówiło — z marszu zajął się sprawami oświaty i nauki. Praca partyjna na tym odcinku nie należała do najłatwiejszych. Sekretarz branżowy na tej działce nie był nigdy wielka figura na komitetowej szachownicy. Artur zdawał sobie z tego sprawę. Helena była zadowolona.

— Jak zrobisz doktorat, będziesz wreszcie kimś, nawet jak wypadniesz z gry, to już nie na ulicę — komentowała po swojemu. Wierzyła, że jako sekretarzowi od spraw nauki będzie łatwiej zakończyć pomyślnie przewód.

W duchu przyznawał jej rację.

Nowa funkcja sprzyjała pracy nad doktoratem. Uwierzył znów w siebie. Pracował tak, jakby doktorat stanowił największy, a może chwilami: nawet jedyny sens jego życia.

Opamiętał się, kiedy zachorowała Helena. Zaczęło się od zwykłych, niewinnych bólów, a skończyło na skierowaniu do szpitala i operacji.

KAROL JÓZEF STRYJSKI

Wątpliwości gubić po drodze

Leżała w szpitalu klinicznym w Zabrzu.

— No widzisz, wszystko dobrze, a tak się bałaś.

— Ty też miałeś strachu.

— Pewnie, chociaż lekarze mówili, że to nic poważnego, po prostu woreczek, a w nim kamienie. O takie, popatrz.

Chociaż jesień była jeszcze w pełni, ptaki odlatywały w pośpiechu, a za nimi babie lato.

Przez rok sprawowania nowej funkcji zrobił sporo, ale perspektywa uruchomienia na Śląsku uniwersytetu była jeszcze daleka. Mimo przeciwności i kłopotów cel wydawał się realny. Inaczej rozmawiano z nim teraz w Warszawie — konkretnie, choć jeszcze bez szczegółowych zobowiązań.

Zapomniano już o chorobie Heleny, kiedy nagle zmarła jej matka. Był to pierwszy od lat pogrzeb w rodzinie. Skromny, ale jak tego sobie życzyła zmarła — z księdzem. Obeszło się jednak bez kłopotów.

Jeszcze na początku lata Joanna, która dostała urlop naukowy, wyjechała do krewnych do Pluchowej nad jeziorem Makajło. Obiecał, że ją odwiedzi.

Zastanawiał się czasami, dlaczego Helena świadomie toleruje jego związek z Joanną. Starał się żyć tak, aby dom na tym nic nie ucierpiał. A przecież wiedziała, musiała wiedzieć...

W środku lata Joanna przysłała list (przedtem długo nie pisała): „Myślę, że będzie to córka, przecież masz już dwóch synów... Przyjedź nie zwlekaj. Jeszcze można wszystko zmienić".

Ucieszył się, a równocześnie ogarnął go lęk. Teraz będzie musiał podjąć decyzję. Chciał być jak najprędzej z Joanną, ale nie mógł rzucić wszystkiego i z dnia na dzień wyjechać. Czekała go jeszcze podróż służbową.

Z Warszawy, gdzie załatwiał sprawy w ministerstwie i wydziale nauki KC, pognał samochodem do Pluchowej. Wskazówka szybkościomierza przekraczała cyfrę sto. W pamięci miał wciąż ostatnie słowa listu: „Jeszcze można wszystko zmienić".

Nie, tego nie pragnął zmienić.

Nie zastał Joanny w leśniczówce.

— Poszła na spacer do przystani. O, tędy, ta ścieżką pan pójdzie — objaśniała leśniczyna.

Joanna siedziała na końcu mola, z nogami zanurzonymi w wodzie. Kiedy zawołał ją, odwróciła się bez pośpiechu i pomachała ręką na powitanie. Nie wstała jednak. Nie wyszła naprzeciw.

Ucałował ją gorąco. Tuliła się do niego, nieumiejętnie skrywając smutek. Nie miał odwagi powiedzieć ani słowa.

Spostrzegł łzy w jej oczach.

— Joasiu — wyszeptał. — Nie, Joasiu, to niemożliwe.

Czuł, że stało się najgorsze, i że on jest temu winien.

— Nie przyjeżdżałeś, nawet nie napisałeś. Dłużej nie można było zwlekać — tłumaczyła przez łzy. — Nie wiedziałam czy chcesz naprawdę...

— Mój Boże, chciałem, bardzo chciałem — odparł z żalem, ale bez wyrzutu.

— Nie mogłam czekać — usprawiedliwiała się.

Płakała głośno. Objął ją w milczeniu, bo gorycz ściskała mu gardło, patrzył ponad jej głową w stronę drugiego brzegu jeziora. Dopiero teraz zauważył jak tu pięknie.

— Nie mogłem wcześniej, naprawdę nie mogłem — wyszeptał z trudem. Nie potrafił znaleźć odpowiednich słów, aby mu uwierzyła.

— Nie pisałam więcej, bo nie wiedziałam jak. Tak bardzo pragnęłam tego dziecka.

Patrzył w milczeniu na płynące po jej policzkach łzy.

— Może to kara? — spytała.

— Kara? Co ty, Joasiu?

— Musiałam sama za nas oboje podjąć taką decyzję. Czy mi przebaczysz?

— Już tego nie odwrócimy — uspokajał ją. — Ważne, że ty jesteś zdrowa.

Po tygodniu wracał z Pluchowej. Żegnając go Joanna miała oczy pełne łez, a on w milczeniu gładził ją po włosach.

Po drodze w jakimś zajeździe zamówił kawę i setkę wódki. Kawę wypił od razu, parząc sobie usta. Alkoholu nie tknął.

Nawet nie stać mnie na to, by się upić — szydził z siebie wsiadając do samochodu. Mieszały się w nim niemoc i ból, żal i rozpacz, tęsknota i bezdenna pustka. Pogardzał sobą za tchórzostwo, za słabość, za ucieczkę, którą usprawiedliwiał: obowiązek, obowiązek przede wszystkim...

Zabić szczęście w przeświadczeniu, że tak właśnie nakazuje obowiązek. Ileż w tym barbarzyństwa — myślał.

Nazajutrz po powrocie do domu napisał list do Joanny, potem drugi, trzeci... Odpowiedź nie nadchodziła.

Wydawało mu się, że stracił nie tylko dziecko, upragnioną córkę, ale swój szczęśliwy los.

W sześćdziesiątym siódmym roku odsłonięto pomnik Powstańców Śląskich. Trzy wielkie skrzydła, symbolizujące trzy powstańcze zrywy narodowe Ślązaków, wrastały w zmieniające się z rozmachem śródmieście Katowic. Nowe oblicze miasta dowodziło sukcesu Artura, było efektem jego uporu. Tak to odczuwał, stojąc obok Ryszarda pod pomnikiem.

W miesiąc później obronił doktorat. Na obronie była Joanna i Robert. Helena znów chorowała, od tygodnia leżała w szpitalu. Lekarze byli dobrej myśli, ale Artur bardzo się martwił.

— Rozmawiałam z ordynatorem, to naprawdę nic poważnego — przekonywała Joanna. — Pomyśl o sobie. Jak ty wyglądasz?

— Teraz po obronie będę miał więcej czasu, odpocznę.

— Wyjedziesz? Przydałoby ci się.

— Nie. Muszę się zająć domem. Robert ma kłopoty na uczelni, Paweł wnet będzie robił maturę. I w Komitecie dużo roboty.

— Mój Boże, kiedy ty zaczniesz myśleć o sobie. Nie można żyć samymi obowiązkami — wyrzucała mu.

Im bliżej był Stacha Lutyńskiego, tym bardziej malała dawna sympatia Artura do niego. Staszek wyrastał na wielkiego bufona, a takich Artur nie znosił. Jego ignorancja i prymitywna pewność siebie stawały się nie do zniesienia. Nie rezygnował z mentorskiego tonu nawet wówczas, kiedy jego racje rozmijały się ze zdrowym rozsądkiem. Mimo to Ryszard miał o nim niezmiennie dobre zdanie, darzył go zaufaniem i ochraniał przed każdą krytyczną opinią.

Może właśnie dlatego stosunki Artura ze Staszkiem były nadal poprawne, prawie przyjacielskie. Czasami dochodziło między nimi do kontrowersji, ale do formalnej wojny było jeszcze daleko.

Tak było na naradzie aktywu kierowniczego województwa, późną jesienią sześćdziesiątego siódmego roku.

W imieniu Pierwszego naradę prowadził Staszek. Doszły go słuchy, że kilku dyrektorów szykowało się do krytycznej dyskusji. Postanowił pierwszy uderzyć, ot tak, profilaktycznie, a zarazem zasygnalizować, że wie, co w trawie piszczy:

— Tak, nie jest łatwo. O tym nie musimy ani zbyt głośno mówić, ani rozpisywać się na cały świat. Jak zwykle jednak w sytuacjach przezwyciężania obiektywnych trudności aktywizują się rozczarowani i rozgoryczeni. Oni chcieliby oceniać postępy w budowie socjalizmu tylko na podstawie stopnia zaspokojenia własnych potrzeb i nierzadko wybujałych ambicji indywidualnych — grzmiał Staszek. — Ci, którzy osobiste frustracje i prywatne rozczarowania pragnęliby przekształcić w ogólnonarodowe, nie mogą liczyć na naszą pobłażliwość. Przedstawiając nasze skomplikowane i złożone problemy, na które nałożyły się teraz trudności obiektywne w krzywym zwierciadle, — bełkotał — pragną pod hasłem „jest źle, a będzie jeszcze gorzej" kaleczyć świadomość społeczną, paraliżować entuzjazm i wysiłek kadry. Chcieliby tym pożałowania godnym działaniem wziąć odwet za lata, w których siedzieli cicho, jak mysz pod miotłą — zakończył.

Klasyczny przykład ustawiania sobie ewentualnych krytyków na pozycji, na której żaden rozsądnie myślący działacz nie zechce się znaleźć — rozmyślał Artur.

Zgodnie z oczekiwaniami Artura potencjalni dyskutanci wybrali milczenie lub ciche narzekanie w czasie przerwy na papierosa.

— Widzisz, jak ich usadziłem — triumfował Staszek.

— Udało ci się — gratulował mu z ironią Artur. — Szepczą po katach jak uczniaki i wyzywają cię do skurwysynów.

— Wisi mi to. Przyjdzie czas, że dobiorę im się do skóry. Zobaczysz, będą mi jedli z ręki jak gołąbki.

— Nie wątpię, ale nie jestem pewien czy właściwie oceniasz sytuację, czy o to chodzi. Mam wątpliwości.

— Wątpliwości — roześmiał się. — Mam na to receptę. Wątpliwości mój drogi — radził protekcjonalnie — należy gubić po drodze. Z nimi nie można ani dobrze żyć, ani pracować.

Ostatnie słowo było przestrogą, ale Artur brnął dalej:

— Dobrze żyć to jak według ciebie?

— Stary, posłuchaj — powiedział niecierpliwie Stach — istnieje w partii hierarchia spraw i hierarchia ludzi. W jednym i w drugim przypadku ustalonych reguł nie można bezkarnie łamać. Nie wystarczy mieć wątpliwości a nawet rację. Trzeba jeszcze umieć te racje sprytnie udowodnić, czyli mocno postawić na swoim. A ty, ani nie masz racji, ani nie potrafisz ich udowodnić. Po cholerę więc wątpliwości? Jednostka niczym, samotnym zerem. I pamiętaj, wątpliwości najlepiej dyskretnie gubić w marszu, jak śmieci.

Artur milczał.

— Coś tak zaniemówił? Chyba się nie przestraszyłeś?

— A jeśli trochę?

— To się ciesze, bo to znaczy, że predko się uczysz. Takich nam trzeba — triumfował Staszek, klepiąc poufale Artura po ramieniu.

Fragment pochodzi z powieści pt. „Są jeszcze sprawy drobne" przygotowywanej do druku nakładem „Wydawnictwa Łódzkiego".

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Biały punkt

(fragment powieści)

WIESŁAW ROGOWSKI

Płonął gmach Komitetu Wojewódzkiego. Wtopiony w nieprzerwany ciąg domów, tworzących północną pierzeję Placu Żołnierza, wyróżniał się tym, że do wysokości dwóch metrów wyłożony był klinkierowymi, czerwono-brunatnymi płytkami, zaś powyżej ich do spadzistego dachu wymalowano go na kolor żółty. Łącząca się z nim jak brat syjamski kamienica na rogu Placu i Alei Zwycięstwa, była nowoczesnym domem mieszkalnym, tylko na parterze mieściły się tam sklepy „Lnu Polskiego". Trzeci z kolei, również narożny dom z drugiej strony wyglądał jak stara czynszowa kamienica, ale mieścił wszystkie szczecińskie redakcje oraz księgarnię wysyłkową.

W istocie rzeczy każdy pożar w jednym z tych budynków groził pozostałym. Płomienie, wypełzające w ślad za czarnym dymem z okien gmachu partii, pięły się coraz wyżej, rozjaśniały coraz ostrzej owym odblaskiem cały plac, tłum szczelnie wypełniający wszystkie wolne przestrzenie między czołgami, i mogły w każdej chwili przerzucić się na dwa przyrośnięte z obu stron, ocalałe dotąd domy. Strażacy nie zdołali jednak tu dojechać — było zbyt gęsto od ludzi i wojskowych wozów; gdy zaś usiłowali się zbliżyć od strony podwórza, za gmachem — zapatrzeni w pożar, rozjuszeni młokosi zatrzymywali wozy strażackie i przecinali rozwijane węże strażackie, kłuli nożami koła samochodów. Było strasznie. Jeszcze nim pożar rozgorzał, z okien gmachu wyrzucano biurka, fotele, dywany. Ktoś pojawił się na parapecie pierwszego piętra i trzymając skrzynkę butelek z wódką, wyjmował jedną po drugiej, pokazywał tryumfalnie i rzucał na bruk gdzie pękały, jak nieszkodliwe granaty. Tłum odsunął się. Krzyczał z zaciekłością, a niekiedy przycichał, to znów wył niezrozumiale. Kipiała tajona złość, dywany, meble, szkło stało się zastępczą ofiarą, celem zbiorowej euforii. Skąd się to wzięło? — myślał Jan, który stał w progu Klubu Trzynastu Muz, naprzeciw KW. Widział tamtych ludzi w oknach, potem dym, a wreszcie jaskrawe języki ognia: przejście jednej fazy pożaru w następną odbywało się szybko, do wtóru pokrzykiwań i westchnień, jakie przelewały się przez plac, z ust do ust, łącząc wszystkich — młodych i starych, dzieci i kobiety w jeden wspólny czujący i jednako myślący tłum: zło było tam, w tym żółtym domu, więc trzeba je było wyrzucić, zdeptać, spalić. Racja była tylko po tej stronie, w głębi ludzkiego gąszczu, w sercach rubinowo rozpłomienionych, które wypełniał żar, w słowach, jakie krążyły, jak spłoszone ptaki nad ich słowami, niezdolne wzlecieć, ani ujść od żaru płomieni, ani też wyzwolić się z pęt, jakie łączyły je z dłońmi kobiet, mężczyzn, starych ludzi i dzieci: słowa na uwięzi, jednakie, złe, gotowe ranić.

Jan przyszedł tu do klubu dość wcześnie przed dziesiątą, na kawę. Był to lokal o tej porze pustawy, bez żulików pijanych za cudze pieniądze, bez łatwych dziewczyn, jakich tłumy; świat artystyczny miasta jeszcze odsypiał minioną noc. Nie wszyscy, oczywiście, wiedli taki tryb życia. Zobaczył znanego malarza, Zapałę, który nad filiżanką ciemnej herbaty rozmawiał z płowowłosą kobietą, miejscową poetessą o ruchliwej, nerwowej twarzy. Pisywała piękne wiersze, miał jej tomik w rękach, więc Jan spoglądał na tę parę z zainteresowaniem, rad domyślić się o czym rozmawiają: o wadze mądrych słów, o znaczeniu kolorów, które podobne do muzyki, jeśli dobrze się pojmuje i zna, albo może o trudach życia, lub po prostu o swoich kłopotach? Był to przecież czas dziwny, jakby przed jakimś zwrotnym punktem, podobny do głębokiej szarości, przechodzącej w czerń, zaledwie tu i tam muśniętą refleksem zieleni lub ultramaryny. Zieleń, wysokie platany na Jasnych Błoniach, przebłyski słońca wśród liści wiosną i w lecie... Dziwne miasto: zamiast lepiej chronić i rozwijać swój urok, swe nadzwyczajne cechy — rozległość od horyzontu po horyzont, , świeżość świerków, sosen, platanów i gęstych trawników, twórczy zapał ludzi, ów niepowtarzalny urok rozległych błoni i swobody budowania, szukało wciąż jakichś zastępczych prawd: że nie koniec Polski tu, a początek: że był tu niegdyś przelotnie jakby przysiadł na gałęzi spłoszony, zmęczony ptak, gnany przez burze. Konstanty Ildefons Gałczyński, co miało odtąd wystarczyć za całą tradycję, za teraźniejszość i przyszłość; że wreszcie coś Szczecinowi należy się samo przez się, jak dziewczynie, która została matką. A cóż można powiedzieć o miłości zamkniętej, w kręgu płytkich nastrojów, nerwowych przebiegów myśli, pełnej pretensji i zawsze jednako oddalonej od wciąż nie osiągniętych celów? Jedni ludzie tu pozostawali, wrastali jak drzewa przesadzone w nowy grunt, lecz niektórzy marnieli w zaduchu, napędzanym przez wiatr z zakładów chemicznych w Policach, zmieszanym z zapachem zużytego mazutu z basenów portowych i gnijących liści lub głuchli od nocnych uderzeń młotów bijących w stalowe blachy przez całe lata w stoczni. Inni uciekali, wynosząc czasem miłość nieodwzajemnioną, niekiedy wspomnienie marnowanego czasu, zastanawiając się wciąż i szukając wyjaśnień, dlaczego tak było, co sprawia, że tak jest, i czy tak być musi? Kto odjechał aby żyć pełniej, tworzyć, być w centrum spraw, stawał się obcy, zapomniano z pogardą o nim jak o zdrajcy, kto został, mógł — jeśli zdołał przywyknąć — liczyć na kadzidlane zachwyty, które mogą zemdlić, bo zawsze, gdy sięgnąć do sedna rzeczy spalano tu tylko sztuczną mirrę, nędzne okruchy brusztynu, zwykłe siano, zamiast wschodnich ziół.

Jan widział ów mały, zmęczony świat jak cudzoziemiec, który ogląda zaskoczony przejawy niekłamane ginącego folkloru: ze zdziwieniem, że jeszcze to trwa, że kołaczą się gdzieś tam resztki głuchych melodii, że ktoś z kurzu oczyścił stary stół i przytupuje w takt, do wtóru uderzeń nie istniejących już podkówek, które zastąpił obcas ze sztucznego tworzywa, że ludzie nadal żyją, chociaż jego tu od dawna już nie ma. Obcy świat, cudzy czy swój, tylko oddalony, pogrążony w gęstej zieleni, w przestrzeni szafirowej, między sosnowymi lasami i jeziorami rybnymi, swój, odrębny, sam w sobie, niepojęty dla kogoś z zewnątrz?

W pustym klubie było niewiele osób. Przyszedł tu, gdyż prawdę mówiąc, nie mógł wysiedzieć w domu: Helena, stryj, a zwłaszcza ów niepokój, który on rozdmuchiwał, jakby chcąc z iskry w popiele rozpalić ogień.

Wiedział, że jest niesprawiedliwy dla Antoniego, który drżał o bratanka udając, że tylko tak sobie mówi, rozsnuwa po kuchence swąd niepokoju — a chciał go ostrzec. Jan był chyba również niesłusznie rozżalony na los, że zetknął się z Helenką. Odsuwał od siebie natrętną i oczywistą myśl, to podejrzenie kim naprawdę jest dziewczyna: własne mieszkanie, ubiory jak z wystawy, miękki dywan, ten szeroki, zapadający się pod naciskiem ciał tapczan. I telefon ...Studentka prawa z trzeciego roku! — Przypomniał sobie schludną biedę, jaką przecież dokładnie pamiętał — czyściutenkie, błyszczące, znoszone buciki dziewczynki wybiegającej do szkoły, stale ten sam powycierany tornister, a potem zszarzałą teczkę, bladą twarz jej matki, pogniecioną spódnicę tej kobiety, jej zmęczone ruchy, gdy szła z pełną kartofli torbą ze sklepu pod siódmym... Tapczan, telefon i tamta rozmowa: jestem gotowa, będę za pół godziny, nie martw się. Do kogo to mówiła? Obcy, cudzoziemiec, kolejny narzeczony za sto dolarów!

Nie mógł pogodzić się z tym, że Helenki już nie ma, a może nigdy nie było, że Helenka jest kimś obcym, z innego świata. Tu, w tym mieście, niewielu rzeczy można być pewnym, ale tego tak: port, statki obcej bandery, wygłodniali marynarze, i te dziewczyny pachnące z daleka dobrym mydłem, gdy były młode i strojne, łatwizna nigdy nie domytego uśmieszku w kąciku karminowych warg, gdy zużyły się już, jak zdeptana płyta na chodniku. O Boże, po cóż to wszystko.

Nie dostrzegł, że w salce pojawiło się kilka nowych osób. Myślał o sobie, o Helenie, o sobie przede wszystkim, gdyż inaczej dziś nie potrafił. Jeszcze przed spotkaniem z nią oglądał ulice Szczecina, utrwalając ich kształt w pamięci i utajone w szarym świetle gaszonym przez chmury nad miastem odcienie barw, kolory łamane innymi, nieczyste, ale istotne dla prawdy, jakby chciał utrwalić w pamięci film, przeźrocze, które potem będzie mógł znów oglądać. Niebo, mimo wszystko to samo jak w Warszawie, lecz kłębiące się zwalistymi chmurami, które pędził zachodni wiatr, było jak żywa, nieustannie zmieniająca się rzeźba, jak ruch i oczekiwanie, biel i szarość przechodząca w granatową głębię. Czyżby to właśnie owa trwała zmienność zaskoczeń, lekkość wiatru w południe latem lub wiosną, brak granic między miastem a jeziorami i lasami — które wchodziły w jego granice nad Arkonką, Głębokiem, albo obrastającą od zachodu autostradę gęsto, drzewo przy drzewie, Puszcza Goleniowska — nie było owym głównym urokiem, podniętą lekkomyślną jak ptasi przelot, przerywany jedynie stuknięciem zgłodniałego dzioba w przypadkowo spotkanego chrząszcza, albo krótka chwila spoczynku wśród liści? Kominy statków widoczne z Nadbrzeża Kapitańskiego u stóp Wałów Chrobrego były tak blisko jak marzenia chłopców o najdalszym świecie. Statki wciąż natrętnie płynęły do portu i odpływały z niego nieuchronnie — przez Jezioro Dąbskie do Świnoujścia, na Bałtyk, aby ujść na krańce globu przez kanał Kiloński, przez Cieśniny Duńskie. Świat, świat w zasięgu ręki, a odgradzany szeroką rzeką, murami portowymi, bramami, przez które nikt nie przejdzie bez przepustki. A skąd ją wziąć? Świat taki kolorowy, gdy jest daleko. A więc łatwo tu przejść z radości w rozpacz, rzucić się w ubogi nurt pocieszenia płynący z butelki w gardło lub w nieustanną krzątaninę wyprzedaży byle czego czy siebie, komukolwiek, kto dawał w zamian pieniądze o egzotycznych nazwach, banknoty, którymi nocą płaci się za taksówki spod „Kaskady", za sztruksy i jeansy, za futra i perfumy najwytworniejszych firm Paryża. Tutejszy Paryż, jego peweksowska, nie od razu gorzka woń, od której zdycha się w końcu, jak z głową w piekarniku gazowego pieca.

Głosy gości klubowych, którzy zgromadzili się przy oknach sali, zwróciły wreszcie uwagę Jana. Poetka, blada jak ściana, trzymała Zapałę kurczowo za rękaw, jak przestraszone dziecko. Dwaj młodzi — poznał ich, to grafik Adamek i rzeźbiarz Kuźnik, przekrzykiwali się nawzajem.

— Są w hełmach, patrz! To stoczniowcy!

— Cholera, jaki tłum!

— Spieprzajmy stąd, stary, póki czas.

— Zostań. Tego już nigdy w życiu nie zobaczysz, głupcze!

Podszedł i on, rozsunął firankę, położył dłoń na parapecie.

Grupka ludzi stała przed gmachem naprzeciwko. Samochody osobowe odjeżdżały nerwowo z parkingu.

— Patrzcie, rozchodzą się — zawołał Adamek.

— No to co, wszystko na tym świecie ma swój koniec — zauważył Kuźnik. Obaj wrócili do stolika. Jan stał nadal przy oknie.

— Kelner! — usłyszał nerwowy głos Adamka. — Prosimy dwa koniaki!

Istotnie, stoczniowcy odchodzili. Tłumek gapiów rozpłynął się po krańcach, placu, ale tu i ówdzie stali nadal chłopcy, gestykulujący szeroko, w podnieceniu, a tam, przy Bramie Hołdu Pruskiego z dziesięć osób tkwiło nieruchomo. Coś się dzieje, coś się stanie — pomyślał — coś złego wydarzy się, to pewne.

Chciał wyjść możliwie jak najszybciej, wrócić do domu, ale Adamek z Kuźnikiem siedzieli znów przy stoliku, żywiej tylko machając łapami w rozmowie, nawet Zapała z poetką wrócili na swoje miejsce. Dlaczego miałoby się coś stać — zastanawiał się, wiedząc doskonale, że pytać o co nie ma, że to pewne, skoro nawet stryj, zawsze tak opanowany, czekał z trwogą na nadchodzące nieuchronnie nieszczęście. Idź — podpowiadał mu strach. — Zostań — namawiała ciekawość. Nie wiedział co zrobić, to znaczy, zrozumiał jasno, że najlepiej byłoby uciec przed burzą. Ale było tu przecież cicho, spokojnie, zaś niechęć i słabość, której uległ dzisiaj, powróciły odbierając pragnienie jakiegokolwiek działania. Niechaj stanie się, co ma się stać, mnie to nie dotyczy, jestem gościem przyjezdnym, który w każdej chwili może pójść na stację, kupić bilet i odjechać dokąd zechce...

Głuchy, narastający odgłos, jakby dudnienie zgrzytliwe i ciężkie, usłyszał nie od razu, jak i reszta gości. Dopiero po chwili zerwali się wszyscy i znów podbiegli do okna. Jan patrzył z przerażeniem, jak od strony Placu Lotników, może z Alei Niepodległości lub Alei Wyzwolenia wtaczały się stalowe pojazdy. Pancerne kolosy rozstawiły się wzdłuż północnej pierzei placu, było ich z dziesięć, niektóre zajechały pod pałacyk „Trzynastu Muz": odcinały resztę miasta od tego miejsca, dymiąc i dudniąc jak na postrach. Nie wyjdę już stąd — pomyślał przestraszony. — Nie da się, trzeba zostać. Nie była to łatwa chwila: nawet Adamek zamilkł, Kuźnik stał nieruchomo obok Zapały, tylko poetka wróciła do stolika, oparła głowę o wysmukłe dłonie, zamknęła oczy.

— Nie chcę, nie chcę — szeptała. — To niemożliwe, tak nie powinno być...

Jan czuł chłód ogarniający go od czubków palców, zziębły mu palce u stóp, palce dłoni. Uświadomił sobie bowiem, że patrzy na początkowy akt dramatu, który dopiero rozwija się, a jego akcja dotąd jeszcze nie pozwalała wyjaśnić, czy dramat przerodzi się w tragedię. Ale to mogło, to musiało się stać. Dreszcze trwogi i podniecenia. Skupiona uwaga, bezwład, który nie zezwalał odejść ani zmienić pozycji; jeszcze scena jest niemal pusta, dopiero ustawiono rekwizyty, zapaliły się światła jaskrawych reflektorów, w głębi stoi ktoś okryty cieniem, któż to jest, jeden czy stu, ci, którzy są za nim, a on ma nalaną bezmyślnie twarz czy ostre rysy, zdecydowane oczy, zaciśnięte wargi? Motory warczały na niskich obrotach, obracały się wieże i lufy, tylko to było słychać i ich oddechy u okna i szloch jasnowłosej poetki.

— Nie chcę tego, nie chcę, nie chcę! — biła piąstką w stół okryty adamaszkowym obrusem.

— Uspokój się! — zawołał Zapała. — Zamilcz!

Obróciła ku niemu zdziwioną twarz, zaskoczona, że uznał iż ma prawo odzywać się do niej w ten sposób. Ale on już nie patrzył w jej stronę, nikt prócz Jana nie odwrócił się ku niej ani na moment.

— Do diabła, tam gdzieś chyba widać jakiś dym, patrzcie. — Zapała wskazywał grubym paluchem w stronę rzeki, ku Wałom Chrobrego, może ku Małopolskiej.

— Nic nie widzę — zdziwił się Adamek.

— Otwórzmy okno — powiedział Kuźnik. — Może będzie coś słychać?

— Myśli pan, że strzelają — zapytał Zapała. Kuźnik bez słowa rozwarł okno, zimne powietrze wdarło się gwałtownie do sali, warkot stał się głośniejszy. Sztuczny spokój prysnął, znaleźli się jakby tam, wewnątrz tworzącego się wiru, a jednocześnie bezpieczni, na jego skraju, za murem domu, który wydał się im azylem i więzieniem zarazem, gdyż byli tu unieruchomieni, odgrodzeni, zamknięci, ale mogli widzieć bezkarnie.

— Zamknijcie! — zawołała poetka. — Jest mi zimno!

— Przyniosę ci płaszcz — powiedział Zapała, wybiegł do szatni i wrócił tak prędko, że niemal trudno to było zauważyć.

— Siedź cicho — poprosił — nie denerwuj się, bądź spokojna. Jan patrzył kątem oka: nerwowa blondynka okryta płaszczykiem wciąż nie miała odwagi podnieść się od stolika. Była bezradna, zrozpaczona zapewne, rozedrgana wewnętrznie, ale przecież nic jej pomóc nie można, oto los przygniótł ją nieoczekiwanie, jak tu wszystkich. Trudno, niech cierpi — pomyślał ze złością, gdyż była dla niego jak trudne do pojęcia, obce, podobne do Heleny zwierzątko, schwytane w pułapkę, którego nie chciał uwolnić, nawet gdyby potrafił.

Silniki maszyn przestały pracować. Z otwartych wież wychylili się do pół ciała żołnierze w hełmach, patrzyli dookoła, oglądali czujnie domy, ludzi, świat, ze zdziwieniem może, że tu są, a może z trwogą podobną do tej, jaką odczuwał Jan. Ta cisza wydała się groźniejsza niż ów zgrzytliwy, rytmiczny gwar dymiących motorów.

— Zamknijcie! — zawołała znów kobieta. Zrzuciła płaszcz z ramion, płakała szlochając coraz głośniej, coraz rozpaczliwiej. — Ja marznę. I nie chcę patrzeć, nie mogę słuchać! Ja chcę żyć, rozumiecie? Zamknijcie, proszę was — łkała jak dziecko.

Zapała odwrócił się, potem wyciągnął rękę i zamknął to okno, które dla niej było przerażającym przejściem między jej światem ciszy i piękna a tym tam, który był brudny, zakurzony, może zbrukany krwią, osmalony dymem, ludzkim śmierdzącym potem, brutalnym tak bardzo, że nie dostrzegała w nim nic, prócz zła i źródeł porażającej trwogi.

— Niechże się pani uspokoi — Jan podszedł do niej. — Tu nic pani nie grozi. Jeśli pani zechce, wyprowadzę stąd panią. To jest możliwe, uda się, jeśli tylko pani pozwoli....

— Proszę ją zostawić w spokoju! — warknął mu nad uchem Zapała. — Ta pani przyszła ze mną! Jakim prawem...

— Nic się nie stało — uciszyła go niemal szeptem, wyraźnym jednak, chociaż przerywanym łkaniem. — Proszę zostaw... — Jan odwrócił się zdziwiony i zniechęcony, gdyż nie sądził, że jego słowa mogą w kimkolwiek wywołać gniew.

— Tam na strychu są też okna — powiedział Kuźnik głośno do Adamka. — Pójdziemy?

— Można — zgodził się tamten. I jakby Jan stał się im bliski, swój, bo wszedł w drogę Zapale, zresztą był tu od początku, Adamek klepnął go po ramieniu. — Pójdzie pan z nami?

— Tak, chętnie.

Wzięli swoje płaszcze. Jan założył czapkę, owinął szyję szalikiem. Wspięli się po schodach na strych. Na najwyższym podeście okienko było tylko jedno, niewielkie, nie zmieściliby się w nim wszyscy trzej. Kuźnik popatrzył na nie, potem na drzwi zbite z pobielanych desek, zamknięte na kłódkę. Wziął ją do ręki, popróbował, była zardzewiała, zrazu oporna, ale wisiała jednak na skobiu tylko jak atrapa, to chyba ktoś kiedyś zgubił od niej klucz, więc otworzyła się z łatwością.

A już chciałem rozwalać te dechy — zaśmiał się rzeźbiarz. Zapłaciłbym potem — dodał widząc zdziwiony wzrok Jana.

Na strychu pełnym kurzu, starych rupieci po murarzach, znaleźli kilka skrzynek, drabinę, nosiłki pobrudzone wapnem. Każdy ułożył sobie jakieś tam podwyższenie, mogli patrzeć bez trudu, na cały plac, ograniczeni tylko szerokością okienek.

— Całkiem nieźle — mruczał Adamek.

— I nie ma tu tej miąkwy — zaśmiał się Kuźnik.

Jan stał oparty o zakurzoną ramę okienną, pozbawioną szyb. Wiatr przewiewał ten strych, niósł z placu odgłosy życia, było to wyraźnie stąd widać, ale plac, wozy bojowe, a zwłaszcza ludzie stali się tak mali, jak zabawki, jak groszowe laleczki. Jan sięgnął do kieszeni, nie zauważył, że nagle ludzie na placu, zwrócili się w stronę Odry. Może z ulicy Wyszaka, czy gdzieś z kierunku ulicy Matejki pojawiło się na Placu Żołnierza czoło pochodu, idącego szeroką ławą. Białe punkty stoczniowych kasków zlewały się w jasną plamę, szare kufajki, zielonkawe kurtki, czerwony pasek transparentu, biało-czerwone chorągwie, wrzawa narastająca coraz bliższa — żywy, kolorowy obraz: barwa i dźwięk — pomyślał bezsensownie Jan, mimo to patrzył uważnie, nie mógł dostrzec napisów ani zrozumieć okrzyków. Przecież właśnie w momencie, jaki był niezbędny, aby zdołał wyciągnąć papierosy, pojawił się pochód i tę chwilę przegapił. Każda sekunda zmieniała sytuację. Zatrzasnęły się klapy wozów. Tamci zatrzymali się na moment, stanęli przed gmachem redakcji, zrobił się zamęt, zobaczył błysk łamiących się szyb, rzucano brukowcami. Czoło owej popstrzonej punktami bieli, żywej masy ruszyło dalej, pod gmach, którego parking dawno już opustoszał.

Nie wiadomo skąd zbierali się przechodnie, mrówczym sposobem, jak spod ziemi. Czołgi stały nieruchomo, nikt nie zwracał na nie uwagi. I oto stały się nagle bezbronne, gdyby ktokolwiek zechciał rzucić butelkę z benzyną na stalowy pancerz, straciłby możliwość jakiegokolwiek ruchu, jeśli nie miały zgnieść żywcem tej wszechobecnej rozpełzającej się, lepkiej masy: ludzie, ludzie wszędzie, wypełnili cały plac. Niepodobni zazwyczaj jeden do drugiego, po swojemu mądrzy albo głupi, zaradni lub dający się nieść życiu obojętnie, teraz ruszali się, jak stado owadów w podrażnionym mrowisku. Stąd z wysoka nie mieli twarzy, Jan widział tylko ich plecy, postacie skrócone dziwnie przez perspektywę, mało ludzkie, nierealne, kukłowate. Wyobraził sobie, że znalazł się oto w ogromnym teatrze marionetek, trzymane we wszechmocnych palcach, jedwabne sznurki, którymi niewidocznie porusza wszystkimi postaciami, tworzy ich los w sztuce im przecież nieznanej, podniecił się: wystawił swą potężną dłoń przez okno. Teraz niech ktoś rzuci kamieniami w tamte okna — postanowił. I rzucili. Teraz niechaj naprą na drzwi. I rozwalili je szturmem. Czoło pokryły mu krople zimnego potu. Stał nieruchomo, chwytając otwartymi ustami powietrze, jak złowiona ryba. A jeśli ktoś gdzieś napisał już tę sztukę, zna wszystkie jej wątki, wie jak rozwinie się akcja dramatu i kiedy nastąpi jego kulminacja? Nie zauważył w podnieceniu, że swą prawą dłoń trzyma wciąż jeszcze za oknem. Powoli cofnął ją, w dziwnym przeświadczeniu, że gdyby uczynił to nagle, marionetki musiałyby również gwałtownie poruszyć się tam w dole, wykonać jakieś gesty nieobliczalne, wznieść się wysoko albo paść bezwładnie na asfalt.

— Kurwa mać, dlaczego oni nic nie robią? — jęknął Adamek. Jan nie zrozumiał, przecież właśnie w rozbitym oknie na pierwszym piętrze stanął ktoś i trzymając wysoko plik papierów, rozrzucił je na wiatr.

— Nie będą, chłopie, strzelać do ludzi — mruknął Kuźnik. Stracił był całą swą rubaszność, nie wyglądał już na silnego człowieka.

— A nie mówiłem, że ten zasrany rząd doprowadzi nas do przepaści? — jęczał grafik — Jezu, Jezu...

— Zamknij się — rzeźbiarz uderzył pięścią w belkę wiązania dachu, aż zadzwoniły dachówki.

— Tam się już pali — szeptał Adamek. — Oni powariowali, podpalą całe miasto.

— Patrz, nie gadaj. I zapamiętaj na całe życie, co to jest gniew ludu — zaszydził jego przyjaciel. Zerknął na Jana, ale ten nie zrozumiał, nie słyszał niczego, coraz bardziej przerażony. Teraz inny facet z rozmysłem wyrzucał przez okno butelki — bez rozmachu, aby nie utrafić w tłum. Potem poleciały biurka, fotele, obrazy. Jan czekał na fortepian, w nierozumnym podnieceniu,

BOGDAN LOEBL

Letni dom wampirów

(fragment powieści)

Chciał usłyszeć jęk pękających strun w zetknięciu z brukiem, pragnął zobaczyć tego jednoskrzydłego, czarnego, ciężkiego ptaka spadającego na ziemię. Słońce musiałoby wyjrzeć na moment zza chmur — myślał gorączkowo — i uderzyć promieniem choćby raz w błyszczącą płaszczyznę, w złoty napis firmowy, albo w białą, białą klawiaturę. Czerń, głęboką, błyszczącą, biały punkt. Jan zobaczył tę biel i przymknął oczy, przerażony.

Zamiast fortepianu wyrzucono ciężką płachtę dywanu, który nie zdążył się rozwinąć i bezwładnie osunął się po ścianie, na schody. A potem z okien zaczął się wydobywać dym, wpierw szarobiały, potem coraz ciemniejszy, wreszcie smolistoczarny, na przemian z pierwszymi językami płomieni, które zaczęły go wypierać.

— Patrz, nie dopuszczają straży — krzyknął Adamek.

— Przecież widzę — to rzeźbiarz.

Jan przymknął oczy. Zdawało mu się, że dzięki temu, w ten sposób zmusi ów obraz, aby zniknął, tak jak wpierw gestem poruszał i ożywiał go, z mocy własnej woli. Znów dreszcz. Ktoś go potrącił. Jak to się stało, że nie dostrzegł, że nie zauważył, kiedy strych za jego plecami wypełnił się ludźmi?

— Panie, panie, odsuń się pan, daj pan popatrzeć — prosił gorączkowo młody dryblas. Zrobił mu miejsce.

— Pan wie, że zanim tu doszli, sfajczyli dwa samochody gliniarzom? Oni chcieli ich zatrzymać, gnojki....

— Po co obrażać ludzi — powiedział.

— Ja? To oni. A pan co? — nie zrozumiał.

— Nie, stary, patrz, patrz...

Zamiast na plac spojrzał w głąb strychu. Przy dalszych oknach aż gęsto. Za Kuźnikiem o dwie belki: dalej jakiś facet kręcił film, terkotała kamera, to był zachodniak, podniecony okazją, skupiony, przegięty nienaturalnie. A dalej inny gość, wysoki, jasny blondyn trzaskał z aparatu zdjęcie za zdjęciem. Zlecieli się, jak do padliny — pomyślał. Dla nich nie ma nic świętego, tylko temat się liczy, tylko to, taki zawód. Ale mimo swych gorzkich przyzwoleń na to, co oni tu robili, gniew zaczął go ogarniać. To przez nich świat zobaczy, jak to wygląda, kiedy Polak rozlicza się z Polakiem. Będzie sensacja, jak cholera, będą wszyscy czytać, oglądać, będą się dziwić, a może cieszyć, że to się stało. To nasza rzecz, nie ich — pomyślał roztrzęsiony. — I nawet gdybym sam tu był, na dole, czy chciałbym, żeby to wszystko utrwalili ci zasrańcy swoimi kamerami? Ktoś ich przyprowadził, sami by nie trafili, patrzą na ten cały cyrk, jak z loży na trybunie, a więc ktoś chciał, ktoś usłużny pokazał drogę, rad że może im pomóc, aby to wszystko w świat, na świat do obcych ludzi... Odetchnął głęboko, zszedł ze skrzyni, zaczął przeciskać się ku tamtym. Potrącił Kuźnika, który patrzył teraz na niego zdziwiony, nie pojmując powodów, które pchały tam Jana. A on szedł jak automat, nakręcony cudzą dłonią, albo jak skazaniec na szafot. Stanął przy tym tęgim filmowcu i zepchnął go z drabinki, zrobił krok ku blondynowi, uderzył go w ramię, a gdy ten odwrócił się, złapał za jego aparat i walnął nim o glinianą podłogę.

— You bloody — warczał bulgotliwie — you bloody...

— What are you doing, my Good! It's my job, you know, my job....

— But it's my country, do you understand?

— My Good — zamamrotał dryblas, patrząc ze zdumieniem na swój aparat, a potem podniósł go i odetchnął z nadzieją — May it's not spoiled, I hope...

— Co ty robisz, Jasiu, Boże drogi, co zrobiłeś! — usłyszał Helenę. Więc i ona tu jest, może to ona właśnie przyprowadziła tego faceta? Kurwa, bezrozumna, sprzedajna kurwa...

— Nie, Nie! Nie róbcie tego! — zawyła nagle wysokim, rozpaczliwym głosem.

Obejrzał się. Rzuciła się ku niemu, chcąc go osłonić, ale dwaj młodzi, dobrze wykarmieni mężczyźni zrobili jeszcze tylko krok w jego stronę. Zanim zdążył cokolwiek uczynić, odskoczyć lub choćby pomyśleć, że nie zdoła się obronić stojąc tak nieruchomo, poczuł silny cios w żołądek, a potem uderzenie kantem dłoni fachowo, w szyję nad obojczykiem. Gdy leżał już nieruchomo kopali go jeszcze twardymi butami.

— Nie, nie! — jęczała Helena, łkając bez łez, bezsilnie.

— To ubek — powiedział ten z czerwonawą twarzą, który uderzył pierwszy.

— Jasne, że ubek — poparł go kumpel.

Odeszli, nie oglądając się na nikogo. Tłumek trwał wciąż w przerażeniu. Filmowiec tkwił jak kołek, nerwowo drgała mu głowa, blondyn spoglądał to na leżącego, to na Helenę.

— Do you know him, Hella? — zapytał.

— Idź do diabła — krzyknęła po polsku. — Idź i zgiń mi z oczu, ty cholerny szwedzki skurwysynu!

Kuźnik pochylił się nad Janem. Dotknął pulsu, wytarł chustką skrwawione usta.

— Chodź no tu, Adamek — powiedział. — Trzeba go zanieść na dół.

— Jak to się stało? — mamrotał grafik, biorąc Jana za nogi.

— I co tu się właściwie odbyło, stary?

— Znasz angielski? — spytał rzeźbiarz.

— Bo co?

— On powiedział, że to jego kraj, tym fotograficznym dupkom. To znaczy, że to nasz interes, a nie ich, pojmujesz? — Jeszcze ktoś trzeci podtrzymywał ciało Jana. Helena szła z tyłu zalękniona, zrozpaczona, że to przez nią, przez Daga Larssona i tego drugiego, że jest tak, jakby ona to sprawiła, że Jan, że teraz Jan... Zatrzymała się u progu restauracji klubowej, niepewna co może, co powinna uczynić. Ci dwaj położyli Jana na dywanie; nie wiadomo skąd zbiegły się kelnerki wraz z grubą kucharką w białym kitlu, jak lekarz. Pomogą mu, dadzą sobie radę — usprawiedliwiała się w myślach, gdyż nie mogła tu przy nim zostać. Jeśliby zobaczył ją, powtórzyłoby się to samo, co na chwilę przed upadkiem: spojrzał wówczas tak zimno, z tak ogromną nienawiścią, której nigdy już nie udało się jej pomniejszyć, gdyż żadne połowiczne tylko usprawiedliwienie niczego tu nie zmieni, a prawdy, to znaczy powodów, dla których musiała, w co wierzyła, zrobić wszystko dla Daga, jak rozkazał Hamsun — wyjawić przecież nie mogła. Hamsun — powtórzyła. Odwróciła się i powoli zaczęła wchodzić stopień po stopniu, z powrotem na strych, gdzie został Larsson.

— Wróciłaś jednak — powitał ją z ulgą Dag. — Ty go znasz? — Kiwnęła niechętnie głową.

— Kto to?

— Kolega ze szkoły. Mieszkał obok mego domu.

— Ach tak — skinął ze zrozumieniem. — Odważny chłop. A co to znaczy „ubek"? — powtórzył to słowo z pewnym wysiłkiem.

— Nic takiego. To kłamstwo, słyszysz?

— Ale oni, ci dwaj...

— Ty lepiej pilnuj swego nosa, Dag — powiedziała twardo. — Ci dwaj i wszyscy inni, to nie twoja sprawa. Zrobiłeś te fotografie?

— Chyba zdążyłem. I jeśli ocalały...

— Idźmy już, zaprowadzę się do faceta, który to wywoła — powiedziała i nie oglądając się na niego, odeszła z tego strychu, gdzie w zaduchu stała wciąż nieruchomo gromadka ludzi, gdzie na gliniastej polepie widać było niewielką czarną kałużę.

Gdy minęli z Dagiem drzwi restauracyjne, przeszła obojętnie, chociaż drgnęło w niej serce. Niech jednak każdy pilnuje swojego nosa — pomyślała. — On tam nie zginie wśród ludzi, a ja nie chcę zdechnąć w rynsztoku, nie będę gnić w celi. Wzięłam pieniądze, więc muszę za to zapłacić. Żegnaj Janku — zadrwiła z siebie i z niego, na wpół żywa ze zmęczenia, słaba i wściekła zarazem — na siebie, na Jana, na Daga, a przede wszystkim na grubokościstego Hamsuna. Niech cię matka ziemia... żuła w ustach przekleństwa, mamrotała chyba zbyt głośno, bo Dag zapytał.

— Co mówisz, Hella?

— Nic ważnego. Musimy wyjść przez podwórze, tamtędy lepiej się nie pchać. Może ktoś tam czeka albo będą pytać, wiesz...

— Jasne — zgodził się Dag. Ruszył posłusznie za Heleną: najpierw przez tylne drzwi, potem w niewielkie podwórze, wreszcie w głąb starego miasta, które było również tłumne jak Plac Żołnierza. Ludzie patrzyli na dym bijący zza dachów, nie dostrzegając ani dziewczyny, ani wysokiego Szweda, z troską spoglądającego to na nią, to na swój aparat.

■

Pani Halinka stała na skrzyni pośród talerzy z resztkami jedzenia i opróżnionych już flaszek, a Głowa rozcinał jej żyletką sukienkę.

Było tak cicho w izbie, że słyszało się szelest tnącego o płótno ostrza. Może to zresztą syczała tak jakaś napęczniała sokami gałąź w kominku: stojący nieruchomo pod ścianami ludzie wydawali się nie oddychać kontemplując w skupieniu ten szmer.

Głowa co kilka sekund odstępował od skrzyni i przyglądał się efektom swojej pracy. Tatuś, pan Robert i pan Zygmunt mieli wzrok wbity w podłogę, jakby zawstydzał ich widok obnażonych nóg kobiety. Również mamusia i pani Urszula przyglądały się czemuś znajdującemu się obok stojącej na stole pani Halinki. Tylko Owca i Marlboro oraz pan Krzysio i Małgosia wpatrywali się w czarną, trójkątną źrenicę oka, które otwierało się pod brzuchem pani Halinki; jego górna, lniana powieka unosiła się i opadała w rytm jej przyspieszonego oddechu, dolna zwisała bezwładnie, flakowato.

Głowa cofnął się niemal pod ścianę i spojrzał na panią Halinkę.

— Bomba, tylko że na schodach będzie kiapała — powiedział Owca, a Marlboro parsknął śmiechem.

Głowa kiwnął potakująco głową, wrócił do pani Halinki i jednym szarpnięciem oddarł prostokątny kawał płótna z jej sukienki. Pani Halinka krzyknęła i uczyniła gest, jakby zamierzała zakryć obnażone nogi rękami.

— O, teraz nie będzie kiapała — powiedział Marlboro.

— Wygląda jak pingwin we fraku — zauważył Owca.

— Widziałeś kiedyś pingwina? Chyba że w jakiejś ambasadzie, bo tam wszyscy są we frakach albo nago, ale żywy pingwin...

— Co wam się wydaje, że jesteście w telewizji, gdzie praca to gadanie? — powiedział Głowa. — Myślicie, że ja wszystko sam będę robił? Ten dół w piwnicy musi być co najmniej dwukrotnie głębszy. Ty i ty — wskazał na pana Krzysia i pana Roberta — do kopania. Tylko z sercem, bo to bardzo ważny odcinek pracy.

Pan Robert spojrzał pytająco na tatusia, ale tatuś patrzył na stojącą jeszcze ciągle na stole panią Halinkę. Pan Krzysio podszedł do drzwi piwnicy i pan Robert, chwiejąc się, ruszył za nim. Ich kroki zadudniły głucho na kamiennych schodach. Marlboro zamknął za nimi drzwi i przekręcił klucz w zamku.

Głowa postawił krzesło pod ścianą, rozsiadł się w nim i westchnął z lubością, jak człowiek, który przebył pieszo długą, wyczerpującą drogę.

— Ty w tych dżinsach z młodszej siostry — powiedział patrząc na panią Urszulę — Chono tu.

— Kto... ja? — spytała pani Urszula.

— Tylko mi nie mów, że nie mieli w sklepie większych rozmiarów. Teraz jest wybór, nie to, co w czasach młodości pana Andrzeja.

— Ja już panu mówiłem, że nie mam na imię Andrzej — wybuchnął tatuś, ale Głowa to zignorował.

— Ty zejdź, a ty wejdź — powiedział do pani Halinki i pani Urszuli.

Pani Halinka uklękła i wsparła się rękami o krawędź stołu. Jej lewe kolano znalazło się w talerzu po ogórkach, z którego, na jej szczęście, ktoś wcześniej wypił zielonkawy płyn. Owca parsknął śmiechem. Głowa przyjrzał mu się uważnie i Owca umilkł.

Pani Halinka rozejrzała się wokoło, jakby się dopiero w tej chwili ocknęła z głębokiego snu.

— Robert... Gdzie jest Robert?

— Tu jest plan filmowy i macie się odzywać tylko wtedy, gdy zadam pytanie. Nie służyliście w wojsku?... Owca — co ona jeszcze robi na tym niby-stole? Pasie się, czy może czeka na tryka?

Owca ruszył ku pani Halince, ale tatuś był szybszy. Chwycił ją na ręce i posadził na krześle.

— Robić też macie tylko to, co wam każe. Obowiązuje to również drugiego reżysera — powiedział Głowa, po czym zwrócił się do pani Urszuli. — No dziecko, gdzie ja ci kazałem stanąć...

— Idź — mruknął pan Zygmunt i pani Urszula weszła na skrzynię.

— Odwróć się — powiedział Głowa i pani Urszula wykonała jego polecenie.

— No, Andrzejku, jakie by pan korekty wprowadził w tym kostiumie, żeby mógł zagrać w „Wampirach seksu"?

— W jakich „Wampirach seksu"!? — zawołał tatuś.

— A niby wampiry czego mają być? Czy nie rozumiesz, że ludzi tak naprawdę obchodzą tylko dwie sprawy: seks i pieniądze? Trzeba dać im to, czego potrzebują.

— Ale ten ma być z gatunku science-fiction!

— Science-fiction...

— Coś jak „Planeta małp" — wtrącił pan Zygmunt. — Oglądał pan?

— Oglądam bez przerwy, ponieważ „Planeta małp" jest filmem współczesnym, jest jak gdyby, nie ustającym serialem, który...

— Współcześnie zrobionym, zgoda — uśmiechnął się z pobłażaniem tatuś. — Ale jego akcja dzieje się w dalekiej przyszłości.

— I dlatego właśnie zaliczamy go do gatunku science-fiction, czyli po naszemu mówiąc, do fantastyki naukowej — podjął pan Zygmunt.

— Widzę, że panowie nie zrozumieli przesłania „Planety małp" — odparł Głowa. — Otóż my wszyscy, nie w dalekiej przyszłości, lecz obecnie, mieszkamy na planecie małp. To jest film o nas, o naszej ziemi teraźniejszej. Nie czujecie tego? Och, to jest jak z bluesem. Marlboro ma w sobie bluesa i przez wiele lat nie wiedział o tym. Wy żyjecie na planecie małp i też o tym nie wiecie.

— Jasne — powiedział Marlboro. — Faktycznie nie wiedziałem.

— Te wszystkie zadowolone z siebie mordy za kierownicami zagranicznych samochodów, te małpy tłukące szmal, kombinujące, oszukujące ludzi po to tylko, żeby swoim samicom kupić dziesiąte futro, załadować miechem czwartą lodówkę, zakopać w ogrodzie kolejny słoik złotych monet, zalać ryło w towarzystwie innych małp.

— Jasne — ożywił się Marlboro.

— Widzieliście kiedy, żeby małpa sięgnęła po tomik poezji? — ciągnął Głowa. — A ja widziałem. Tak, raz mi się to zdarzyło. Miałem akurat przy sobie tomik współczesnego poety i małpa sięgnęła po niego i wsadziła książeczkę pod nogę od stołu, żeby przestał się kiwać i rozchlapywać wódkę z kieliszków na obrus.

— Zawsze były takie małpy, jak świat światem — powiedział tatuś.

— Ale na miejscu małp. Scenarzysta wspomnianego filmu cierpiał na brak fantazji. Życie napisało ciekawszy scenariusz. Małpa z filmu, w którym my gramy jest bardziej przerażająca. Jej idea, to to trzy „P". Pojeść, popić, i za przeproszeniem pań, popierdolić.

— Jasne — ucieszył się Marlboro. — Ty Głowa to jak coś pomyślisz...

— Ile obiadów może zjeść człowiek?... Zazwyczaj jednemu człowiekowi wystarczy jeden obiad, ale małpa zjada dwa, albo i trzy. Następne trzy musi mieć w lodówce, ponieważ inaczej dręczą ją makabryczne sny. Małpy żyją żeby kupować. Kupując usiłują zapełnić ową pustkę, która znajduje się w ich głowach i nie zdają sobie sprawy z faktu, iż obszary tej pustki są nie przemierzone. Jak niewiele potrzebuje człowiek, żeby egzystować, jak wiele, coraz więcej małpa, która oczywiście usiłuje naśladować ludzi. Kupuje książki, których nie czyta, dosiada konia żywiąc nadzieję, że to ją uczłowieczy ponieważ w głębi serca marzy o tym, by stać się oficjalnie przez siebie pogardzanym człowiekiem.

— To niewątpliwie interesujące, co pan mówi — powiedział tatuś. — Gdyby pan napisał scenariusz...

— Scenarjusz — prychnął pogardliwie Głowa. — Czy scenarzysta wymyśliłby małpę która pragnąc zostać amazonką, funduje sobie konia i w trakcie dosiadania wierzchowca ten odgryza jej cztery palce u przedniej łapy?

— Makabra — powiedziała ciągle stojąca na skrzyni pani Urszula.

— Tę scenę napisało życie. Bo co robią realizatorzy „Planety małp"? Pokazują nam małpy owłosione od stóp do głów, które pokrzykując ćwaliują na koniach i palą raz po raz w ludzi z karabinów ale jakoś nikt z widzów tak naprawdę się ich nie lęka. A rzeczywista małpa-amazonka jest owłosiona tylko w tych miejscach, w których owłosiony jest również człowiek, posiada buty do konnej jazdy i sznicrute, potrafi posługiwać się sztućcami, używa serwetek. Tyle że kupiwszy sobie konia usiłuje wsiąść na niego z przodu, bo tak się złożyło, że nie miała od kogo odmałpować, a nikt jej jakoś nie powiedział, że robi się to z boku. Ale wracając do bieżących spraw — powiedział Głowa wskazując na ciągle jeszcze stojącą na skrzyni panią Urszulę. — To co byście powiedzieli, gdyby jej tak wyciąć koła na pośladkach?

— Ja to bym jej zdjął spodnie i po kłopocie — powiedział Marlboro.

— Oj, Marlboro, Marlboro — pokiwał z politowaniem głową Głowa — lepiej weź na górę te tam owieczkę i opraw z nią jakąś scenę. Tylko coś niebanalnego, coś ekstra.

— Jasne — ucieszył się Marlboro. Chwycił panią Halinkę za ramię i zaczął ją ciągnąć ku schodom. (...)

— Mam — powiedział Głowa. — Sądzę, że pan to zaakceptuje, panie Andrzeju. Skoro przy pierwszym kostiumie zadziałaliśmy poziomo, to...

— Zadziałaliśmy?! My?! — wybuchnął tatuś. — Chce pan usłyszeć co sądzę o was i o waszych poczynaniach?

— Ja nie mam czasu na jałową gadaninę. Poza tym nie trawię wulgarnych słów, których wy, rzemieślnicy filmu z lubością używacie, zatem skupmy się na pracy, Marlboro.

— Czemu nie... Chociaż, prawdę mówiąc mam pomysł na tę małą — wskazał na Małgosię Marlboro.

— Nie! — krzyknęła mamusia i pomyślałem, że przestraszyła się tej zielonej łapy niedźwiedzia za oknem, ale ona podbiegła do Małgosi i stanęła pomiędzy nią i Marlboro — Nie odważycie się tknąć tego dziecka.

— Czegóż to nie robiono już dla sztuki filmowej — powiedział Głowa.

— No pewnie — podchwycił skwapliwie Marlboro i ruszył ku mamusi, ale Głowa go zatrzymał i wskazał na stojącą na stole panią Urszulę.

— Marlboro, ściągnij jej nogawkę, ale tylko jedną... pozwiedzamy lewą.

— A prawą?

— Prawa ma zostać tam gdzie jest... No, co pan o tym myśli, panie Andrzeju? — zwrócił się Głowa do tatusia.

— Ja nie wiem: co pan zamierza — powiedział tatuś — ale uważam, że nie wolno człowiekowi robić niczego z drugim człowiekiem wbrew jego woli, zmuszać go do...

— Tak się zastanawiam, czy nie byłby pan bardziej przydatny tam na dole, przy kopaniu — przerwał tatusiowi Głowa. — Ale dam panu jeszcze szansę, bo pana lubię. Masz tu żyletkę i obetnij swojej koleżance lewą nogawkę.

— Do... do kolana?

— Do pasa.

— Ja to zrobię — zaproponował pan Zygmunt, ale Głowa nawet na niego nie spojrzał. Pan Zygmunt uniósł nogę, jakby wbrew zaleceniu Głowy zamierzał podejść do żony i w tej samej chwili stuknęło coś głośno nad naszymi głowami, po czym dało się słyszeć skrzypienie desek i belek sufitu. Zaczęło to powtarzać się i nasilać. Wiszaca nad uniesionymi głowami żarówka zabrzęczała, jakby więziła w swoim wnętrzu muchę.

— Ech, ten Owca — westchnął Głowa, wpatrując się w falującą w rytm tego poskrzypywania żarówkę. — A już miałem nadzieję, że dzisiaj wyjdzie poza sztampę.

Pan Zygmunt wysunął stopę do przodu i postawił ją ostrożnie na podłodze.

— Co — warknął nie patrząc na niego Głowa.

— Ja tylko chciałem dorzucić do kominka...

— Dorzucić — powiedział Głowa. — A ty do roboty — zwrócił się do tatusia. — Tylko żeby ci się nie zachciało poprawiać natury. Nie lubię ja widoku krwi, a i Marlboro nie byłby pewnie zadowolony z takiej korekty.

Marlboro zmarszczył brwi i wpatrzył się w Głowę. Pan Zygmunt podszedł do kominka, a tatuś do pani Urszuli. Poskrzypywanie nad jej głową było coraz głośniejsze. Nagle umilkło. Zielona łapa przylgnęła do szyby i znieruchomiała, ale nikt oprócz mnie, jej nie widział.

Marlboro rozpogodził się i wybuchnął śmiechem.

— Poprawiać naturę — wykrztusił — ty jak co powiesz...

— Przepraszam cię Urszulo — szepnął tatuś i uniósł w górę żyletkę.

— Piotr — powiedziała mamusia: tatuś zesztywniał, a żyletka w jego palcach zadrżała jak listek na wietrze.

— Dokładnie odetnij całą lewą połowę dżinsów, aż do szlufek paska — powiedział Głowa. — Ale jeżeli uważasz, że bardziej seksi będzie wyglądała bez prawej strony, to ja nie będę upierał się przy tej lewej.

Znów zaskrzypiały w spojeniach deski sufitu. Tatuś przytknął żyletkę do biodra pani Urszuli, ale zamiast jak chciał Głowa, rozcinać dżinsy, zaczął zeskrobywać z nich jakąś niewidoczną z mojego miejsca plamę albo smugę sosnowej żywicy, o którą być może pani Urszula otarła się w czasie przedpołudniowych zajęć w ogrodzie.

— To alkoholik, popatrz na jego rękę — powiedział Marlboro do Głowy, a ja wiedziałem że to nie tatuś wprawia w owa dziwną wibrację żyletkę, lecz ona porusza jego palcami, jak wyciągnięta z wody rybka usiłująca wyrwać się i zagłębić w plątaninie błękitnych nici: w końcu udało się jej tego dokonać: wykorzystała moment, w którym dłoń tatusia zaczęła słabnąć i pociągnęła ją za sobą.

Pani Urszula krzyknęła i uskoczyła w bok miażdżąc drewniakiem talerz i wywracając butelkę. Zachwiała się. Tatuś chwycił ją za łokieć, lecz wyszarpnęła się, jakby jego palce były rozpalonymi, żelaznymi prętami: patrzyłem, jak butelka toczy się ku krawędzi stołu, chciałem podbiec i uratować ją przed stłuczeniem się, ale tatuś mnie wyręczył.

— Sądziłem, że będziesz wolała, żebym ja to zrobił — powiedział tatuś. Żyletka w jego wędrującej w górę ręce podobna była do prześwietlonego słońcem skrzydełka motyla.

■

W kręgu fantastyki

JACEK SAWASZKIEWICZ

Wahadło (1)

Silnik samochodu wył jak diabeł, któremu walec drogowy wprasował ogon w asfalt. Jadąc z prędkością nieledwie stu piętnastu kilometrów na godzinę mój poczciwy fiat dygotał w epileptycznym ataku grand mal. Droga wiodąca do Miasteczka jest drogą prostą, wyciętą we wzniesieniach i rzuconą na przełaj przez lasy — byle krócej. Pewnie dlatego mnie usypiała. W trakcie jazdy paliłem dużo i wmawiałem sobie, że pomaga mi to w koncentracji.

Z boku mignęło kilka tablic informacyjnych. Jeszcze jeden wiadukt o wygiętym grzbiecie zadudnił nade mną. Od zachodu nadciągały chmury zwiastujące burzę. Po dwóch tygodniach upału przydałaby się ta burza. Nawet przelotna.

— Przejechałeś ciągłą linię — zauważył fiat.

Z powrotem skręciłem na swój pas i otarłem pot z twarzy. Pięciogodzinna jazda, temperatura przekraczająca trzydzieści stopni i te opary benzyny, które wchłonąłem — wszystko to dawało o sobie znać.

Silnik zawył bardziej basowo.

— Mały pagórek — odciąłem się — a ty już puchniesz.

Ulewa lunęła z nadejściem zmierzchu. Przypomniałem sobie o termosie z kawą i o kanapkach, które jeśli się nie zeschły, to na pewno pływały w maśle. Zapaliłem światła mijania, po czym przytrzymując kierownicę łokciami, napełniłem kawą plastykowy kubek. Torby z prowiantem nawet nie otwierałem; cisnąłem ją do przydrożnego rowu.

Potoki wody z wolna zamieniły się w pojedyncze krople i zanim dotarłem do Miasteczka, deszcz ustał całkowicie. Przed rogatkami żywiej zabiło mi serce. W Miasteczku spędziłem piętnaście szczenięcych lat tak gorzkich, że kiedy przeprowadziłem się do Miasta, poprzysiągłem nigdy tutaj nie wrócić. Słowa dotrzymałem, ale w miarę, jak czas zacierał moje wspomnienia, coraz bardziej ciągnęło mnie w te strony.

Pół kilometra od śródmieścia Miasteczka położony jest park komunalny. Skierowałem się tam, do tego jedynego miejsca, które ongiś dawało mi poczucie bezpieczeństwa. Troskliwi ojcowie Miasteczka, w obawie przed nie uznającym świętości czystego powietrza zmotoryzowanym ludem, nakazali posadowić u wylotu alei parku betonowe pachoły w stylu zapór przeciwczołgowych. Ominąłem je idąc w smudze świateł mojego fiata.

W parku deszcz padał nadal i kiedy wreszcie odnalazłem ten znajomy wiąz, koszula przemokła na mnie dokumentnie. Drzewo, trawione grafiozą, wyglądało dosyć marnie. Poklepałem pień ze współczuciem.

— Twoje najlepsze lata minęły, stary — rzekłem.

— Wypłakiwałeś przede mną wszystkie żale — odrzekł. — A ja słuchałem cię cierpliwie, tak jak może słuchać tylko wiąz przyjaciel.

Zimne krople pociekły mi po karku. Zapiąłem koszulę pod szyją.

— Jesteś zwykłym drzewem — powiedziałem.

— Drzewem toczonym przez chorobę, na którą nie wynaleziono skutecznego lekarstwa. W dodatku starym drzewem.

Westchnął i strząsnął z siebie resztki wody.

— Mogę ci jakoś pomóc? — zapytałem.

Ale on milczał. I domyśliłem się, że więcej nie przemówi.

Dochodziła dwudziesta druga. Wprawdzie pokój w hotelu miałem zarezerwowany, zawsze jednak istniała możliwość, że jakiś analfabeta w recepcji pomyli nazwiska i zamiast mnie umieści w spisie swoją teściową. A ja jutro muszę być wypoczęty i świeży niczym królewicz z bajki. Ponownie klepnąłem schorowany pień, tym razem na pożegnanie, i nagle pociemniało mi w oczach.

Najdelikatniejsze drżenie przebiegło przez ziemię. Zapadła taka cisza, jakby świat osłupiał w niemym zdumieniu. Stałem sparaliżowany pod wiązem, podczas gdy w tę wszechobecną ciszę zaczął się wkradać przenikliwy, wysoki dźwięk, coraz głośniejszy. Odniosłem wrażenie, że zamknięto mnie w kloszu z grubego kryształu, który wprawiono w wibrację.

Coś się stało — pomyślałem.

Natężenie dźwięku dotarło do granicy bólu, potem dźwięk ten rozpadł się na alikwoty i skonał. Poruszyłem głową.

Krople deszczu kapały z koron gęsto sadzonych brzostów i limaków i ginęły w skąpym poszyciu. Znajomy wiąz poskrzypywał jak dawniej, pochylając się nad sfatygowaną koślawą ławeczką, na której tak chętnie niegdyś przesiadywałem.

— Coś się stało — powtórzyłem głośno, wracając do samochodu.

„Continental" wznosi się przy głównej arterii Miasteczka, nad restauracją o tej samej nazwie. Wóz zostawiłem na parkingu strzeżonym i przez nikogo nie zatrzymany wkroczyłem do pustego holu, który oślepił mnie sznurem neonów nad punktami sprzedaży pamiątek.

Recepcję umieszczono na półpiętrze. Panującą wokół dokładną ciszę zakłócało jedynie brzęczenie opraw lamp jarzeniowych i melodyjne, dwutonowe zawodzenie elektronicznego gongu. Gong sygnalizował pracownikom hotelu przybycie nowego gościa, czyli moje.

Ale nie zjawiał się nikt.

Dwukrotnie przemierzyłem pusty hol i znowu zatrzymałem się przy kontuarze recepcji, naprzeciwko ściennej gabloty zawieszonej pod zegarem. Zegar według wszelkich oznak stał. Gablota składała się z mnóstwa przegródek z uchwytami na klucze.

— Jest tu ktoś? — zapytałem.

— Tiii-tuuu — odparł gong i zaraz dodał zaczepnie: tiii-tuuu.

Wytarłem wilgotne dłonie w chusteczkę. Na czubkach palców miałem resztki kory wiązu przyjaciela.

— Jestem zmęczony — oświadczyłem. — Muszę natychmiast iść do łóżka, bo jutro czeka mnie piekielnie ciężki dzień.

— Tiii-tuuu.

Wszedłem za kontuar i zbliżyłem się do ściennej gabloty. Odszukałem klucz od swojego pokoju, wyjąłem go z uchwytu i pomaszerowałem do windy.

— Tiii-tuuu — powiedział do mnie gong na pożegnanie.

Mój pokój znajdował się na pierwszym piętrze. W windzie przygładziłem włosy i wyszczerzyłem zęby do swojego odbicia w lustrze. Były żółte od nikotyny. Przypomniałem sobie o papierosach, których palenie ułatwia mi koncentrację. Zostawiłem je w samochodzie razem z maszynką do golenia.

Zdjąłem wilgotną odzież i z przyjemnością rozciągnąłem się na posłaniu. Wciąż słyszałem to niezmordowane zawodzenie gongu w holu na dole.

Muszę czym prędzej zasnąć. Jutro rano mam przecież załatwić Sprawę.

— Liczymy na ciebie. Sprawa jest niezwykle ważna dla naszego Instytutu — powiedział Szef i poczęstował mnie cygarem. Cygaro było wonne, jak kadzidło — Przedsiębiorstwo na pewno wywiąże się z tej dostawy, prędzej czy później. Chodzi tylko o to, żeby oni zrealizowali nasze zamówienie w terminie i przyjęli zlecenie na dokonanie tych paru ulepszeń, zgodnie z dokumentacją.

Dźwignął tyłek z fotela, by podać mi ogień. Poderwałem się także, komplikując sytuację. Omal nie wyrżnąłem czołem w jego łysinę.

— Rozumiem, panie dyrektorze — odparłem.

— Tiii-tuuu.

Wzrok już mi przywykł do ciemności i rozejrzałem się po swoim pokoju. Zegar na nocnej szafce stał wzorem tego w recepcji. Stał na godzinie dwudziestej drugiej. Z sufitu zwisał sześcio- lub ośmioramienny żyrandol. Liczyłem te ramiona kilkakrotnie i raz było ich sześć, a raz osiem.

— Tiii-tuuu.

— Nie, cholera — powiedziałem. — Nie zasnę.

Powtórnie spojrzałem na żyrandol. Teraz miał dwa ramiona. Trzymał kartonową teczkę.

— To dokumentacja — zakomunikował. — Jest tu wszystko, czego będziesz potrzebować.

Wziąłem od niego tę teczkę i raptem ogarnęły mnie wątpliwości.

— Panie dyrektorze — zacząłem.

Udekorował twarz skupionym zainteresowaniem.

— No, słucham. Śmiało, śmiało.

— Bo.... Chodzi nam o to wahadło neutronowe, prawda? A ja, oględnie mówiąc, nie jestem fizykiem nawet z zamiłowania.

Jego skupione zainteresowanie ustąpiło zniechęceniu.

— Może lepiej będzie — ciągnąłem — jeśli do Miasteczka pojedzie ktoś z personelu technicznego, kto się zna na fizyce jądrowej.

— Cygarko? — Szef otworzył przede mną inkrustowaną szkatułkę. — Proszę, kolego.

— Tiii-tuuu.

Mój ręczny zegarek wskazywał zero trzydzieści. Przewróciłem się na prawy bok.

— Tiii-tuuu.

Wstałem z tapczanu i w samej pidżamie z determinacją ruszyłem do windy. W zdenerwowaniu przywołałem tę stojącą na parterze. Nie czekając na nią wszedłem do tej, która przywiozła mnie na to piętro. Hotel na chwilę ożył.

W recepcji nadal nie było żywej duszy.

— Naprawdę nikogo tutaj nie ma? — zawołałem.

— Tiii-tuuu.

— Wyłączcie wreszcie ten piekielny gong, bo go rozwalę!

Nie zjawił się nikt. Przepatrzyłem pusty hol, a potem z najbliższej serwantki punktu sprzedaży pamiątek wydobyłem kosmonautę w baloniastym hełmie. Kosmonauta wyglądał wyjątkowo solidnie. Nadawał się do rozwalenia gongu.

— Tiii-tuuu.

Machnąłem na to ręką. Zrezygnowany wróciłem do swego pokoju i rzuciłem się na tapczan.

Żyrandol pod sufitem miał niewątpliwie osiem ramion. Potrząsał nimi i buczał. Nie, to buczały oprawy jarzeniowych kinkietów na korytarzu. Było duszno.

Rozsunąłem firankę i otworzyłem okno.

— Gorąco? — zagadnął serdecznie Szef.

— To ten dym — wyjaśniłem.

— Ach, rzeczywiście. Trochę tu nakopciliśmy.

Z błazeńskim pośpiechem rozdusił niedopałek cygara w popielniczce. Dwa mosiężne amorki zaglądały zaskoczone do jej wnętrza. Szef, odgrodzony od ludzi sekretariatem nie do sforsowania, rozparty w fotelu między kolorowym telewizorem a zatłoczonym barkiem, czuł się tutaj swobodnie i pewnie. Ja także postanowiłem czuć się tutaj swobodnie i pewnie. Głośno wyssałem nie istniejące resztki drugiego śniadania, z nie istniejącej dziury w zębie. Szef udał, że nie zauważył tej nonszalancji.

— Zaczynałeś u nas od gońca — rzekł. I zmienił temat. — Szczegóły techniczne są mało istotne. Nasz Instytut zatrudnia znakomitych fachowców, ale jeśli chodzi o współpracę z kooperantami, nie mają żadnego doświadczenia. Do Miasteczka musi pojechać człowiek ze zmysłem handlowym, z darem przekonywania. I ty jesteś tym człowiekiem, albo ja się nie znam na ludziach.

Milczałem. Milczenie często przynosi korzyści. Szef pochylił się nad interkomem.

— Zojka — powiedział do mikrofonu — zrób nam po kawie. — Uśmiechnął się do mnie poufale. — „Jasia Wędrowniczka", kolego?

Ustawił na biurku kieliszki i napełnił je do połowy. Z wprawą.

— Ze wszystkich naszych kooperantów Przedsiębiorstwo jest najważniejsze — podjął. — Wahadło neutronowe ma kapitalne znaczenie dla naszego urządzenia. To jego serce. Bez wahadła utkną prace badawcze. Nie będzie nagród, nie będzie premii, nie będzie odznaczeń i tak dalej. Sprawa jest szalenie pilna. Miecz Damoklesa, rozumiesz?

Sekretarka wniosła do gabinetu filiżanki z kawą. Moją postawiła przede mną gestem kucharki z baru mlecznego.

— Jeszcze coś podać, panie dyrektorze? — zapytała.

— Nie. Chcę mieć dziesięć minut spokoju, Zojka.

Poczekałem, aż sekretarka opuści gabinet i zaatakowałem pierwszy:

— Przecież w dziale zaopatrzenia jest u nas dwóch starszych inspektorów.

— Jeden z nich to prawie emeryt — wpadł mi w słowa Szef. — Odchodzi w tym roku. I będziemy się rozglądać za kimś, kto obejmie jego stanowisko.

Spojrzałem mu w oczy. Były świńskie i przebiegłe. Były gotowe łypnąć usłużnie, kiedy zajdzie potrzeba. Chyba dlatego zwierzchnicy z Centrali lubili mojego Szefa.

— Uhum — mruknąłem grzejąc w dłoni kieliszek.

— W sumie Sprawa jest do załatwienia. Przeprowadzisz parę rozmów z paroma osobami. Oczywiście mają to być rozmowy w sensie towarzyskim. Lokal, miła, niewymuszona atmosfera, i tak dalej. Pogadasz z ekonomicznym, technicznemu dasz butelkę „Białego konia" albo „Balerinę bols"; on pije tylko pewexówkę. Dokumentację przekaż kierownikowi produkcji razem z jakimś aneksem. Są na to fundusze.

Odstawił nie dopitą whisky i wstał. Sięgał mi do piersi. Był mały, łysy i gruby, i nosił za ciasny garnitur.

— Liczymy na ciebie, kolego. Masz doświadczenie...

Mam, to fakt. W ciągu ostatniego roku załatwiłem akcelerator, dwie wyrzutnie elektronowe, przełącznik kaskadowy. W ciągu ostatniego roku trzykrotnie zwodzono mnie obietnicami awansu.

— Kiedy mam jechać? — spytałem.

Jego świńskie oczka zabłysły przyjaźnie.

— Dzisiaj. To znaczy jutro, zaraz po pracy. — Szef przestąpił z nogi na nogę. — Delegację, pełnomocnictwo i tę całą resztę Zojka dostarczy ci za kilka minut — poinformował mnie i wskazał mi drzwi.

Obudziłem się o piątej piętnaście. Zegar na nocnej szafce wciąż wskazywał dziesiątą lub dwudziestą drugą. Jarzeniówki na korytarzu nuciły ulubioną sonatę. Miałem niesmak w ustach i bolała mnie głowa. Rozebrałem się do rosołu i wziąłem natrysk. Jakby pomogło.

Wychodząc z pokoju zabrałem ze sobą kosmonautę, którego w nocy ukradłem z serwantki punktu sprzedaży pamiątek. Zabrałem go na pamiątkę. Należał mi się za straty moralne.

Zjechałem windą w dół, do restauracji na parterze. Restauracja była pusta. W jej prawym rogu znajdowało się podium dla orkiestry, w lewym zaś — bar z ladą chłodniczą. Cztery rzędy stolików nakrytych czystymi obrusami cierpliwie czekały na ewentualnych klientów.

— Niewielu macie gości — powiedziałem do tych czterech rzędów stolików.

Lada chłodnicza zadygotała agonalnie i zamarła posykując wyłączonym agregatem. Zapadła cisza, tylko gong w holu pracował rzetelnie dalej:

— Tiii-tuuu.

Podrapałem się po nie ogolonym policzku i usiadłem przy jednym ze stolików. Umieszczony na regale za barem zegar analogowy wskazywał punktualnie dwudziestą drugą oraz wczorajszą datę. W rzeczywistości dochodziła szósta. Przedsiębiorstwo rozpoczyna pracę o siódmej.

Miałem ochotę zapalić, ale papierosy zostały w samochodzie. Sięgnąłem po menu. Postanowiłem zafundować sobie dużą kawę, porcję szynki, dwie porcje masła i pieczywo — taki lekki posiłek na koszt Instytutu. Później włączyłem radiolę, która stała opodal podium dla orkiestry. Głośnik dyskotekowym sopranem ryknął: „Czekam, tak długo czekam", co miało szczególną wymowę. Na kelnera czekałem kwadrans, zmieniając płyty.

— Nie — powiedziałem w końcu — tego już za wiele.

Obszedłem bar. Pieczywa ani masła, ani też wędliny nie mogłem nigdzie znaleźć, ekspres do kawy był nieczynny, więc nalałem sobie koniaku z butelki o interesującej etykietce i zagryzłem ciastkiem tortowym. Jak na ironię radiola zaprezentowała utwór, w którym refrenista straszył skutkami opilstwa. Od razu przypomniała mi się Sprawa. Na blacie baru pozostawiłem banknot o sile nabywczej przewyższającej wartość kieliszka koniaku i ciastka tortowego, i z kosmonautą w kieszeni wyszedłem na dwór.

— Tiii-tuuu — posłał mi na pożegnanie gong w holu.

C.D.N.

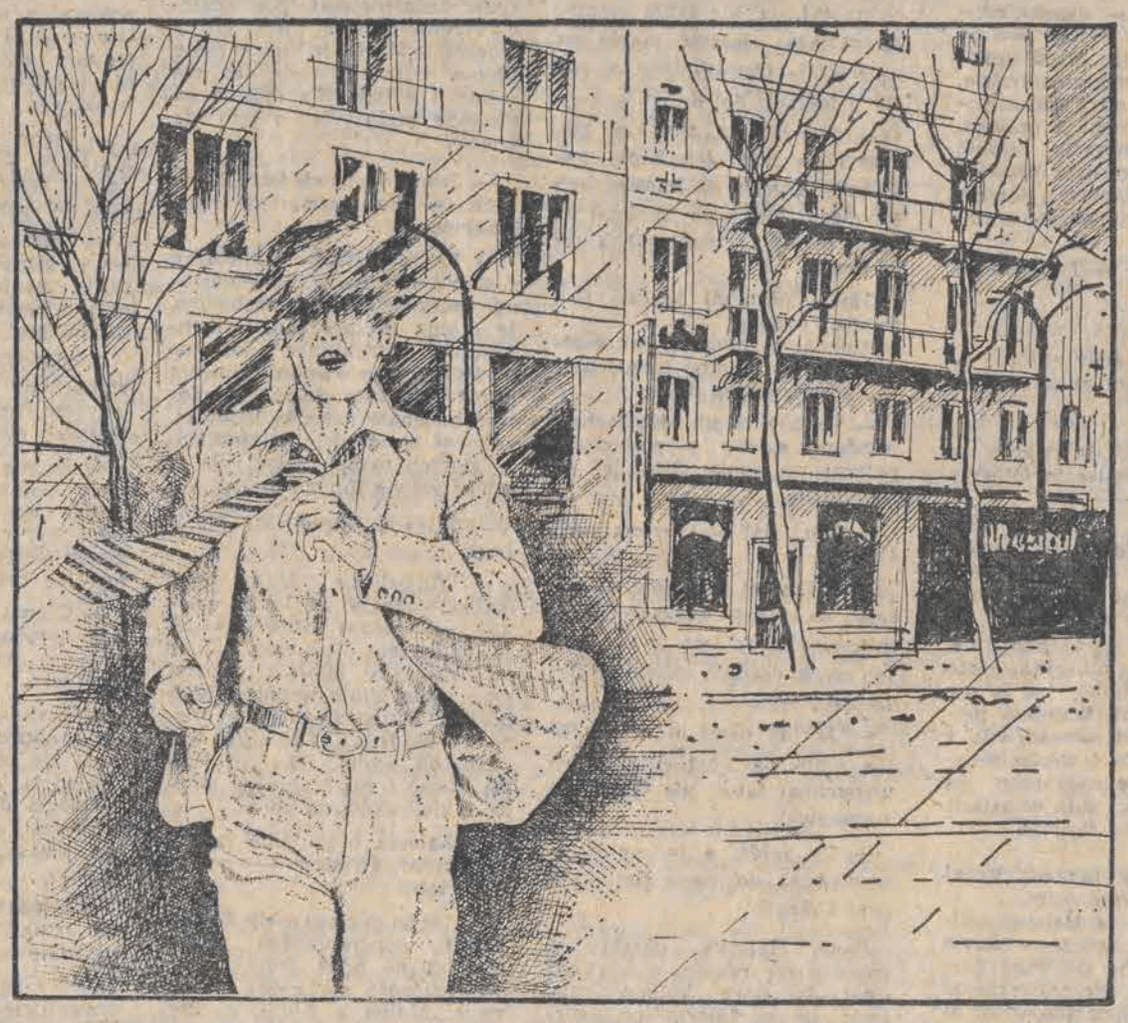

Rys. Janusz Szymański-Glanc

RYSZARD BINKOWSKI

Wigilia Bolka i Lolka

Jak poucza nas dobra wróżka Telewizja, Bolek i Lolek są to weseli chłopcy, nigdzie niepracujący. Ostatnio za złe sprawowanie tym figlarnym chłopcom przedłużono wakacje, toteż gdy wrócili z przymusowego turnusu kolonijnego, do ich domku na peryferiach zajrzała bieda. Bolek miał na utrzymaniu żonę z dzieckiem. Lolek zaś był kawalerem bez pojęcia, bez majątku i bez zawodu. A zbliżały się święta Bożego Narodzenia i trzeba było myśleć o gwiazdce. W związku z tym bracia udali się po pomoc i radę go świętego Mikołaja. Nie był on staruszkiem z siwą brodą, ale jako święty, czyli bez zawodu, ciągle świętował. Czasem tylko wszedł do jakiegoś gabinetu lekarskiego po skalpel do ostrzenia paznokci dla porzuconej narzeczonej, zaszedł do sklepu po radio i inne drobiazgi, albo do komórki po kurę dla zziębniętych sierotek. Przeważnie wchodził tam nocą, toteż później długo spał w szczelnie zamkniętym pokoju, a za oknem zawsze miał niebo w kratkę. Niedużo, jak to po szkocku.

Jednak dla Bolka i Lolka święty Mikołaj był szczodry. Wypił z nimi cztery flaszki sfermentowanego nektaru z jabłek odpadowych, po czym wywiódł z chaty Bolka i spytał:

— Czy twój Loluś jest małomówny?

— Jasne! On jest w ogóle bez pojęcia.

— Znaczy, nie wygada się przed mamusią?

— Mój brat — zaprzysiągł Bolek — jest charakterny jak Zawisza z Księgi Recydywy!

Natenczas Mikołaj wziął łom i zaprowadził braci na działki, gdzie udawał poszukiwacza skarbów. Bo tak naprawdę to działali jak brygada Tygrysa. Mikołaj przez nieuwagę stłukł szybę w drewnianej altance, lecz w środku na szczęście nie było nic takiego, na co mógłby się połakomić złodziej. Udali się przeto w głąb działek, bo tam mogły być nie odkryte skarby. I rzeczywiście. Zabezpieczając wybitą szybę w murowanej altance, stwierdzili obecność pięciu buteleczek wódczanej „reklamówki". Zachęceni tym ustrzegli przed złodziejstwem właściciela kolejnej altany. Zarekwirowali mianowicie dla potrzeb domu starców koszulę, sweter, używane spodnie, butlę gazową i dwie torby turystyczne. Następnie Mikołaj usiłując naprawić zamek w drewnianej altanie, wywalił łomem drzwi. Zabrał stamtąd ładny obrazek ze ściany i jednego królika z klatki.

— Dla kogóż to, Mikołaju? — dopytywał się bez pojęcia Lolek.

— Nie na rozpustę, łachudro. Dla sierot z domu dziecka. Jasne?

Na koniec trafili do altany, która wyrosła dzięki pogodzie dla bogaczy. Murowana, piętrowa, ale szyby standardowe, tzn. pękające. W magazynku znajdowało się dwadzieścia pięć butelek wódki z żaglem, trzy szynki konserwowe i trzy worki z kartoflami. Brygada Tygrysa wysypała ziemniaki, żeby nie gniły, włożyła skarby do worków, a torby turystyczne wyrzuciła. Potem wszyscy udali się do Mikołaja i łyknęli po secie przed opłatkiem. Bolek i Lolek poszli do swojego domku i zaczęli popijać z żoną Bolka. Dziecko poczuwszy alkohol, rozpłakało się w niebogłosy, domagając się prezentu. Rozczulony do łez Bolek powiedział:

— Biedactwo. A nam tej wódy do wigilii nie starczy, niestety...

— Ba! Do jutra nie starczy — wrzasnął bez pojęcia Lolek.

— No właśnie. A dziecko też musi coś mieć, nie?

2.

Nazajutrz około północy Mikołaj zawiódł braci L. B. na nowe złotodajne działki. Niestety, pierwsza z brzegu jak zwykle była już wyeksploatowana. W drugiej znajdowały się trzy posrebrzane widelce i noże, łopatka do tortu i dwa zegarki, ale zepsute. Mikołaj wyrzucił jeden zegarek do śmieci. Bolkowi ze zdenerwowania nóż wypadł z ręki i skaleczył go w nogę. Polała się krew...

— Spełniłeś bożą ofiarę — rzekł Mikołaj. — Niech to będzie krwawy ślad naszej charytatywnej misji.

W innej altance hasało mnóstwo królików. Podniecony wonią braterskiej krwi Lolek wrzasnął bez pojęcia:

— Mikołaju, rżniemy!

— Nie, synu — rzecze Mikołaj. — Żywe to, a ty chcesz mordować.

— A Bolek może się osobiście rżnąć, hę?

— Osobiście tak. A nasza święta trójca nie jest od mokrej roboty. Szczególnie na dwa dni przed przyjściem Zbawiciela na świat.

Natomiast już bez skrupułów zabezpieczyli akcesoria z innej altanki: dwie butle gazowe i palnik do butli. Ukryli je na starym, zdewastowanym kirkucie, a nazajutrz odnieśli do Mikołaja. Święty ofiarował te przedmioty biednej staruszce za co łaska, tj. za marne 1500 zł, które natychmiast przepili, by zatrzeć ślady swej charytatywności. Lolek był szczęśliwy, iż mógł się przysłużyć świętemu. Bo on cały czas chodził po altankach ze świeczką i przyświecał Mikołajowi.

Po wypitce Mikołaj zaniósł sztućce do Sobka, który z nudów prowadził społecznie dobrowolny składkowy wyszynk we własnym mieszkaniu. Od czasu do czasu pośredniczył w wymianie poglądów oraz fantów z różnych działek. Sztućce sprzedał laborantce Geni za półtora metra żaglówki pędzonej na zgniłych kartoflach.

Wreszcie Bolek i Lolek zasiedli do Wigilii. Po dwóch godzinach zgasła gwiazda na niebie, skończył się opłatek i błękitek faszerowany morskim ustrojem oraz ostatnia flacha z altanki. Pod choinką z plastyku rozległ się płacz dziecka oraz wigilijny śpiew jego matki. Czarna rozpacz ogarnęła ubogą rodzinę L.B.

— Myślę — rzekł Bolek — że zadręczy nas ta zmora...

— Jaka zmora? Ja się nie dam!

— Zadręczy nas udręka niedopicia przez dwa boże święta. Myślę — skonstatował Bolek — że koniecznie musimy pójść po kolędzie.

— Tak jest, po kolędzie! Ale bez gwiazdy! — palnął bez pojęcia Lolek.

— Aha. Najlepiej po takiej ulicy, gdzie stoją domy, co udają dacze byłych powiatowych prominentów.

Lolek przystał na to z ochotą. Wierzył w brata, który znał różne pomieszczenia, ponieważ dość często chodził po kolędzie jako gazmajster albo agitator sekty świadków Jehowy. Stawał w przedpokoju, trajlował o końcu świata, a prawą ręką filtrował kieszenie płaszczy na wieszaku.

3.

O dwudziestej drugiej braciszkowie wyszli na ulicę. We wszystkich oknach choinki, śpiew, światło, a w tym świetle, twarze szczęśliwych ludzi, co się cieszą z Odnowy w kryzysie i z Dzieciątka na sianie. Ale jedna willa była ciemna i głucha, niby karawan w nieczynnej kopalni. Kolędnikom serca ścisnęły się z żalu.

— A może siedzi tam opuszczony, zapomniany staruszek? — zadał pytanie Lolek.

— Ani chybi. Boi się zapalić światła, żeby mu wredni sąsiedzi nie okazywali litości.

Bracia przesadzili siatkę, obeszli willę i nic.

— Nie ma, kurwa, wejścia — stwierdził bezbożnie Lolek.

— Nie bluźnij, złamasie kutany — upomniał go brat. — Uwolnimy starca od podwórza.

Co rzekł Bolek, to się stało. Urwali kłódkę, weszli do garażu i przez suterenę dostali się na parter. Nie było tam jednak ani znękanego życiem starca, ani żadnego upominku. Za to na piętrze całe ściany w segmentach. Wywalili wszystko na podłogę — bieliznę, ubrania, buty — od góry do dołu. Na dolnej półce leżała pod płaszczami budząca nadzieję zgrabna kaseta.

Zachwyceni odkryciem Bolek i Lolek poczuli się w willi tak pewnie, jak nieproszeni goście na wigilijnym bankiecie u ministra cen. Znalazło się pół litra spirytusu, a także ćwiartka wódki dla bezdomnych wędrowców. Pan Bóg skarał jednak Bolka za chciwość i pośpiech i ta ćwiartka stłukła mu się, gdy próbował ją wychylić w łazience, by nie dzielić się z bratem.

Rozejrzeli się dokładniej i trafili na trochę srebra. Potem Bolek wziął sobie radiomagnetofon „Grundig" i tranzystor „Jovita". Lolek, który był bez pojęcia, dostał suszarkę do włosów, budzik i maszynkę do golenia na małe żyletki. Dolariszy bez przeszkód do swojej chaty, ukryli skarby w piwnicy. Na górze spały twardo matka z dzieckiem, toteż Bolek mógł narobić tyle hałasu, co czołg na złomowisku, i nikt by się nie zbudził. No i Bolek rozwalił siekierą kasetę. W oczach dzielnych kolędników zalśniły tęczą blasków bogactwa Sezamu. Jednakże chłopców olśnił drobiazg: nie srebro i złoto, lecz automatyczny cykot japoński marki „Sejko" największą sprawił im frajdę. Pokłócili się, jak to dzieci, bo każdy chciał mieć to cacko. Wówczas Bolek jako starszy wiekiem postąpił niczym Salomon i potłukł ten cholerny zegarek.

— Opamiętaj się, co czynisz, idioto! — zawył żałośnie Lolek.

— Niszczę ziarno zawiści, dzięki czemu nie poleje się krew braterska — oświadczył Bolek. — A to „Sejko" kolega Sobek sprzeda na części.

Co rzekłszy, Bolek wyszedł na podwórze i zakopał w gnojowniku rozbitą kasetę.

W noc wigilijną zwierzęta mówią ludzkim głosem, toteż jakiś baran podpowiedział Lolkowi, iżby podarował bratowej piękny złoty pierścionek. Lolek spełnił dobry uczynek, ale wredny Bolek ukradł żonie prezent i sprzedał na „Górniaku". Zanim jednak to nastąpiło, trwały długie i huczne święta, połączone z kolędowaniem, seks-party na raty i transakcjami wiązanymi.

4.

Wnętrze willi wyglądało mniej więcej tak, jakby przeszła tamtędy trąba powietrzna. Ale właściciele od razu zgadli, że nawiedziła ich gorsza zaraza. Nic więc przeto dziwnego, że kiedy wrócili z wieczerzy u dobrej teściowej, tak nimi wstrząsnęła wizyta kolędniczej „Niewidzialnej Ręki", iż z radości pomdleli. A gdy po kwadransie oprzytomnieli, stwierdzili ze zgrozą, że zginęło im złoto, srebro, książeczki oszczędnościowe i walutowe oraz dwieście dolarów w gotówce. Pośród licznych precjozów były m. in. łańcuszki, bransoletki, kolczyki, naszyjnik z wizerunkiem lwa babilońskiego, łańcuszek z perłami o wartości 60 tys. zł, medalik z głową Nefretete, moneta złota z wybitą datą 1912 i wizerunkiem jeźdźca na koniu (56 tys. zł), ozdobna dewizka za 102 tys. zł. Gdyby się uparł, można było tym udekorować wystawę u jubilera. Nie licząc dolarów i książeczek oszczędnościowych, straty wyniosły prawie milion złotych.

Był to milion inflacyjny, ale nikt sobie specjalnie nie życzy, by mu likwidować ten nawis w noc wigilijną, tym bardziej jeśli się na taki nawis pracowało całe życie. Właściciele myśleli przez całe święta, jak by utracone dobra odzyskać. Gospodyni przypomniała sobie, że latem miała chyba zbyt dobre serce. Otóż przyszła do niej młoda, głodna więźniarka i oświadczyła, że pragnie zacząć nowe życie, ale nie ma funduszów na wyjazd do Zakopanego. Życzliwa gospodyni nakarmiła ją, dała kilkaset złotych w bladą więzienną łapę i poleciła przyjść nazajutrz po używaną odzież. Więźniarka nie zjawiła się, po prostu zniknęła z horyzontu. Znany był jednak jej brat. Okradzeni pomyśleli więc, że skoro zginęły tylko rzeczy wartościowe, a nic z odzieży, to więźniarka prawdopodobnie zrobiła tu rozpoznanie, by braciszek mógł swobodnie wkroczyć w akcję. Ale brat nie mieszkał na wsi, jak zapodano, tylko w mieście. Żył tam w konkubinacie ze swym przyjacielem. A na okoliczność włamania miał żelazne alibi: siedział wówczas w areszcie podejrzany o deprawację nieletniego wagarowicza.

5.

Pech chciał, że w dniu Nowego Roku święty Mikołaj został schwytany na gorącym uczynku. Święty pragnął obdarować czymś zatyranych pracowników handlu, toteż jakimś cudem wszedł do zamkniętego na cztery spusty sklepu warzywno-owocowego. Wypił tam dwa bele i zasnął w selerach. Społeczeństwo też spało po Sylwestrze. Czuwały jednak krasnoludki pod muchomorkiem z kolorową żarówką. Wyniosły one Mikołaja ze sklepu i umieściły w pudełku wymoszczonym puchem dartym z piersi łabędzia.

Kiedy Bolek i Lolek złapali cynk o zdjęciu Mikołaja, pomyśleli, że na torturach święty może nie tylko przemówić ludzkim głosem, ale nawet zaśpiewać o działkach. Zaczęli więc upłynniać łupy na akord. Za pośrednictwem Sobka piękna laborantka nabyła dwa pierścionki. Chciała jeden mniejszy, bez oczka, żeby zrobić kolczyki, ale ponieważ chłopcy obliczyli cenę do 30 tys., wzięła oba, tym pewniej, że na jeden pierścionek była wycena rzeczoznawcy. Spisano także umowę, ponieważ Bolek miał książeczkę wojskową, a Lolek bez pojęcia nawet dowód osobisty.

„Grundig" poszedł za 7 tys. Facet sprawdził w punkcie „Toto", czy gra, i wypłacił na ulicy od ręki.

Trochę błyskotek wziął prywatny cykliniarz ze średnim wykształceniem, a pewien żonaty mechanik, co dorabiał jako apreter egalizator, kupił za 2 tys. „Jovitę", ponieważ miał w domu przewód sieciowy do sprawdzenia, czy radio dobrze gra. Ten sam apreter zawiódł małego Bolka na „Górniak", aby dziecko mogło się pobawić w hali targowej swoimi złotymi grzechotkami, potem zaś rozdać biedakom spod Peweksu marne sto dolarów.

Na szlaku handlowym znalazł się też niejaki Czesiek Ciota. Nie był to żaden baletnik, tylko rozwiedziony alimenciarz bez zawodu i z czwórką dzieci, który udawał rozmieszacza włókna w fabryce. Chłopcy powiedzieli mu, że dostali różne cacka od babci, która sprzedała dom. Ciota najpierw upłynnił z zyskiem dwadzieścia dolarów. Potem przypomniał sobie kolegę ze szkolnej ławy, który kolekcjonował, co się dało. Ciota wziął od B.L. złoto za 47 tys., chociaż było warte 150 oraz 70 dolarów. Złoto sprzedał według wyceny braci, dolary zaś po 650 zamiast po 500 zł, dzięki czemu zarobił w minutę ponad dziesięć patyków. Po tej transakcji udał się natychmiast do lekarza, bo mu się rozmieszało włókno w mózgu. A kiedy później dokonano u Cioty przeszukania, to była tam tylko konkubina Jola i słownie bon towarowy o wartości jednego centa.

Bolek i Lolek też byli nieuchwytni.

6.

Tymczasem Bolek wystąpił w Łasku jako ślepiec bez dowodu osobistego. Prywatny spawacz spisał z nim umowę na słowo honoru i kupił za 30 tys. szeroką złotą obrączkę, która kosztowała 7 tys. Był to spawacz miłujący turystykę, szczególnie po Turcji i RFN. Jak po czasie do warsztatu wcisnęły się krasnoludki ze służby kryminalnej, to się zagubiły w labiryntach magazynu jubilerskiego i banku międzynarodowego. Oprócz złota były tam dziesiątki tysięcy banknotów nawisowych, dolary, marki, korony duńskie i czeskie, a także ruble, które spawacz wymienił w Austrii za szylingi, ponieważ chciał jechać na olimpiadę do Moskwy, ale zachorował.

A Bolek po sprzedaży obrączki pojechał do luksusowej kawiarni i wystąpił jako mały szejk spod Karlina. Wykupił wszystkie karty konsumpcyjne dla gawiedzi i raz po raz stawiał kolejki po trzydzieści lampek wina.

No, ale z takim gestem można brylować tylko przez dwa wieczory. Niebawem zabrakło kruszców i do chatki na peryferiach znowu zajrzała bieda. I zaraz zdarzyło się wielkie nieszczęście. Otóż Bolek i Lolek byli dziećmi bezbożnymi, które udawały kolędników, a w przeszłości notorycznie uciekały z lekcji religii. No i teraz ci mali bezbożnicy pomyśleli sobie, że jeśli ukradną coś Panu Bogu, to On ich nie skrzywdzi, ponieważ jest pobłażliwy i dobrotliwy. W związku z tym w nocy z czternastego na piętnastego lutego wyłamali drzwi i wtargnęli do sekretariatu punktu katechetycznego. Dokonawszy dewastacji, skradli akordeon, pieniądze, przedmioty kultu i sprzęt liturgiczny, po czym dopuścili się jeszcze większej profanacji, ponieważ ukryli łupy na znanym już starym cmentarzu żydowskim. Zagrzmiał wielkim głosem ksiądz proboszcz, zawtórował mu człowiek z urzędu i natychmiast po mieście rozbiegły się eskadry krasnoludków w szarobłękitnych mundurkach. Szczególnie pracowitym i dociekliwym okazał się jeden przebrany za cywila. Był to inspektor sekcji kryminalnej w stopniu st. sierżanta. To on pierwszy usłyszał, jak pijany Lolek męcząc się nad akordeonem, usiłując ukołysać do snu dziecko swojej bratowej. No i już nazajutrz inspektor przyprowadził braci do stajenki, gdzie pastuszkowie grają na przedziwnych fujarkach. Bolek i Lolek tak się zasłuchali, że jeszcze dziś widzą gwiazdę wigilijną, która świeci im wesoło na niebie w szkocką kratę.

Listy do Mikołaja

Pisały listy do Mikołaja: dzieci ośmio-, dziesięcio- i jedenastoletnie. Zbliżała się wigilijna noc...

Najmłodsi byli ogromnie przejęci. Pisali bardzo długo i bardzo starannie. Nie skąpili kolorowych kredek, bogato zdobili swoje prace. Niektóre dzieci pisały swój pierwszy w życiu list.

Ośmiolatki pisały tak:

LIST MARZENKI

„Kochany Mikołaju. Mam 8 lat i chodzę do drugiej klasy. Mikołaju, mam kłopoty. W klasie mam 3 dwóiki z czytania i tróję. Z pisania mam 5 Kochany Mikołaju, chciałabym mieć łyżwy".

LIST TOMKA

„Lubię Cię bardzo Kochany Mikołaju. Pozdrawiam Cię bardzo. Chcę dostać wojsko ołowiane żołnierzyki i generała".

LIST MARTY

„Nazywam się Marta. Uczę się słabo. Jest mi smutno, ale poprawiam się już i proszę Cię o mazaki. Kocham Mikołaja".

LIST MAŁGOSI

„... Mam trochę kłopotów w języku polskim. Dlatego mam kłopoty, bo mam słaby wzrok, a mama nie chce iść ze mną do okulisty..."

LIST WOJTKA

„Mikołaju, chciałbym być grzeczny. Chciałbym, żebyś przyszedł jak najprędzej i żebyś mi przyniósł trochę mniej kłopotów z polskim i narty na zimę!"

LIST ANI

„... Lubię czytać książeczki z bajkami i różne opowiadania z życia zwierzątek. Mam małego kotka, który nazywa się Maciuś. Ale Maciuś bardziej kocha moją mamusię. U nas jest już zima i zimny mróz. Bardzo proszę, przynieś mi duży komplet mazaków. Życzę Ci dużo zdrowia."

LIST JACKA

„Kochany Mikołaju. Lubię Cię bardzo. Tata mnie trochę bije, bo nie zawsze jestem grzeczny..."

O tym, że Mikołaj jest, i że rozdaje prezenty, wszystkie ośmiolatki są przekonane. Istotne rozbieżności dotyczą jedynie szczodrobliwości Mikołaja. Michał tak wypowiada się na ten temat: „Teraz jest inny Mikołaj. Stary Mikołaj umarł. Tamten przynosił dużo, dużo prezentów..."

Dzieci dziewięcioletnie również ani przez chwilę nie wątpią w istnienie Mikołaja.

LIST BASI

„Drogi Mikołaju. Chcę Ciebie zobaczyć, bo zawsze gdy przychodzisz, to ja już śpię. Ale w tym roku postaram się nie zasnąć, bo jeszcze Ciebie nigdy nie widziałam".

LIST MARIUSZA

„...Chciałbym na gwiazdkę piłkę do grania w nożną, ponieważ, mówiąc otwarcie, bez piłki nie mogę żyć!"

LIST IWONKI

„...Jestem bardzo ciekawa, czy jesteś zdrowy? Czy będziesz chodził na święta po domach? Chciałabym, żeby każdy przyjął Cię z ufnością. Gdybyś mnie spotkał, to ja także Ciebie poznam. Chętnie Ciebie oczekuję".

LIST JACKA

„Mój Mikołaju. Chciałbym, żebyś przyniósł mi najładniejszy prezent i podzielił się radością, żebym nie był smutny. Mój Mikołaju, przyjdź jak najszybciej, bo nie mogę się doczekać".

W listach dziesięciolatków jest znacznie mniej próśb o mikołajowe podarki. Dzieci wyżej cenią sobie spotkanie z Mikołajem, niż stereotypowe narty czy łyżwy. W kilku listach, obok prośby o piłkę, było jej uzasadnienie: „...bo w sklepach nie można dostać".

Dzieci jedenastoletnie zaczynają już wątpić w istnienie Mikołaja. Stawiają dociekliwe pytania. Lecz żadne z nich nie odstąpiło od pisania listu. No bo gdyby Mikołaj rzeczywiście był...

LIST ŁUKASZA

„Cześć Mikołaju. Jeżeli jesteś, to najwyższy czas, żebyś się pokazał. Ten Mikołaj w zeszłym roku był fałszywy i nic mi nie dał. Chciałem mieć motorynkę, ale Ty i tak mi jej nie przyniesiesz..."

LIST RENATKI

„...Ilu was właściwie jest? Sama widziałam już pięciu Mikołajów, ale żadnego prawdziwego. Ty podobno przychodzisz tylko w nocy. Jak przyjdziesz, to zapal światło u mnie w pokoju. Ja się obudzę. Pamiętaj o tej pani spod trzeciego. Mojej mamie przynieś kozaki, a tatusiowi skarpety."

LIST MARKA

„...Dlaczego się chowasz przed nami? Może Ciebie wcale nie ma? Mój tatuś przebiera się za Ciebie..."

Opracowała:
ALDONA JANIAK

Sto siedemdziesiąt dwa, sto siedemdziesiąt trzy, czte...

Między łopatkami czuję cieniutką nitkę potu, przepalone nikotyną płuca rzężą rozpaczliwie. Serce — ogromne twarde jabłko, dygocze gdzieś w przełyku... sto siedemdziesiąt pięć, siedemdziesiąt sześć, siedemdz... Maleńki, metalowy podest, pretekst do przystanku. Przed oczyma wiruje setki, tysiące schodów, którymi wspinam się od początku świata. Coś obrzydliwie zimnego, lepkiego, spycha w dół, zawraca z drogi wewnątrz potężnej, kamiennej tulei... och, to nie strach, skądże, to tylko zmęczenie wspinaczką... kto mógł w końcu przypuszczać, że tych schodów, splecionych spiralnie wokół ścian wieży, będzie aż tyle. Z zewnątrz nie wyglądało to tak potężnie. Może sprawiały to proporcje bryły zamku, w których wschodnia wieża traciła swój ogromny majestat. Ale stąd, od środka, ogromnieje, strzela gdzieś w górę czarną czeluścią. Połyskujące drobinami miki ściany, umykają gdzieś na boki, chowają w mroku następny zakręt schodów i potworność wielkich pająków. Zmordowana wyobraźnia podsuwa wizję czarnych, kosmatych potworów, z milionami czarnych, kosmatych łap, a wszystkie te potwory zbliżają się, dotykają butów, spadają na głowę... O święci pańscy! Tylko po to, żeby udowodnić temu bałwanowi doktorkowi R., że... A zresztą, nie on jest tu najważniejszy. Sama muszę się przekonać, bo inaczej ogłoszę kapitulację własnego umysłu... Zapragnęłam do światła, do otwartego powietrza, do przestrzeni!

Ledwie czterdzieści schodów w dole, stałam na galeryjce otaczającej wieżę. Z tej wysokości, potężny zamek wyglądał jak ucieleśniony sen o królewnie Śnieżce, istny Disneyland. Jesienny ocean parku, przechodzącego na horyzoncie w potężne lasy, otulał zamek z trzech stron. Z czwartej, ciągnęły się zabudowania stadniny koni, dalej wieś, szosa, a hen, na granicy widzenia, snuła się delikatna kreska odległych gór. Widziałam autobus PKS zatrzymujący się u wylotu zamkowej alei, patrzyłam na maleńkie figurki ludzi, i na cieniusieńką niteczkę pajęczyny, połyskującą srebrem tuż, przed moimi oczyma. Tam się zawahałam... Bo czyż w tak piękny, październikowy dzień prawdziwe mogą być zjawy przychodzące do nas w szarą godzinę, na granicy nocy?.. Jednak wspinam się wyżej i wyżej, bo ścieżka między obłędem i spokojem zależy od odpowiedzi, jaką znajdę na szczycie...

To było dwa tygodnie temu. Wracałam ze szwendaniny po lesie. Trochę zmyliłam drogę i nim ją znalazłam, między drzewami zaczęło mrocznieć. Szybkim krokiem wracałam główną aleją. U jej wylotu jaśniały okna zamku. O tej przedziwnej porze, kiedy wszystko nabiera gęstej, pulsującej faktury przedmiotu pozbawionego światła, a kontury wyostrzają się i tną granicę między czarną bryłą a ciemnym powietrzem, o tej gdzinie zamek jest najpiękniejszy. Traci realną, dzienną wyrazistość linii, traci swą wyniosłą pychę. Sylweta staje się miękka, niemal zwiewna.

Nie spiesząc się już, mając do schodów kilkanaście metrów, przystanęłam, by nasycić się widokiem. I właśnie wtedy, w ciemniejącym powietrzu przemknął czarny cień. Ogromny, sunący blisko ziemi. Gdybym wyszła ze światła, nie dostrzegłabym subtelnej różnicy w gęstości cienia i tła. Ale wyszłam z ciemnego parku, stałam na granicy ostatnich drzew. Przed sobą miałam otwartą przestrzeń trawnika biegnącego aż do stóp zamkowych schodów i barokowy basen, obrysowany ramionami alejki. Z bocznej alei parkowej wypłynęło ogromne „coś" i miękkim ruchem posuwało się w stronę zamku. Bezkształtne... ależ skąd! „To" miało kształt! Wyraźny, ostry cień, rysował w powietrzu sylwetki czterech koni. Dalej — postać stangreta na koźle i płynna sylweta karety. Obraz był tak realny, że niemal czekałam na lśnienie świateł zamku na końskiej uprzęży, na refleks lakieru karety, na iskrę skrzesaną w załamaniu kryształowej szybki... Zaprzęg przepłynął bezszelestnie przed moim nosem, skręcił w podjazd od frontowego wejścia i zniknął za narożnikiem wschodniej wieży.

Policzyłam do dziesięciu... Tylko spokojnie! Nie dać się zwariować... faktem jest, że czego, jak czego, ale czubków to tu nie brakuje. Ale ja jestem przy zdrowych zmysłach i władam swym rozumem, może nie najwspanialej, ale z pewnością bez zakłóceń! Faktem jest, że snuje się tu tłum zdumiewających indywiduów, ale żeby zaraz w karetach!??...

Ze spoconym karkiem dopadłam drzwi i zatrzasnęłam je za sobą z hukiem, który umarłego poderwałby z grobu. Przez łoskot pulsującej w czaszce krwi, dobiegły mnie jak najbardziej realne przekleństwa stróżki, której przeciąg omal nie wywiał z jej boksu po przeciwnej stronie sieni... dzięki ci o dozorze nocny za ten najrealniejszy powrót do zwyczajnej normy!

Dopiero nazajutrz, ostrożnie powróciłam do tamtej przygody. Na czubkach zmysłów zbliżałam się do wspomnienia, żeby czasem nie spłoszyć spokoju, nie otworzyć drzwi, za którymi szyderczo zatryumfuje obłęd. Ciułam w pamięci strzępy, dotychczas z kpiną odrzucane. Tu usłyszałam, tam ktoś opowiadał, siam „ludzie mówili". Każdy, kto tu pobędzie trochę, po pierwszych dniach w nowym miejscu, musi usłyszeć o legendach krążących wokół zamku. Oczywiście o tym, że w zamku straszy, o czymże by innym? No więc straszy, jak w każdym porządnym zamku. I — rzecz jasna — straszy Biała Dama. Całość ma dodawać smaczku obrzydliwie współczesnej i nieromantycznej aktualnej funkcji zamku. Ma „ubarwiać i ożywiać", a wszystko po to „byśmy się tu czuli, jak goście czarodzieja z bajki". Tyle że bajce na imię paranoja, a czarodziejowi — kaftanik bezpieczeństwa, przerobiony — dla potrzeb bajki — na zbroję"... tak utrzymują pewna cyniczna dama, której nikomu nie udało się zobaczyć bez peta przylepionego do wargi i zupełnie trzeźwej (obserwatorów interesuje jednak nie jej teoria, lecz sposoby, jakimi zdobywa alkohol).

We wsi żyje jeszcze stareńka babulina, która pono sługiwała na zamku, za grafów, a nawet czas jakiś była klucznicą. Pensjonariusze, złaknieni odmiany od parszywej codzienności, za jedyne pół litra wyduszają z kobieciny wspominki. A to o polowaniach, na które sam cysorz z Berlina zjeżdżał, a to o balach i kiecach tamtoczesnych paniuś, a to znów o dworskich skandalach.

Wśród tych ostatnich, często przewijała się gadka o nieudanych dzieciach w ostatnich pokoleniach grafów. Pono debilne się rodziły, za sprawą bluźnierczych praktyk kazirodczych. Świeżej daty szlachectwo pragnęli grafowie wzmocnić szlachetnym powinowactwem, a że wybór nie był wielki, co i rusz trafiali na jakiegoś krewniaka, całkiem nawet bliskiego. Z tego wszystkiego, potomstwo zaczęło się rodzić zdefektowane na ciele i umyśle. Takim cudeńkiem miała też być ostatnia dziedziczka, wydana za krewkiego księcia. Książę nie tylko że przymuszony względami dynastycznymi do ożenku, na dodatek zdrów był jeszcze jak najbardziej i temperament miał wielki.

Kiedy więc słabująca na umyśle małżonka powiła trzeciego już potworka, a w dodatku uznała go za swego narzeczonego, książę pan miał dosyć. Odesłał księżnę do wszystkich diabłów, aliści całkiem pozbyć jej się nie mógł, boby go rodzina żony zaszlachtowała. Siedziała więc księżna zamknięta na swych pokojach, a jurny książę używał co się zowie z okolicznymi szlachciankami, mieszczkami i chłopkami, bez wyboru. Mówią ludzie, że uroda, siła i zdrowie miejscowej ludności, w prostej linii od Jego Książęcej Mości się wiedzie.

Aż znalazł był dziedzic dozgonną panią swego serca, nieszczęściem, będącą żoną zaprzyjaźnionego pułkownika piechoty.

Pułkownikowa słynęła z urody i rozumu. Tak tedy musiał dziedzic rozwiązać jakoś dylemat panapułkownikowych praw do prawowitej małżonki, która znów wolała grzeszny związek z księciem, tym bardziej, że była już przy nadziei, o który to wyczyn nie sposób było pomówić solennego pułkownika.

Tak cóż ty zrobisz, porwał dziedzic kochanicę umościwszy jej wprzódy milusie gniazdko na wieży swego zamku. Tam ją zainstalował i hołubił, klucz jedyny od jej pokoi nosząc stale na piersi. Wytresowana służba, choć przejrzała pańską tajemnicę, pary z gąb nie puszczała, przedkładając piękną kochankę nad zdefektowaną księżnę. Książe jednak, chytrus, wkrótce wymienił całą służbę na nową, starych wygodnie wysyłając na koszt własny za morze, albo i dalej. Niebawem też zapomnienie okryło miejscowy skandal, o pułkownikowej nikt nie pamiętał, nie znając miejsca jej pobytu i mało się o to troszcząc. Mógł tedy książę cieszyć się w spokoju długimi latami szczęścia. Z miłości grzesznej narodziło się dwóch synów, z których jeden jeszcze żyje, gdzieś daleko w świecie. Losu drugiego nikt nie zna, choć krąży podejrzenie, że znalezione przed paru laty świeże zwłoki w ogrodowym basenie miały być za życia właśnie owym zaginionym nieprawym synem księcia.

Z tymi zwłokami cała była historia, ale najprzód stało się, że po długim życiu zmarła słabująca księżna pani, godnie pochowana w rodzinnym grobowcu. W dziesięć lat po niej, niespodziewanie, w trakcie przejażdżki konnej, zasłabł, a wkrótce zszedł był śmiertelnie sam książę pan. W jego kieszeni znaleziono klucze niewiadomego pochodzenia, ale że służba, godziwie nagrodzona w testamencie, szanowała dziedzica, nikt nie plądrował po zamku, szukając drzwi pasujących do kluczy. Potem przeszedł nad zamkiem huragan historii, a gdy uspołeczniona brygada fachowców przystąpiła do wieloletniego remontu, mającego przysposobić zamek do jego dzisiejszej funkcji, we wschodniej wieży znaleziono zapomniane drzwi. Za drzwiami zaś — kościotrupa uszykowanego na szezlongu, pośród zakurzonego, ale miłusiego pokoju. Szczątki z uszanowaniem pochowano na wiejskim cmentarzu, a po wsi krążyć zaczęła pogłoska, że to nikt inny, tylko zapomniana przez wszystkich, żyjąca w ukryciu pułkownikowa, kochanica księcia. Że zaś jeno on sam miał do niej dostęp, a zmarł był nagle, nikt nie uwolnił biedaczki z jej miłosnego więzienia i tam oddała ducha z głodu i rozpaczy. Od czasu naruszenia tajemniczej samotni, zaczęło w zamku straszyć. Duch kochanki, jakby nagradzając sobie długi czas uwięzienia, snuje się po komnatach, wtrąca w życie współczesnych i zatruwa życie tutejszym magikom od powikłanej duszy człowieczej.

Co zaś się tyczy tajemniczych zwłok w basenie, to był to bardzo stary mężczyzna, owinięty w dziwną pelerynę, u którego sekcja wykazała urazy charakterystyczne przy upadku z dużej

Antyhorror świąteczny

Stara dama z lorgnon

JOLANTA WROŃSKA

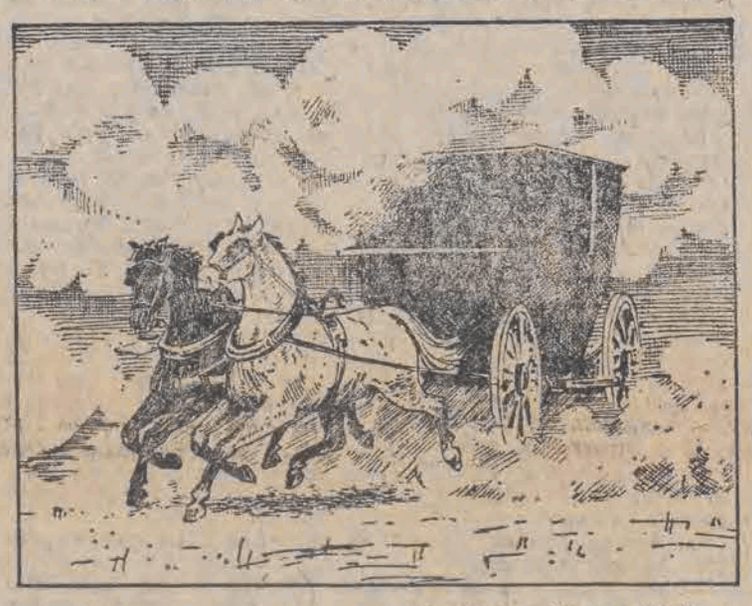

Rys. Janusz Szymański-Glanc

wysokości. A że basen położony jest u stóp wschodniej wieży... W tym samym czasie ustały ponoć liczne w okolicy wypadki nadkrwistości ludzi i bydląt... Co jakiś czas jednak poruszona opinia publiczna nerwowo omawia najnowszą sensację. A to pijanego woźnicę omal nie stratowała kareta zaprzężona w czwórkę koni, a to znowu zamkowym kucharkom ktoś rozbił butelkę z bromem dolewanym do naszych zup. To znowu ktoś, na świeżo pokrytej olejną farbą ścianie, wyskrobał gwoździem, po niemiecku, gotyckimi literami anons następujący: „zdrapać to świństwo! Ta dębowa boazeria więcej jest warta niż wasze chamskie życie. Jak się nie znają — to won do czworaków, a nie po zamku się rządzić!". Raz nawet pokojówki znalazły w świetlicy welinową kartkę z postulatem: „niech napalą w kominie, w gabinecie pana, bo mi wieje zimnem od dołu".

Miarka się przebrała, kiedy jakaś menda wtrąciła się w uczone diagnozy natchnionego dr R. i w jego gabinecie, na drzwiach wypisała szminką: „Karol jest w porządku. Niech nie robi z ludzi durniów. Niech wypuści Karola!". Pod powyższym jakaś ręka dopisała: „Popierami Dr R. jest idiotą". Chryja się zrobiła straszna, zarządzono śledztwo, szukano długo, ale nic nie znaleziono. Tylko nocami dawał się słyszeć wesolutki chichot, gdzieś z góry, od strony wschodniej wieży...

Zamkowe czubki całkiem poważnie traktują bajdę o duchu kochanki, a nawet, ku wściekłości uczonych mężów, widzą w starszej pani z wieży (dedukcyjnie doszliśmy do wniosku, że dama ma tak coś około stu trzydziestu lat, wliczając w to, rzecz jasna, także byt pośmiertny) poplecznika i wspólniczkę we froncie przeciw personelowi.

Cóż więc się dziwić, że w atmosferze pełnej szalonych rojeń, chorych mózgów, rozpaczliwych usiłowań udowodnienia sobie i innym, że się jest w porządku, w normie, żeby dostać wypis do normalnego świata, cóż się dziwić, że chcę sprawdzić? Staroświecki, zamkowy entourage, powoduje przerost wizjonerstwa. Labirynt sal, schodów i korytarzy nastraja, nasyca każdą myśl lękiem, uważną, dociekliwą analizą swego wnętrza, szukaniem zalążków szaleństwa, gdzieś głęboko tkwiącego przecież w każdym z nas, a tak jednoznacznie ferowanego wyrokami tych zwyrodnialców w białych kitlach.

Muszę więc sprawdzić! I stoję przed drzwiami, u szczytu spiralnych schodów. Muszę się upewnić, że kareta i konie nie były omamem, że impuls, głos jakiś, który mnie tu przywiódł, nie był eksplozją obłędu. Wiem przecież doskonale, co znajdę za tymi drzwiami. Mnóstwo kurzu, sieci wiekowych pajęczyn, może ze dwa nietoperze śpiące teraz, za dnia, głowami w dół. Wszyscy wiedzą o tych nietoperzach, nocą, można z okien zobaczyć ich chybkie cienie krążące nad parkiem. Nikt się tu ich nie boi, są swojskie, pasują do miejsca. Więc będą nietoperze, dużo brudu, wybite szyby w małych, widocznych z parku okienkach i tyle. Bez lęku otwieram drzwi na całą szerokość.

Nawet się nie dziwię, że nie są zamknięte, jakbym tego oczekiwała, po co komu zamykać drzwi na wieży?... zamieram w pół kroku, ze zlodowaciałym sercem... oszalały mózg szuka rozpaczliwie jakichś zapomnianych przed laty modlitw...

Przed sobą mam fin'de'sieclowy salonik, kompletnie czysty i najwyraźniej trwale zamieszkały. W delikatnym świetle kryształowego kandelabra połyskuje porcelanowa zastawa na stoliku. Na dwie osoby!! Zupełnie, jakby miała wpaść z wizytką na herbatkę przyjaciółka księżnej pani. Ogień bije ciepłem od stylowego kominka, obok niego zaś, w fotelu siedzi...

O rany boskie!! Przecież tak do końca jeszcze nie zwariowałam... a może!?? Jakby w drugiej warstawie odzywa się coś na kształt zupełnie chłodno uświadamianego rozczarowania. Nie tak miało to wyglądać. Wyobrażałam sobie — bo oczywiście, skoro już bajdurzymy o starszej pani z wieży — to staraliśmy się wyobrazić ją sobie, że otóż jest to dość wysoka i raczej chuda kobieta, niegdyś zapewne smukła i wiotka, tyle że wiek wyostrzył kształty i rysy. Twarz ma — zapewne — pociągłą, z prostym, ostrym nosem. Głęboko osadzone, ciemne oczy o przenikliwym spojrzeniu, gładko zaczesane włosy, zwinięte na karku w ciasny węzeł. Nosi się ciemno i skromnie. Żadnych falbanek czy koronek. Jedynym akcentem pozycji i majątku jest kosztowna brosza spinająca kołnierzyk białej bluzki, tuż pod szyją. Nawet spekulowaliśmy gromadnie na temat wyglądu tej broszy. Stanęło, że jest to wielka kamea z kości słoniowej, wyobrażająca oblicze umiłowanego Księcia, ja byłam przekonana, iż jest to wyjątkowej ceny szmaragd, subtelnie wyżłobiony w gemmę przedstawiającą dziedzica (co do tego byliśmy zgodni). Całość, oprawna w złoto z cieniusieńkim obrzeżem małych brylantów...

Zamęt w mózgu ogłupiałym doszczętnie powiększa się w momencie uświadomienia sobie, co mam przed oczyma.

W fotelu siedzi przeurocza dama, bynajmniej nie urody angielskich arystokratek. Jest drobnej postury o miło zaokrąglonych kształtach, skrytych pod wiśniową, jedwabną suknią. Miast gładko zaczesanego węzła, widzę fryzurę doskonałą. Maskującą niebywale wiek właścicielki. Subtelnie spięte sploty czarnych włosów, tu i owdzie wymykają się zalotnymi lokami.

Przemiła dama, ma zaróżowione od ognia policzki i śliczne, smukłe dłonie, bez jednego klejnotu. Jedną z dłoni dotyka zwieńczenia sukni, które stanowi.. przepyszny szmaragd otoczony brylantami... Zamarły gdzieś w trzewiach głos, w żaden sposób nie chce się przeistoczyć w oszalały krzyk... ale słuch pracuje normalnie... jeszcze!!

— „Niech wchodzi! Nie widzi, że robi przeciąg!?" Głos ma miłe brzmienie, acz ton każe myśleć o wyniosłej królowej przyzywającej swego lokaja. I ta forma trzeciej osoby... Posłusznie zamykam drzwi i zamieram pokornie w pozycji na baczność.

— „Niech podejdzie bliżej i niech siada". Gest wskazuje mi krzesło przy zastawionym stoliku. Siadam na brzeżku, oniemiała, przerażona i... zachwycona...

— „Czego milczy? Niech sobie chlapnie kielicha, mnie też niech naleje i niech opowiada. Co tam w zamku? Pono teraz lud rządzi? Prawda to? Cóż za idiotyczny pomysł, żeby fornali wpuszczać do salonu!! Czy widziała, jak zamalowali dębową boazerię? A jak wygląda park! I kto to widział, żeby się nie przebierać do kolacji?! Niech powie, czy ta — tak mówią — „demokracja" na co komu potrzebna? Wiedział cham, gdzie jego miejsce i nie próbował z czworaków wtranżalać się na zamek!".

Niejasno uświadamiam sobie, że zeszłowieczna dama wyraża się całkiem nowocześnie i nawet jakby uciechę sprawiało jej to przedmiejskie słownictwo. No i to lorgnon, co chwila przeszywające mnie do dna błyskiem światła. Dama najwyraźniej ma niezłą orientację w dzisiejszych czasach i dopisuje jej nieco kostyczne poczucie humoru.

Ogłupienie surrealizmem sytuacji mija, jak ręką odjął. Na to miejsce pojawia się uczucie omal zadomowienia w przedziwnym saloniku. I rośnie sympatia do gospodyni. Dama jest w dechę, konstatuję nie bez tlącego uciechą przekonania, że dr R. dostanie spazmów, gdy mu to wszystko opowiem... jeśli oczywiście wrócę... Zagryzając więc wykwintnym ciastem, ciągnąc z bakarata pierwszorzędny koniaczek, ze swadą wprowadzam Damę w realia współczesności. Nakreślam rzut historyczno-polityczny, uzupełniam analizą obyczajową i gładko przechodzę ad rem, czyli do kwestii najbardziej mnie w tej chwili obchodzących.

Czy Dama ma zwyczaj podróżowania poczwórną karetą?

— „A jak sobie wyobraża? Czy myśli, że fruwam na miotle? Pewnie, że karetą. Odwiedzam czasami Księcia pana, w jego grobowcu, a to dość daleko"...

A czy to prawda, że widuje się panią w zamku i czy naprawdę robiła te wszystkie psikusy?

— „Przecież muszę doglądać majątku. Pilnować, czy ten demokratyczny lud właściwie obchodzi się z zamkiem. Skoro musi już rządzić, to niech przynajmniej nie niszczy i niech się uczy manier — skoro taka wola boska. Widać to kara, za nasze grzechy"....

A jak to było z odkryciem — pardon — szczątków łaskawej pani?

— „I najwyższa była pora. Zanudzić się można było w tej wieży. Te cymbały, co otwarły wreszcie drzwi, wyszabrowały całe wyposażenie. Trochę mnie kosztowało, nim uzupełniłam co trzeba, zbierając po kątach porzucone resztki. Niech sobie wystawi! Lud woli — co i dobrze — jadać na chamskich fajansach, a po szafach walały się sevry i miśnie!".

A ten starzec w basenie i ta nadkrwistość okolicznego chłopstwa?

— „A, to? To ten mój starszy syn. Wdał się chyba w złą tradycję dziedziców, bo coś był nie tego z rozumem. Uprawiał wampirstwo, tyle że idiota nie potrafił dostosować się do nowych czasów. Z tej — jak to wy, teraźniejsi, mówicie — zagrożonej ekologii — (co za słowo, jak księcia kocham!) pomylił mu się zegar biologiczny. Zamiast ssać o północy, ssał w południe. Zamiast ssać tłustych i rumianych, brał się za tę nędzotę wsiową, a co gorsza bawił się w honorowe krwiodawstwo! Jak mawiał — uzupełniał niedobory w pobliskiej przychodni. Zupełny kretyn. Miałam go dość. Wyrzuciłam go z okna... o ile wiem, całkiem sobie chwali sąsiedztwo karczmarza Joska, przechrzczonego na Józefa, na wsiowym cmentarzu. Trudnią się obaj pędzeniem czegoś, co się tak dziwnie nazywa... bamber, czy jakoś tak...".

Bimbru, łaskawa pani. Ale na mnie chyba już pora, zaraz będą dzwonić na kolację.

— „Niech leci. I niech wpadnie czasem na koniak. Całkiem jest rozsądna, choć nie wygląda, zresztą jeżeli ją dowiezli do taaakiego miejsca??!"...

W trakcie trzecich odwiedzin (zaprzyjaźniona byłam już ze starszą panią) jakoś szczególnie miło nam się gawędziło. Zwierzyłam się Damie z okropnej chandry. Dziś właśnie były moje urodziny. Okrągłe i dla kobiety niewesołe. Cyganka wywróżyła mi, że ten dzień będzie dla mnie pamiętny. Zacznie nową epokę w moim życiu, a ja nie mam pojęcia, co to może być.

Stara dama popatrzyła na mnie jakoś dziwnie zza swego lorgnon, po czym... odpięła od sukni ową przepyszną, szmaragdową broszę... „Niech to weźmie w prezencie. I niech mi się tu nie sumituje. Taka jest moja wola. Tylko niech tego nie zgubi, bo nie nauczona mieć klejnoty. I niech już idzie. Muszę zdążyć na kolację do Księcia...".

Schodziłam spiralą schodów w zamyśleniu, ściskając w dłoni realną, prawdziwą rzecz. Dowód, że ostatnia diagnoza dr R. jest kompletną pomyłką. Że to ja jestem tu jedyna normalna....

W zadumie nie spostrzegłam nawet, że przed drzwiami mojego pokoju stoi trzech oprychów z jakimś białym zawiniątkiem.

Już gdy wrzeszczałam, sprawnie oplątywana kaftanem bezpieczeństwa, gdy mnie wlekli po schodach, gdy wszystkie czubki wyległy na korytarze, by odprowadzić mnie wzrokiem, w całkowitej ciszy, usłyszałam wyrok doktora R. „Na oddział zamknąć!! Trzymać w pasach!". Krzyczałam, że przecież trzymam w ręku dowód! Patrzcie! To jest brosza damy z wieży. Dała mi ją w prezencie! Przecież to nie sen, to najprawdziwsza prawda!!

Nikt nie zwracał uwagi na skrzące iskrami cudo szyderczo przypięte do kaftana, kiedy zamknęły się za mną ciężkie drzwi.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Zawód — wróżka

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Zwykle zaczyna się w ten sposób:
— Hallo. Czy pani...
— Tak. Słucham.
— Chciałbym prosić o wyznaczenie terminu wizyty.
— Pan pierwszy raz?
— Tak.
— A od kogo ma pan mój numer telefonu?
— Od...
— A kiedy u mnie była?
— W 1983 roku.
— A dokładniej?
— Zdaje się, w styczniu.
— Zdaje się, czy na pewno?
— Nie wiem. Nie myślałem, że to potrzebne.
— Potrzebne. Proszę zaczekać, sprawdzę.

Chwila ciszy.

— Zgadza się. Znalazłam. 14 stycznia. Więc dobrze: czy 20 o godzinie 11 panu odpowiada?
— Tak.
— W takim razie proszę dowiedzieć się dokładnie, o której godzinie się pan urodził. Daty urodzenia rodziców. Proszę też zabrać coś do pisania? Warunki pan zna?
— ...?
— Pierwsza wizyta u mnie kosztuje teraz 750 złotych. Czy to panu odpowiada?
— Tak.
— Gdyby nie mógł pan przyjść w wyznaczonym terminie, proszę odwołać wizytę telefonicznie. Do widzenia.

20 listopada punktualnie o godzinie 11 dzwonię do drzwi. Po chwili otwiera mi niemłoda już, szczupła kobieta. Przedstawiam się i zostaję wpuszczony do mieszkania urządzonego skromnie i w tradycyjny raczej sposób. Siadam przy stole, na którym leży kilka talii kart różnej wielkości. Już na pierwszy rzut oka widać, że nie każdymi z nich można by zagrać w brydża czy durnia. W napięciu czekam na panią domu, która krząta się jeszcze po kuchni.

Seans rozpoczyna się od podania daty urodzenia i zsumowania wszystkich cyfr ją tworzących. Otrzymuję liczbę 34, której cyfry po dodaniu dają 7. To moja liczba. Następnie dodaję do niej jedynkę, dziewiątkę, ósemkę oraz czwórkę, dokonuję paru kolejnych prostych działań i... dowiaduję się, że bieżący rok był dla mnie trudny i że trudny będzie również następny.

Mówię, że urodziłem się ósmego lipca tuż przed północą. Jaki to był dzień tygodnia? Oczywiście nie wiem, ale od czego specjalna tabelka, którą dostaje do wglądu i na jej podstawie obliczam, że był to czwartek.

Urodziłem się pod znakiem Raka, któremu patronuje Księżyc. Moje znaki uzupełniające to Baran i Mars oraz Panna i Merkury. To wystarczy do stwierdzenia że:

— dobre dla mnie pory roku to lato i zima,

— dobre dni tygodnia: wtorek, środa, czwartek i piątek,

— szczęśliwe liczby: 1, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 14, 19, 20 i 34,

— kolory, w których powinienem chodzić: granat, biel, żółć, czerwień, zieleń (wystrzegać się brązu!),

— kamienie przynoszące szczęście: selenit (najlepszy dla mnie amulet), brylant, nefryt, onyks, tygrysie oko...

Słucham, notuje. Gospodyni zagląda do własnoręcznie wykonanego wykresu (kosmogramu?) w kształcie koła, pokrytego znakami astrologicznymi. Wyczytuje z niego dalej, że mam skłonność do chorób układu oddechowego, serca (może się przydarzyć zawał!), oczu, zębów, układu nerwowego (nerwica wegetatywna) i na tym tle — do schorzeń układu pokarmowego (owrzodzenie), pęcherza. Niestety, z leczeniem mogą być kłopoty, gdyż mój organizm — słyszę — nie toleruje lekarstw farmakologicznych. Powinienem wystrzegać się ich i przyjmować jak najmniej.

— A teraz proszę o pokazanie dłoni.

Mam złe krążenie, skaczące ciśnienie krwi, często odczuwam odrętwienie nóg. Jakiś uraz? Być może, ale dokładniej trudno powiedzieć. Mimo to czeka mnie bardzo długie życie — jeżeli będę o siebie dbał. A w ogóle z natury jestem nieśmiały, leniwy, niesystematyczny, często przegapiam korzystne dla mnie sytuacje. Jako dziecko musiałem być lunatykiem.

Teraz karty. Normalna talia od siódemek do asów. Przełożyć na trzy. Krótko określam sytuację rodzinną i najbliższe mi osoby, żeby było wiadomo, które figury kogo symbolizują. Siedząca naprzeciwko mnie kobieta, której twarz wciąż jeszcze pozostaje kamienna, dopytuje o pewne szczegóły. Po rozłożeniu kart mówi dużo i dosyć szybko. Nie nadążam z zanotowaniem wszystkiego. Niektóre przepowiednie powtarzają się. Trochę w nich o mnie samym, trochę o rodzinie, o pracy zawodowej, o pieniądzach i tak zwanym szczęściu. Przykro mi — mówi — ale to nie są najlepsze karty. Sporo przykrości, kłopotów, mało pieniędzy... W końcu jednak osiągnę to, co chcę, gdyż linię szczęścia na dłoni mam ładną i długą, tyle że poszarpaną. Nic nie przychodzi mi w życiu łatwo.

Konstatuję, że niektóre cechy mojego charakteru określone zostają wyjątkowo trafnie, inne — delikatnie mówiąc — jakby trochę mniej. Przynajmniej moim zdaniem.

Gospodyni sięga po mniejsze karty — kabalarskie, obrazkowe, pełniące pomocniczą funkcję. Wykonała je sama na podstawie autentycznych, udostępnionych przed laty przez jednego z klientów. Zagląda też parę razy do zeszytu, w którym kątem oka dostrzegam rozrysowane różne konfiguracje. To już „wyższa szkoła jazdy". Coraz więcej w przepowiedni konkretów. Czy i kiedy się to wszystko, a może tylko część, sprawdzi, będę mógł się przekonać dopiero w przyszłości. Na razie mogę albo wierzyć, albo też — nie.

Seans kończy się po godzinie i 10 minutach, a ponieważ następny klient nie przychodzi, zaczynamy swobodniej rozmawiać — już nie tyle o mnie, co o astrologii, kabale, chiromancji i innych niezwykłościach. Twarz rozmówczyni z wolna rozjaśnia się, wypogadza, coraz częściej gości na niej uśmiech. Nie odkładam długopisu...

Nigdy nie przypuszczałam, że będę zawodowo zajmować się wróżeniem. Owszem, od najmłodszych lat interesowałam się kartami, ale nie traktowałam tego zbyt serio. Z prawdziwym kabalarstwem pierwszy raz zetknęłam się bliżej podczas wojny, kiedy to stawianie kart — ze względu na panującą sytuację — było wyjątkowo modne. Po upadku powstania — jako mieszkanka Warszawy — znalazłam się najpierw w obozie przejściowym w Pruszkowie, potem — we Wrocławiu, a wreszcie — w obozie pracy koło Legnicy. Były tam Polki i Ukrainki, ale była też pewna Cyganka, o której Niemcy oczywiście nie wiedzieli, że jest Cyganką. Dla niepoznaki tleniliśmy jej włosy perhydrolem, dostarczanym przez obozowego lekarza, Niemca — w sumie bardzo porządnego i uczciwego człowieka. Od tejże Cyganki dowiedziałam się, czym naprawdę jest i może być kabała.

Po wyzwoleniu przyszło mi stawić czoła wielu przeciwnościom losu. Pierwsza praca, pierwsze samodzielne mieszkanie, choroby... Dużo zawdzięczałam ludzkiej pomocy, zrozumieniu i bezinteresowności. Byłam przecież młoda, wychowana w innej Polsce, brakowało doświadczenia, obycia... W tamtym czasie traktowałam kabałę przede wszystkim jak rozrywkę. Stawiałam karty znajomym, koleżankom — tak, jak i dziś robi to bardzo dużo kobiet. O dziwo wiele moich wróżb zaczęło się sprawdzać. Początkowo nie widziałam w tym nic niezwykłego, ale znajomi, którym wróżyłam, przekonywali mnie, że nie może być to jedynie zwykły zbieg okoliczności. Coraz częściej przyprowadzali do mnie na karty swoich znajomych. Zachęcali, żebym robiła to częściej. Ulegałam ich namowom.

Potem zainteresowałam się też astrologią. Wcześniej dużo słyszałam o horoskopach, ale — tylko słyszałam. Niespodziewanie okazało się, iż jeden z kolegów z pracy bardzo się nimi interesuje. Pod jego wpływem ja również zabrałam się do nauki astrologii. Zaczęłam czytać na ten temat. Niestety, po polsku nie pisano o astrologii zbyt wiele, więc trudno było znaleźć coś na odpowiednim poziomie. Na szczęście zięć, który z wykształcenia jest romanistą, tłumaczył mi francuskie broszury poświęcone astrologii. I tak krok po kroku...

Jeszcze później zetknęłam się z chiromancją. To również był zupełny przypadek. Otóż jedna z klientek, pochodząca z Lubelszczyzny, udostępniła mi notatki swego zmarłego ojca, który przez wiele lat trudnił się wróżeniem z ręki. Musiałam poświęcić bardzo dużo czasu, aby poznać zasady tej trudnej sztuki.

Jak już powiedziałam, wcale nie widziałam się w roli zawodowej wróżki. Bardzo długo traktowałam wróżbiarstwo jako moje prywatne hobby, ale... Tu muszę wspomnieć o dwóch faktach, które spowodowały, że robię dziś to, co robię.

Mniej więcej w połowie lat 50 — nie pamiętam już dokładnie kiedy — znowu zetknęłam się z pewną Cyganką, która trudniła się wróżeniem. Była to wówczas bardzo znana i charakterystyczna postać — ja o tym jednak jeszcze nie wiedziałam. Dlatego też kiedy zdarzyło się kilkakrotnie, że zaczepiła mnie na ulicy, mówiąc, iż ma do mnie „dwa słowa", zaczęłam się jej po prostu bać i unikałam bezpośredniego z nią kontaktu. Uciekałam przed nią i już. Dopiero gdy okazało się, że wiele moich koleżanek z pracy korzystało z jej usług i bardzo je sobie chwaliły, odważyłam się usłyszeć owe „dwa słowa". Wbrew wszelkim oczekiwaniom Cyganka powiedziała mi ni mniej ni więcej, że już wkrótce będę... odbierać jej chleb i nawet sami Cyganie, którzy przecież słyną ze swych wróżbiarskich umiejętności i zajmują się wróżeniem od pokoleń, przychodzić do mnie będą z prośbą o radę. Oczywiście nie wzięłam tego na serio, gdy tymczasem...

Drugim ważnym i decydującym wydarzeniem była moja ciężka choroba i przejście w 1960 roku na rentę. Przyznano mi wówczas 500 złotych i chociaż suma ta miała ćwierć wieku temu zupełnie inną niż obecnie wartość, i tak trudno było za takie pieniądze utrzymać dom. Żeby więc jakoś żyć, musiałam się postarać o dorobienie jeszcze gdzieś trochę pieniędzy. Próbowałam różnych rzeczy z różnym powodzeniem — między innymi zdobyłam uprawnienia do prowadzenia zakładu fryzjerskiego — ale w końcu znów uległam namowom przyjaciół, którzy uparcie przekonywali mnie, że skoro przychodzi do mnie na karty coraz więcej i więcej ludzi, to dlaczego nie miałabym brać za te wizyty jakiegoś honorarium. Musiałam przyznać, że mieli sporo racji.

Naturalnie w pełni zdaję sobie sprawę, że nie mam żadnych oficjalnych uprawnień do zawodowego uprawiania wróżbiarstwa, że nawet moje przygotowanie teoretyczne może pozostawiać sporo do życzenia. Jestem samoukiem. Mimo to, sądzę, wieloletnia praktyka zrobiła swoje. Zresztą zawsze ilekroć coś robiłam, starałam się wykonywać to najlepiej jak potrafię. Być może gdybym była młodsza, wzięłabym udział w kursie astrologii, bo dziś takie kursy są już organizowane. Niestety, wiek i stan mego zdrowia nie pozwala mi na taki wysiłek. Przeżyłam trzy zawały serca, mam astmę. Każde dłuższe wyjście z domu jest dla mnie problemem.

Wszystko to nie znaczy jednak, że nie staram się ciągle uczyć. Przeciwnie — dużo czytam na temat astrologii, chiromancji... Konfrontuję wiedzę książkową z moimi własnymi doświadczeniami w tej dziedzinie. Zbieram opinie moich klientów. Zawsze proszę ich, by informowali mnie później, czy to, co im powiedziałam, okazało się trafne. To dla mnie bardzo ważne, gdyż w ten sposób weryfikuję nieustannie swe umiejętności.

Teoretycznie znać można astrologię czy kabalarstwo nawet bardzo dobrze, ale to przecież nie wszystko. Poza tym trzeba jeszcze mieć coś w sobie. Nie potrafię dokładnie określić, co to jest — jakaś siła, energia... Z pewnością wiele osób ją zna, choć rzadko kto zdaje sobie z tego sprawę. Dlatego też trzeba umieć to coś w sobie odkryć, rozbudzić i we właściwy sposób wykorzystać. Myślę, że mnie się to udało. Nie jest to zresztą tylko moje zdanie. Potwierdzają to także ludzie zajmujący się psychotroniką, z którymi jestem w kontakcie.

Czasami dzieje się ze mną coś dziwnego, co dla mnie samej stanowi zagadkę. Na przykład zdarza się, że mówię klientowi o sprawach, które i mnie zaskakują — tak, jakbym to nie ja, ale ktoś inny mówił moimi ustami. Tego nie da się racjonalnie wytłumaczyć. Zbyt mało chyba jeszcze wiemy o ludzkiej naturze. Ale ja to po prostu czuję.

Pewnego razu przyszła do mnie znajoma, aby postawić jej karty. Interesował ją jeden konkretny problem, który musiała rozwiązać i chciała w ten sposób zasięgnąć mojej rady. Niestety, chociaż bardzo chciałam jej pomóc w tej sprawie, po rozłożeniu kart wciąż widziałam tylko śmierć bliskiej jej osoby. Było to tak silne odczucie, że wbrew własnej woli mówiłam jej przede wszystkim o tym. W nocy znajoma zadzwoniła do mnie zrozpaczona, mówiąc, iż właśnie dowiedziała się o śmierci córki w wypadku samochodowym. Podobnych przykładów, choć już nie tak tragicznych, mogłabym przytoczyć więcej.

No cóż, nie zawsze mówię ludziom przyjemne rzeczy. Wiem, że potrafię być nieraz przykra, niemiła, a gdy trzeba — nawet i krzyknąć. Oczywiście nie każdemu mogę powiedzieć o nim całą prawdę. Między innymi dlatego właśnie zaczynam od horoskopu, aby dowiedzieć się, jaką kto ma konstrukcję psychiczną. Jeśli widzę, na przykład, iż dana osoba ma dwa tak zwane słabe znaki w horoskopie, jest wrażliwa i wszystko traktuje bardzo emocjonalnie, staram się mówić ogólnikami, żeby nie zaszkodzić jej jakimś niewłaściwym słowem. Zawsze staram się działać konstruktywnie, a nie — destrukcyjnie. Zdarza się jednak, że muszę powiedzieć komuś i to, co wcale nie jest przyjemne dla jego ucha. Taka już jestem.

Mimo to nie narzekam na brak klientów. Nie wszystkich nawet mogę przyjąć, gdyż często ze względu na złe samopoczucie w ogóle nie wyznaczam wizyt. W czasie prawie ćwierćwiecza przez mój dom przewinęły się setki ludzi. Nie zawsze kończyło się na jednej wizycie. Mam dużo swoich stałych klientów, którzy odwiedzają mnie w miarę regularnie. A są to rozmaici ludzie: mężczyźni i kobiety, studenci, robotnicy, inżynierowie, lekarze, aktorzy... Nie ma chyba zawodu, którego przedstawiciele nie gościliby u mnie, nie wyłączając nawet innych wróżek. Dziennikarze też oczywiście przychodzą. Częściej jednak przysyłają swoje żony — mogę się domyślać dlaczego.

Przyjeżdżają do mnie ludzie z całej Polski, a bywa, że i z zagranicy — najczęściej przy okazji odwiedzin rodziny w kraju. Naturalnie bardzo dużo osób przychodzi ze swoimi kłopotami, zmartwieniami, ale nie brakuje i takich, którzy robią to ze snobizmu, czy ze względu na modę w ich środowisku. To się od razu wyczuwa. Zrozumiałe więc, że nie wszyscy traktują mnie serio. Nie wszystkim też podoba się to, co robię — zwłaszcza, że biorę pieniądze. Nie raz już próbowano mnie straszyć, grożono sądem, milicją...

Nie mam poczucia, że popełniam jakieś przestępstwo. Dlatego nie boję się tych gróźb. Zresztą milicjanci również do mnie przychodzą... Jestem osobą dosyć znaną. Co zaś się tyczy pieniędzy... Już kilka razy byłam w wydziale finansowym Urzędu Miasta, mówiąc, że jestem wróżką i że chcę pracować w pełni legalnie, a więc i płacić podatki. Niestety, urzędniczki były bezradne. Rozkładały ręce, gdyż — przede wszystkim — nie wiedziały, jak można by mnie zarejestrować. No bo jak określić moje zajęcie? Że prowadzę działal..ość rzemieślniczą, kulturalną, handlową, leczę ludzi? Żadne z tych określeń nie pasuje. A wpisać po prostu, że j ka? W świetle prawa nie jest to ż Machnięto więc na mnie ręką. Co głabym jeszcze zrobić?

Łatwo powiedzieć, że coś jest nie nieważ nie mieści się w obowiązujących przepisach. Ale przecież gdyby ludzie nie chcieli, nie przychodziliby do mnie. Nikogo nigdy do niczego nie zmuszałam. Zawsze też stawiam jasno sprawę honorarium. Jestem więc, widać, po prostu ludziom potrzebna.

Są problemy natury osobistej, rodzinnej, zawodowej, z którymi człowiek nie ma często do kogo się zwrócić. Do lekarza nie, bo nie jest przecież — w potocznym znaczeniu tego słowa — chory, a zresztą lekarze nie mają czasu na rozmowy z pacjentami o życiu i ich trudnościach. Do księdza... Nie wszyscy są wierzący, a poza tym atmosfera kościoła, zwłaszcza — rozmowy przy konfesjonale — nie skłania raczej do zwierzeń. Rodzina, znajomi — również zazwyczaj odpadają, gdyż nie potrafią być bezstronni, obiektywni. No i w grę wchodzi jeszcze wstyd. A wróżce powiedzieć można wszystko, można się przed nią wygadać, wyżalić, otworzyć... Nieraz już choćby tylko to może przynieść ulgę.

Staram się pomagać ludziom jak umiem. Wiem, że przede wszystkim tego ode mnie oczekują. I mam na przykład wielką satysfakcję, że udało mi się kilka osób odwieść od zamiaru popełnienia samobójstwa. Przychodzili do mnie, bo nikt inny nie chciał, czy też nie potrafił im pomóc. Byli w strasznym stanie psychicznym. W takich przypadkach staram się zawsze pomóc klientowi w poznaniu samego siebie, swojej psychiki, natury z którą powinien żyć w zgodzie. To przecież bardzo ważne dla zachowania wewnętrznej równowagi.

Niekiedy przychodzą do mnie złodzieje, nałogowi alkoholicy, narkomani... Im także staram się pomóc, choć nie w każdym przypadku jest to już możliwe. Mimo to uważam, że nie ma złych ludzi. Każdy z nas ma jakieś wady i jakieś zalety. Ja również, z czego w pełni zdaję sobie sprawę.

W innych krajach istnieje instytucja psychoanalityka, u nas — niestety, nie. Otóż wydaje mi się, że między innymi ja właśnie pełnię jakby obowiązki takiego psychoanalityka, który pomaga ludziom żyć w zgodzie z samym sobą i otaczającym ich światem, a to przecież jest na ogół nie takie łatwe. Mam wiele dowodów ludzkiej wdzięczności — w postaci okazywanego mi zaufania, pamięci — nieraz po latach, czy choćby — drobnych upominków, jakie otrzymuję czasem od moich klientów. Nie liczę na nie, ale szczerze się z nich cieszę. Cieszę się, że mogę pomagać innym, kiedy tego potrzebują. To z kolei mnie pomaga żyć.

Boks stary jak świat

Jaki? Niebezpieczny? Brutalny? Zwyczajny sport?

LUCJAN OLSZEWSKI

Weszli w koło twardymi obciążeni pasy
I oba wzniósłszy ręce z wielkimi halasy
Stoczyli bój zmieszanym grożąc sobie ciosem.
Bite szczęki gwałtownym jęczały odgłosem.
Pot hojny płynął, każdy swą sztukę wysilił.
Wpadł Epej a Eurial głowę w tył przechylił,
Ale próżno się bronił przed natarciem śmiałym—
Wziął ciężki raz i wielkim okrył ziemię ciałem.
Jak skacze wyrzucona na brzeg burzą czarną
Ryba, którą wnet morskie bałwany ogarną
Tak się Eurial, wziąwszy raz ogromny wzdrygnął
Skoczył i upadł; zwycięzca Epej go podźwignął
Zaraz i w przyjaciołach miał pomoc gotową.
Wlecze nogi, krwią pluje, słabą chwieje głową.
Puchar, osłodę klęski wziął jeden z młodzieży,
on na stronie bez ruchu nieprzytomny leży.

Nie wiem czy ten krwawy bój, tak barwnie opisany w XXIII księdze „Iliady" przez Homera, doprawdy się odbył. Być może na udeptanej ziemi rzeczywiście zmierzyli się twórca konia trojańskiego Epejos z niejakim Eurialem. Wtedy trzeba by uznać Homera za pierwszego sprawozdawcę sportowego, który pięknymi acz twardymi słowy chwalił męstwo, dzielność, siłę i sprawność współzawodników, z których jeden „...na stronie bez ruchu nieprzytomny leży". Jeśli tak było, jak opis pojedynku przetrwał w legendzie, to z pewnością Homer opisał pierwszy nokaut, jaki wydarzył się w starożytnym pięściarstwie.

Boks. Sport twardy, niebezpieczny, wywołujący tak wiele namiętnych dyskusji, w których ścierają się przeciwstawne poglądy z północnego i południowego bieguna: od zachwytów aż do piekielnego potępienia. Na pewno walka na pięści — ta nawet w sportowym, okolonym przepisami wydaniu — jest kontrowersyjna.

Czy był nim również ten najstarszy boks w starogreckim wydaniu? Chyba nie, sądząc po licznych opisach zawartych w literaturze starożytnej, rzeźbach przedstawiających zmagających się młodzieńców, malowidłach na ścianach grobowców, czy też pozostałych dla współczesności amforach, pucharach, płaskorzeźbach. Starogreccy pugilatorzy — bo tak podówczas nazywano zmagających się „zawodników", byli czczeni, szanowani, wynoszeni na piedestał, stawiani jako wzór do naśladowania przez młodzież.

Ot, weźmy chociażby za przykład Euthymosa z Lokrów Epizefiryjskich, zdobywcę trzech olimpijskich wawrzynów z 74, 76 i 77 igrzysk z lat 484—472 pne. Był on uznawany za jedną z najwybitniejszych postaci swojej epoki, który poza sportowymi osiągnięciami — jak legenda niesie — wsławił się tym, że zwyciężył demona z Temesy, któremu co roku trzeba było ofiarowywać w darze piękną dziewicę... Apollo Pyktes był tak sławnym człowiekiem, że na jego cześć wzniesiono specjalną świątynię... Niezwykłą estymą współczesnych, co zostało później przeniesione w historię Grecji, cieszył się cały ród Diagorsa z Rodos. On wygrywał turnieje olimpijskie, a jego sukcesorami byli syn i wnuk...

Starożytna Grecja była więc kolebką boksu. Historycy twierdzą, że pięściarstwo jest starsze aniżeli historia pisma, a tradycje boksu sięgają 5000 lat przed naszą erą.

Kult siły i sprawności fizycznej został przeniesiony do Rzymu, ale tu — za sprawą niektórych cesarzy sportowa, olimpijska walka według określonych reguł, przemieniła się w krwawe, bezlitosne pojedynki. Przypominały one raczej walki gladiatorów, mających dawać uciechę rzymskiej arystokracji. Podczas gdy w Grecji walczono na gołe pięści, okręcając je w późniejszym okresie dla bezpieczeństwa dłoni rzemieniami, to w starożytnym Rzymie wprowadzono osłony w postaci metalowych płytek, tzw. „casteus" — co wcale nietrudno przetłumaczyć na współczesny „kastet"!

Największą sławę w okresie boksu rzymskiego zdobył Melankomas Młodszy, pupil cesarza Tytusa, który był podobno tak znakomicie sprawny i — używając dzisiejszej nomenklatury — „wytrenowany", że potrafił swoich licznych rywali utrzymywać w bezpiecznym dystansie, z odległości wyciągniętych rąk, uderzający silnymi ciosami.

Nie wszystkim rzymskim cesarzom podobał się sport, igrzyska olimpijskie, w tym także walka na pięści. Teodozjusz I był jakby pierwszym wrogiem boksu, bowiem w okresie swojego panowania wydał zakaz walki na pięści, a także pod koniec czwartego stulecia naszej ery zlikwidował popularne zmagania sportowe — igrzyska olimpijskie, które dawały tak wiele radości i uciechy.

Napisałem tak wiele o historii pięściarstwa w czasach greckiej i rzymskiej państwowości po to, by wskazać jak długa i jak ciekawa jest historia boksu. Mogę chyba bez specjalnego niebezpieczeństwa powiedzieć, że boks jest niemalże tak stary jak świat. I trudno się temu dziwić. W końcu zmaganie człowieka z człowiekiem, przełamywanie własnej słabości, ciągłe mierzenie się z niebezpieczeństwem było i jest w ludzkiej naturze. Właśnie owa walka z otaczającym światem budziła zainteresowanie i podziw.

No bo jakże inaczej przenieść w późniejsze czasy wielką miłość do boksu wykazywaną przez lorda George Byrona. Człowiek z pozoru delikatny, romantyk współczesnej mu poezji angielskiej, do dzisiaj uważany za klasyka, który swoją twórczością wywarł wielki wpływ na literaturę światową, przyjaźnił się z angielskimi bokserami pierwszych dwóch dekad minionego stulecia. Obrazoburcze byłoby nazwanie lorda Byrona pięściarzem, bo nim w rzeczywistości nie był, ale skoro przeczytacie poniższy fragment wspomnień poety, uznacie, że był on bliski temu sportowi:

„...17 marca 1814. dziś rano urządziłem sobie dla wprawy sparring z Jacksonem, mam zamiar robić to dalej i wznowić znajomość z rękawicami. Moja klatka piersiowa, ramiona, tułów są w doskonałym stanie nie jestem otyły. Fechtunek i pałasz nigdy nawet w połowie tak mnie nie męczył".

A później ten sam Byron, pisząc o swoim rzekomym podobieństwie do Rousseau, tak oto twierdził:

„...Nie mogę doszukać się żadnego podobieństwa. On pisał prozą, a ja wierszem. On pochodził z ludu, a ja z arystokracji. On był filozofem, a ja nim pod żadnym względem nie jestem. — On nigdy nie umiał jeździć konno, pływać, ani nie był biegły w szermierce, ja pływam doskonale, jeżdżę konno zupełnie przyzwoicie, chociaż nie po kawalersku (w osiemnastym roku życia galopując złamałem żebro) i fechtuję się znośnie, szczególnie szkockim pałaszem. Jestem niezłym bokserem, gdy potrafię opanować swój temperament, co jest rzeczą trudną, ale co staram się zawsze czynić od chwili gdy (w rękawicach) powaliłem pana Purlinga w salach Angelo i Jacksona podczas sparringu w 1806 roku".

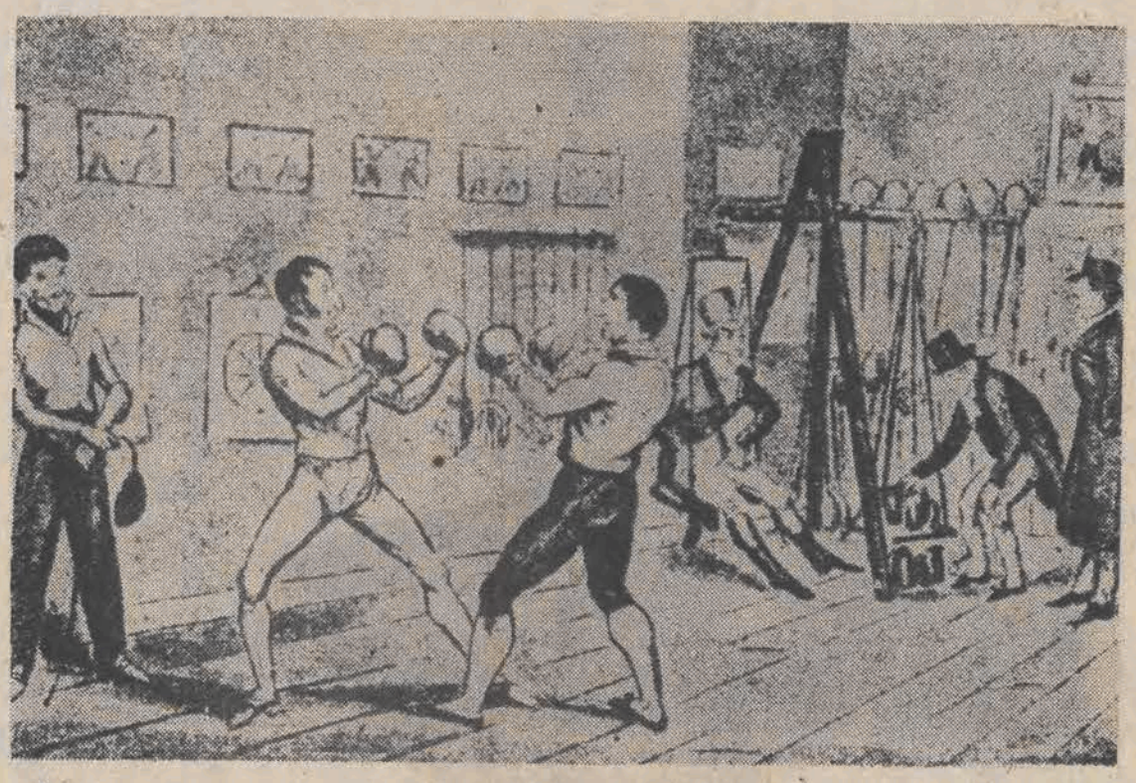

Zajęcia w szkole boksu „Gentlemana" Jacka Johnsona, której uczniem był lord Byron.

Być może lord Byron — jak by to dzisiaj powiedziała nasza młodzież — chciał „szpanować" pośród pań, dystyngowanego arystokratycznego towarzystwa londyńskich salonów, ale z pewnością poeta był urzeczony walką, zmaganiem ze swoimi słabościami, a już sam fakt powalenia pana Jacksona znakomicie świadczył o tym, że sztukę boksowania opanował nie najgorzej. Przecież John Jackson w kołach angielskich był nazywany „Gentlemanem" i w początkach XIX stulecia był jedną z najciekawszych londyńskich postaci. Pod koniec XVIII wieku w walce na gołe pięści zwyciężył niejakiego Daniela Mendozę, zdobywając tytuł championa Anglii, co z racji siły i popularności boksu na Wyspie było chyba równoznaczne z posiadaniem tytułu najlepszego w świecie! Jackson był z wykształcenia lekarzem, człowiekiem o wszechstronnych intelektualnych zainteresowaniach, ale też człowiekiem, który tak zafascynował się walką na pięści, że otworzył pierwszą w historii boksu szkołę, w której nauczał walki brytyjską arystokrację. Popisywał się swoją sprawnością i siłą na dworze królewskim, był zapraszany przed oblicza cara rosyjskiego i króla pruskiego, gdzie toczył walki, niekiedy z wysoko postawionymi osobistościami dworów.

Jakże zabawnie, gdy wspominam czasy Byrona, czytając historyczne zapisy, rysują mi się niektóre głosy rodzimych intelektualistów, widzących w boksie li tylko brutalność, chamstwo, degenerację. Odsyłam ich do lorda Byrona lub też bliższego naszym czasom Jacka Londona, pisarza amerykańskiego o światowej nieprzemijającej sławie. I on, tak jak Byron, właściwie nie trudnił się zawodowo pięściarstwem, ale był jego gorącym miłośnikiem.

Nie był człowiekiem pokroju Byrona, nie obracał się w salonach wśród modelowo ubranych i cudownie ufryzurowanych dam. Wychowywał się w biedzie. Mając 10 lat, trudniąc się sprzedawaniem gazet w Oakland, musiał robić użytek ze swoich drobnych dziecięcych dłoni. Walczył o miejsce dla swojego majdaniarstwa wśród takich jak on chłopaków. Gdy miał lat 15, włóczył się jako tramp po całych Stanach, spotykał się z takimi jak on rozbitkami, chłopcami pełnymi temperamentu. Byli wśród nich i złodzieje, i zwykli poszukiwacze szczęścia i skarbów. Jego fizyczna sprawność i umiejętność posługiwania się pięściami budziły respekt nie tylko rówieśników, ale i dorosłych mężczyzn.

Jack London w latach swojej wędrówki zaprzyjaźnił się z wieloma arcyciekawymi ludźmi, także z zawodowymi pięściarzami, którzy w ten sposób zarabiali na codzienny chleb. Znał ich życie, ich los, wiedział z jakich środowisk pochodzą i jak trudno przedzierali się przez gąszcz burzliwie rozwijającej się Ameryki. A trzeba wiedzieć, że właśnie pod koniec XIX wieku pięściarstwo pochłonęło zainteresowanie młodzieży. Najpierw były to dalsze walki na gołe pięści, a potem już w ramach przepisów markiza Queensberry w rękawicach. W początkach obecnego stulecia London był już dziennikarzem, potem literatem, wielokrotnie relacjonował słynne pojedynki, nawet o tytuły światowe dla amerykańskich gazet. Cóż za barwne to były opisy i jakie fachowe.

Opisując walkę Jacka Johnsona z Jimem Jeffriesem z 1910 roku w Reno w stanie Nevada, London zatytułował korespondencję „The Golden Smile" — czyli „Złoty uśmiech". Była to paralela do słynnego uśmiechu mistrza Johnsona, który nawet w najbardziej dramatycznych dla siebie okolicznościach potrafił przyjaźnie uśmiechać się, czym z pewnością wyprowadzał z równowagi przeciwników.

Przytoczę tylko jedno zdanie... redaktora, specjalnego wysłannika (tak napisałyby dzisiaj dzienniki) Londona:

„...Johnson jest cudowny. Nikt nie rozumie tego śmiejącego się człowieka. Tak, historia tej walki jest historią uśmiechu. Jeśli kiedykolwiek jakiś człowiek wygrał nie używając do tego niczego więcej prócz uśmiechu, to Johnson tak wygrał dzisiaj".

London poważnie traktował swój zawód i poważnie traktował walczących pięściarzy, żywiąc dla nich wiele szacunku. Przed walką w Reno przyjechał na miejsce zmagań 10 dni wcześniej, rozmawiał z obydwoma rywalami, zbierał informacje w obu obozach, nadsyłał dla „New York Herald" codzienne korespondencje.

Jack London wiele swoich opowiadań poświęcił pięściarstwu lub też wplatał boks w ciekawe historie przygód swoich bohaterów. Znał przecież ten sport z autopsji, porównywał go do zwykłej walki o życie. Jakże ładną i szlachetną postacią jest np. londonowski bohater „Meksykanina", który nie mogąc znaleźć środków finansowych wspomagających walkę patriotów z ciemiężcami, rzuca się w wir boksu zawodowego, gdzie zarabia pieniądze, za które zostanie zakupiona broń....

Skoro już jestem przy współcześniejszych czasach i pisarzach, chciałbym przybliżyć od innej strony — powiedzmy bokserskiej — życiorys mojego ulubionego pisarza Ernesta Hemingwaya. Gdy byłem w Hawanie przed paroma laty, przyjaciele zawieźli mnie do niedalekiego domku — muzeum poświęconego wielkiemu pisarzowi. Spoglądając na pamiątki po „Starym Człowieku", przypominałem sobie opowiadanie w całości poświęcone boksowi „50 kawałków". Przypomniałem sobie, że Hemingway, nawet zbliżając się do sześćdziesiątki, lubił zakładać na ręce rękawice i staczać z przyjaciółmi walki sparringowe. W ten prosty sposób sprawdzał swoją sprawność fizyczną, którą zawsze się szczycił. W jego domach zawsze wisiał bokserski, wysłużony skórzany worek wypełniony grochem, a gdzieś obok małe treningowe rękawiczki. W wolnej chwili potężny pisarz lubił sobie potrenować.

Mało kto spośród ludzi związanych z literaturą wie, że Ernest Hemingway w młodości uprawiał boks, a przebywając w Europie zaraz po pierwszej wojnie światowej, imał się różnej pracy. We Francji np. był bokserskim managerem, to znaczy takim facetem, który opiekował się zawodowymi bokserami. Jego najwybitniejszym zawodnikiem był kanadyjski Murzyn Larry Gains, który wsławił się tym, że w 1925 roku znokautował późniejszą gwiazdę światowego boksu Niemca Maxa Schmelinga. Hemingway był człowiekiem pełnym temperamentu, co wyraźnie zaszkodziło mu jako managerowi. W końcu 1924 roku w paryskim cyrku walczył jego podopieczny Young Travet z mistrzem Francji wagi średniej Francisem Charlesem. Travet, bokser o wiele słabszy, dostawał od francuskiego pupila straszliwe baty, ale sędzia ringowy zupełnie nie interweniował wobec bezradności jednego, a wysokiej przewagi drugiego pięściarza. Oburzony tym faktem pan Hemingway wpadł na ring z butlą pełną wody, chcąc powstrzymać demolowanie jego pupila... Fakt ten wywołał w paryskim sportowym (i nie tylko) gronie wielkie oburzenie, co z pewnością przyczyniło się do szybkiego przerwania managerskiej kariery pisarza. Na szczęście, Hemingway zajął się podróżowaniem, czego efektem były późniejsze dzieła, czytane do dzisiaj z wypiekami na twarzy. Hemingway nie zerwał jednak kontaktu z boksem przyjaźnił się z wieloma mistrzami, najbardziej ceniąc Raya Robinsona, wieloletniego mistrza świata kategorii średniej wśród profesjonałów.

Mógłbym, znając niezgorzej historię współczesnego boksu, opisywać związki wybitnych ludzi kultury z pięściarstwem, by przybliżać ten dziwny, acz wywołujący różnorodne emocje sport czytelnikowi. Któż jednak dzisiaj pamięta o tym, że walka na pięści jest najbardziej bliską walką o przetrwanie, o życie. Któż bowiem z młodych może wiedzieć, że ten sport we wcale nie tak odległych czasach był inny od dzisiejszego, tego polskiego, ligowego, oglądanego co tydzień lub dwa w mniejszych lub większych halach, gdzie często bez większego zainteresowania patrzy się na zmagania niedoszkolonych osiłków, potrzebnych do wypełnienia luki w składzie drużyny. O właśnie — drużyny. Odzwyczailiśmy się od wielkich pojedynków asów, które wywoływały emocje i gromadziły tysiące wiernych kibiców. Kibiców z różnych środowisk. Intelektualnych także.

Poczytajmy jednak opisy walk o światowe tytuły w zawodowstwie. W ringu dwaj herosi, a obok na honorowych miejscach senatorowie, gwiazdy filmu i teatru, politycy, pisarze. Przed walką wielkie dyskusje, odwiedziny w szatniach, wspólne fotografie, które obiegają prasę całego świata. Ludzie kultury zbliżali się zawsze do sportu, a do boksu w szczególności. Nie wiem czy imponuje im siła i sprawność bohaterów, czy też po prostu, zwyczajnie, uważają, że tylko w boksie, jak w żadnym innym sporcie, dochodzi do prawdziwej konfrontacji dwóch mężczyzn. Tu w ringu nikt nikomu nie pomoże, tu nie pomogą żadne sztuczki, nawet ten cudowny uśmiech pana Johnsona, tak ładnie opisany przez Jacka Londona.

Boks zrobił światową karierę. Uprawia się go dzisiaj w około 140 krajach świata, a według szacunkowych obliczeń rękawice zakłada około dwóch milionów młodych ludzi. Boks stał się zjawiskiem społecznym, trudnym do wytłumaczenia. No bo jak na przykład można wytłumaczyć fakt, że z jednej strony mówi się o jego szkodliwych dla zdrowia skutkach, a z drugiej w angielskich szkołach podstawowych walka na pięści stanowi część programu wychowania fizycznego. Jak pogodzić to, że głównie w boksie zawodowym co pewien czas w wyniku walki w ringu ginie człowiek, a z drugiej np. w cywilizowanych krajach zachodnich, ludzie ze środowisk intelektualnych przychodzą na salę, by jak lord Byron poćwiczyć sobie ...dla zdrowia.

Ktoś kiedyś napisał, że wraz ze wzrostem stopy życiowej, urbanizacji, intelektualizacji państw i narodów, boks stanie się sportem ginącym, tak jak zginęły starożytne walki gladiatorów. Czy ja wiem? Znam kraje, w których te wszystkie okoliczności znakomicie zaistniały w ostatnim 20—30-leciu, a boks jakby szerzej rozwijał się. Przykłady: proszę — w Europie — wszystkie kraje skandynawskie łącznie z Norwegią, gdzie przez pewien czas pięściarstwo było nawet zakazane, RFN, Francja, Włochy, kraje brytyjskie, nie wspominam o wszystkich krajach socjalistycznych. Z państw europejskich nie uprawia się boksu tylko w Albanii i Islandii. A gdzie indziej? Boksuje się i to wcale nie najgorzej w obu Amerykach, wszystkich krajach afrykańskich, azjatyckich, nawet w krajach Oceanii, gdzie rzekomo młodzież stała się tak wygodna, że już nie chce się jej w ogóle pracować.

Pisząc o boksie w pozytywnych relacjach, proszę o wyrozumiałość tych wszystkich, którym ten sport wydaje się brutalny. Ja go zwyczajnie lubię. I nie dlatego, że kiedyś jako student, a wcześniej uczeń kilkanaście razy wchodziłem do ringu, by staczać walki. Boks jest dla mnie sportem najbardziej uczciwym i prawdomównym, a niczego tak w życiu nie znoszę jak kłamstwa. W kwadracie ringu nie ma oszustwa i nie ma też nienawiści. Tak, tak, nie ma nienawiści do przeciwnika, z którym przez ileś tam minut toczyło się bój, często jak z opisu Homera. Kończy się pojedynek, w uszach jeszcze dźwięczy świst rękawic, a rywale ściskając się podają sobie dłonie, schodzą do szatni, gdzie jeden drugiemu podaje szklankę zimnego napoju i opatruje rozcięty łuk brwiowy.

I nawet jeśli pan Szymon Kobyliński raz na dwadzieścia lat odezwie się, krzycząc na nas wszystkich, tych, którzy lubią boks, gromkim głosem, że to brutalność, że łobuzerka i że trzeba go szybko usunąć z powierzchni ziemi, odpowiem chyba tak: Wiecie komu mogę zaufać, gdy nie daj Boże znajdę się w potrzebie — pięściarskim przyjaźniom. Najtrwalszym, najwierniejszym. Bo boks to samo życie. Niewygodne jak nowe buty, twarde jak więzienna prycza. Ale życie.

— Jestem jeszcze pod wrażeniem waszego meczu z Dynamo Mińsk rozgrywanego i przegranego w Łodzi. Dlaczego graliście tak słabo?

— Trafiliśmy na lepszego przeciwnika. W Dynamo Mińsk gra kilku reprezentantów ZSRR i to akurat w drugiej linii.

— W Widzewie też gra kilku reprezentantów Polski.

— Ale akurat mieli słabszy dzień. Wszyscy mieliśmy słabszy dzień. Już z Górnikiem Zabrze zagraliśmy źle.

— Słyszałam taką opinię, że wówczas markowaliście tylko grę, bo na widowni byli obserwatorzy z Mińska.

— Byliśmy już zmęczeni. Ostatnie 6 czy 7 meczów graliśmy systemem niedziela — środa. Przegraliśmy w Zabrzu, straciliśmy punkty. Źle to wpłynęło na nasze samopoczucie. Mówiąc prawdę straciliśmy wiarę w wygraną z Dynamo. I w meczu tym zagraliśmy tylko trochę lepiej niż w Zabrzu. A to mało.

— Oceniano, że był to najsłabszy mecz Widzewa w pucharach.

— Jest to dopiero mój piąty mecz z Widzewem w pucharach, więc nie mnie oceniać. Ale przychyliłbym się do tej opinii.

— W jakim stopniu decydowała o waszej postawie nieobecność Włodzimierza Smolarka?

— To się w dużym stopniu odbiło na zespole. Włodek zazwyczaj bierze udział w 80 proc. akcji, z których padają bramki. Jeśli sam nie strzela, to podaje innym. W tym meczu, kiedy Dynamo często grało z kontry, Włodek bardzo by się na boisku przydał. Jest przebojowy. Często sam potrafi rozstrzygnąć o wyniku meczu. Brakowało go bardzo. On mógłby — mimo zmęczenia — poderwać zespół do walki. To on najczęściej decyduje o obliczu zespołu.

— Co będzie w Mińsku?

— Będzie ciężej niż w Łodzi. Włodek w szpitalu. Wypadną ponadto: Jurek Wijas, Kamiński i Wraga. Mają po dwie żółte kartki. Będzie to ogromne osłabienie zespołu.

— I nie ma żadnej szansy?

— Będziemy walczyli. Jeśli nie uda się przejść dalej w pucharowych rozgrywkach, to przynajmniej pokażemy dobrą grę.

— Skąd się bierze tyle żółtych kartek za sprzeczanie się z sędzią. Czy nie możecie powstrzymać się przed kłótniami?

— Trenerzy i działacze też nam tak mówią przed wyjściem na boisko. Ale w czasie gry jakoś człowiek o tym zapomina. I jak sędzia na początku nie zareaguje ostro na uwagi piłkarzy, to później człowiek nie może powstrzymać się przed gadaniem.

— Dostał pan żółtą kartkę z tego powodu?

— Tak. Już w Widzewie, w meczu z Wisłą. Dostałem za to naganę. To już moja druga kartka. Jeśli trafi się trzecia, to będę musiał jeden mecz odsiedzieć.

— Dość dawno temu rozmawialam z prezesem Ludwikiem Sobolewskim. Było to po odejściu Bońka, Żmudy i Tłokińskiego z drużyny. Wówczas prezes RTS Widzew zapewniał, że minie sezon, a zespół będzie grał lepiej niż ten stary. Ciągle na to czekam. Czekają kibice. I nic. Jakbyście zgubili widzewski charakter. Dlaczego tak się dzieje?

— Zbyt krótko gram w Widzewie. Trudno mi odpowiedzieć. Mówiłem już, że jesteśmy przemęczeni.

— Gdy ogląda się was na boisku, to widać, że często jesteście wolniejsi od przeciwnika, no i mniej celnie strzelacie. Dlaczego?

— Jak już mówiłem, ostatnio co 3 dni graliśmy mecze, nie było czasu na treningi. Można to nadrabiać meczami, ale jak widać, nie jest to to samo. Mało też czasu poświęca się na treningi strzeleckie. Nie ma więc tego nawyku strzelania z każdej pozycji.

— Dariusz Dziekanowski miał być podporą zespołu, a nie jest. Co się dzieje z tym zawodnikiem?

— Mnie jest trudno i niezręcznie oceniać kolegę. Działacze Widzewa, kupując Darka, wiedzieli co robią. Widzew nie ściąga zawodników, którzy nie pasują do zespołu. Potrzeba chyba jeszcze czasu, aby Darek się całkowicie dopasował.

— Trwa to już trochę za długo.

— Czasami tak bywa. Poza tym, bodaj że w czerwcu 1984 roku, Darek zmienił stan cywilny. A wtedy to już tak jest, że przez jakieś pół roku nie ma się dobrej formy.

— U pana też tak było?

— Też. Ale u Darka mogą być jeszcze i inne przyczyny, że nie może nabrać dobrej formy, że gra tak, a nie inaczej.

— Gdy przeszedł pan z ŁKS do Widzewa, wywołało to spore zdziwienie. Skąd wzięła się pana decyzja?

— Chciałem pograć w pucharach. W ŁKS trzeba było stale bronić się przed spadkiem. Po Mundialu w Hiszpanii wyleciałem z kadry. Przejście do Widzewa musiało mnie zmobilizować do większego wysiłku. W ŁKS grałem przez 11 lat, ale nie bardzo miałem się gdzie pokazać na zagranicznych boiskach. Mogłem to robić tylko jako reprezentant Polski. Gra w Widzewie daje mi większą satysfakcję.

— Jak pan ocenia, czy rezygnacja z pana w meczach kadry po Mundialu w Hiszpanii była słuszna, czy nie?

— Może rzeczywiście grałem nieco słabiej, ale w grę wchodziły chyba i inne powody, o których może się kiedyś dowiem. Tak to przynajmniej odbieram. Ostatnio w lidze grałem dobrze, a mimo to nie byłem do kadry powoływany. Gdy mnie powołano, to odebrałem to tak, jakby mi pozwolono zagrać 50 mecz w reprezentacji i... podziękowano.

— Trener Antoni Piechniczek pana nie lubi?

— O to najlepiej zapytać trenera.

— Konkurenci są lepsi?

— Na pewno konkurenci są, ale gdybym miał szansę rywalizacji, to bym się tego nie bał.

— Co pan myśli o reprezentacji Polski? Co prawda, teraz — po meczu z Albanią — w ogóle trudno mówić o reprezentacji.

— Gdyby mecz z Albanią miał inny rezultat, korzystny dla Polski, to opinie o reprezentacji byłyby lepsze. Nie sądzę, żeby Polacy grali tak źle. Zabrakło trochę szczęścia. Reprezentacja ma za mało kontaktów z innymi drużynami. Przede wszystkim europejskimi.

— A nie sądzi pan, że przyczyna leży w poziomie naszej ligi? Gdyby to od pana zależało, co by pan zrobił, aby liga grała lepiej?

— Przede wszystkim poprawiłbym skuteczność. Strzelanie bramek uatrakcyjnia mecz. Przecież zawodnicy nie wychodzą na boisko z łaski. Oni chcą jak najlepiej, ale że im nie wychodzi, to już inna sprawa. W lidze mało jest takich drużyn, jak Legia czy Widzew. Na przykład Lechia. Gdy drużyna Lechii wychodzi na boisko, to mamy przed sobą 9 obrońców i jednego napastnika. Murują bramkę i można tylko bić głową o ten mur.

— Czy Legia, która zdobyła mistrza jesieni, gra tak dobrze, czy po prostu liga gra tak źle?

— Myślę, że tam nastąpiło przełamanie bariery niemożności. Nastąpiło to i u działaczy, i u zawodników. Oni od dawna chcieli mieć drużynę na miarę europejską, jak było dawniej, ale im to nie wychodziło. Aż wreszcie się udało.

— Niektórzy skarżą się na wadliwy kalendarz rozgrywek ligowych.

— Trzeba przyznać, że tak długiej przerwy zimowej jak u nas nie ma gdzie indziej.

— Czy to źle? Można się przecież lepiej przygotować do rundy wiosennej.

— Niby tak. Ale w tym okresie bardzo ciężko się trenuje. Trening jest dwa razy dziennie. Przed południem człowiek poci się w sali, po południu biega niekiedy po kolana w śniegu i na mrozie. A zdarzają się zimy ciepłe i wtedy biega się po błocie i w deszczu. I tak bez mała przez 2 miesiące. Po takim przygotowaniu, to niby na boisko powinny wyjść bardzo sprawne zespoły. A nie wychodzą.

— No właśnie. Czyżby sugerował pan, że tu jest błąd w przygotowaniu?

co inną ocenę, bo mogę porównywać ŁKS z Widzewem. Różnica — według moich obserwacji — polega w metodach organizacyjnych. W Widzewie, który jest klubem silnym organizacyjnie, wszystko jest podporządkowane piłce nożnej. Widzew ma działaczy, którzy prowadzą mądrą politykę w stosunku do sekcji piłki nożnej. Efektem tej polityki jest to, że drużyna niemal od momentu wejścia do I ligi gra w europejskich pucharach. W lidze stara się zdobywać takie miejsce, które tę możliwość zapewnia.

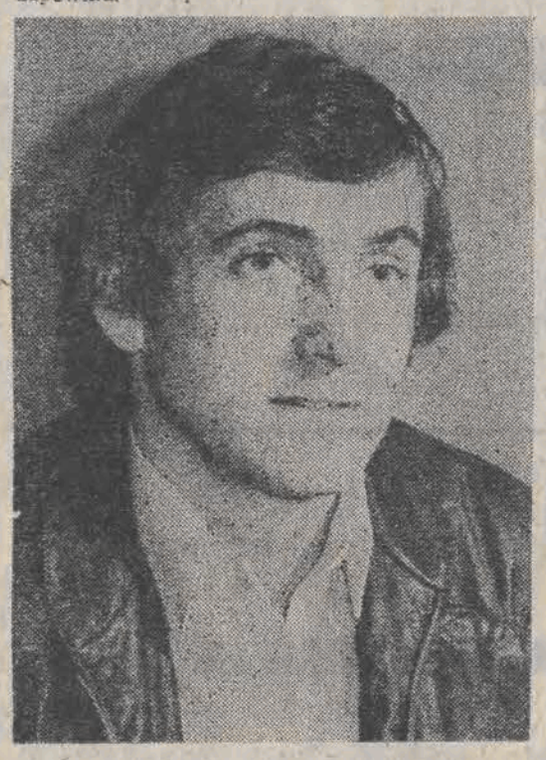

Foto: Grzegorz Gałasiński

Obrońca musi być twardy

Rozmowa z piłkarzem RTS Widzew — MARKIEM DZIUBĄ

— Proszę wziąć przykład Jurka Sadka. Grał w Holandii, po zakończeniu kariery w kraju. Wrócił do Polski i nadal grał w ŁKS. Ale po pięciu dniach treningu w ŁKS miał tego dość. W Holandii trenował o połowę mniej.

Podobnie mówią i inni. Na przykład Andrzej Szarmach. W Polsce wieszano na nim psy, że tak źle gra. Wyjechał do Francji i należy do wyróżniających się tam zawodników.

— Może dlatego, że tam zawodnik sam musi dbać o swoją formę?

— To też odgrywa swoją rolę. Ale nie wolno zapominać, że Szarmach ma już 34 lata i gra dobrze. Lubański ma 37 lat i jest grającym trenerem. Tam po prostu inaczej trenują, a więcej grają. Ale mają znakomite warunki do odnowy biologicznej.

No, i jeszcze liczą się kontakty zagraniczne. Myślę, że naszej lidze potrzeba więcej takich kontaktów.

— Skoro już mowa o lidze, to nie mogę się powstrzymać, aby nie zapytać, co dzieje się z drużyną ŁKS?

— Tak źle dzieje się już od 11 lat. I będzie się prawdopodobnie działo nadal.

— Dlaczego pan tak sądzi?

— Bo w tym klubie nie wszystko jest tak poukładane, jak być powinno. Teraz mam nie-

— A jak jest w ŁKS?

— Inaczej. Działacze chcą zrobić zespół dobry, ale małym kosztem, jak najmniejszymi nakładami finansowymi. Sprowadzają zawodników z A klasy, którzy mogą grać w I lidze, ale pod warunkiem, że w drużynie jest 8—9 doświadczonych zawodników, przy których się czegoś nauczą. Błąd polega na tym, że wypuszcza się młodych zawodników do gry w podstawowym zespole, w którym nie ma doświadczonego trzonu. Wielu doświadczonych zawodników odeszło bowiem z ŁKS. Heniek Miłoszewicz mógł jeszcze grać w ŁKS, ale pozwolono mu odejść.

— Czyja to wina?

— Chyba działaczy. Miłoszewiczowi skończył się kontrakt. Postawił warunki finansowe, których klub nie chciał spełnić i Heniek odszedł.

— Trener Leszek Jezierski nie miał nic przeciw temu?

— Trener Jezierski jest dobrym fachowcem. Ale, jak się ma obok obowiązków trenerskich jeszcze obowiązki organizacyjne, którymi powinni zajmować się działacze, to na skutki długo nie trzeba czekać. Zresztą ŁKS już trzeci raz postąpił z trenerem Jezierskim nie fair.

W innych dyscyplinach ŁKS też nie dzieje się najlepiej.

— Mówi pan to z goryczą.

Foto: Grzegorz Gałasiński

— Grałem przecież w tym klubie 11 lat i nadal życzę ŁKS jak najlepiej.

Przykład drużyny ŁKS ilustruje trochę szersze zjawisko. Mówiliśmy o poziomie gry w lidze. W wielu drużynach nastąpiło to, co w ŁKS. Odeszli doświadczeni zawodnicy. Ich miejsce zajęła młodzież.

— Czy to źle? Oglądając mecze zagranicznych drużyn często słyszy się, że grają tam 21-letni chłopcy. I grają znakomicie.

— U nas młodzi, którzy zajmują miejsca starszych kolegów, są też utalentowani. Na przykład o Wiśle mówiło się, że posiada znakomitą młodzież. Zdobywali mistrzostwo Polski juniorów. A wyników w lidze nie mają. Poprzednio, kiedy w drużynie Wisły grali tacy zawodnicy, jak Antek Szymanowski, Gonet, Musiał, Kmiecik, Maculewicz, to wtedy też wchodzili młodzi: Kapka, Kusto, Lipka, ale oni wpasowywali się do starszego zespołu. Zabrakło tego doświadczonego trzonu zespołu i mamy takie tego efekty, jakie mamy. Dzieje się tak nie tylko w Wiśle. Po prostu młodzi nie bardzo mają od kogo uczyć się dobrej piłki.

— Czy mam to rozumieć, że jest pan w ogóle przeciwny zmianom w drużynach?

— Nie. Jestem tylko za stałą rotacją. Jeśli zawodnik na Zachodzie nie pasuje do drużyny, to na jego miejsce wprowadza się innego, bardziej pasującego. Nikt nie liczy się z sentymentami. Czasem zmiana jednego, dwóch zawodników może odmienić oblicze drużyny. Ale to musi być czemuś podporządkowane. Jeśli nagle z drużyny odejdzie kilku zawodników, to ona też się zmieni, ale też i będzie gorzej grała.

— Grał pan w Hiszpanii. Chciałby pan zagrać w Meksyku?

— Na pewno, ale droga daleka.

— Czy sądzi pan, że Polacy wejdą do eliminacji finałowych?

— Polska nie jest jeszcze na straconej pozycji. Najważniejsze mecze będą wiosną — z Belgią. Jeśli w Belgii nie przegramy, to szanse są.

— Chciałby pan zagrać z Belgami?

— Będę się o to starał.

— A jak pan sądzi, jaką pozycję w lidze zajmie Widzew?

— Mamy ambitne zadania. Spróbujemy walczyć o dwa tytuły. W 1985 roku RTS Widzew ma jubileusz. Będziemy więc walczyć o mistrza Polski i o Puchar Polski.

— Życzę powodzenia! Ale niech mi pan powie, jaki powinien być obrońca. Rozmawiam z panem, jest pan spokojny, skromny, rzeczowy, niemal anioł. Czy taki jest Marek Dziuba na boisku?

— Obrońca powinien być szybki, zwrotny, twardy. I grać fair.

— Ma pan pod okiem pamiątkę z Mundialu w Hiszpanii — bliznę. Jest to pamiątka po Włochu Grazianim. Czy pan też zostawił komuś taką pamiątkę?

— Niestety, tak. I to bardzo przeze mnie cenionemu piłkarzowi, bo Grzesiowi L... mnie ktoś zapytał, z kim chciałby... pomocy, to powiedziałbym, że z Gr... to. Dziś w polskim zespole nie ma... by go zastąpił. Zawsze można było... jego pomoc. Nie zadzierał nigdy nc...

— A jak to było z tą pamiątką?

— To było w Łodzi. Grałem jeszcze w ŁKS. Trenerowi Jezierskiemu powiedziałem, że będę krył Grzesia Lato. Grzegorz chciał mi założyć „siatkę" — puścić mi piłkę między nogi. Zrobiłem wślizg i nieumyślnie oczywiście trafiłem mu kolkiem w udo, rozrywając mięsień. Chciałem zejść z boiska, tak się bardzo tym przejąłem. Ale Grzegorz potraktował to normalnie, jako wypadek przy pracy.

— Kiedy grają hymn polski przed meczem, to niektórzy twardzi ludzie mają łzy w oczach. Czy panu też to się zdarzyło?

— Zdarzało się. Najczęściej w Chorzowie. Gdy te 100 tysięcy ludzi śpiewa hymn, to najsilniejsi nie wytrzymują. Łzy się same cisną do oczu.

— Jak Marek Dziuba widzi dalszą swoją karierę?

— Mam już 29 lat. Będę starał się grać jak najdłużej i najlepiej. Nie uważam się za starego wiekiem zawodnika. Chciałbym jeszcze jakieś dwa, trzy lata pograć w którejś z europejskich drużyn.

— Gdzie?

— We Francji, Holandii, może gdzie indziej. Dziś coraz trudniej wyjechać.

— Dlaczego?

— Po pierwsze — zagraniczne kluby nie mają już tyle pieniędzy, co niegdyś. Po drugie — obrońcom i bramkarzom zawsze trudniej wyjechać. Przykładem tu może być Józek Młynarczyk. Tylko napastnicy nadal są w cenie.

— Może to trochę przykro o tym mówić, ale przecież myśli pan też o dalszym swym losie. Któregoś dnia trzeba będzie zejść z boiska i zakończyć sportową karierę. Co dalej? Myśli pan już o tym?

— Chciałbym zostać przy piłce. Najpierw potrenowałbym jakiś zespół młodzieżowy. Nie ma co się tak od razu rzucać na głęboką wodę. Chciałbym też popracować jakiś czas u boku dobrego, doświadczonego trenera, od którego mógłbym się wiele nauczyć.

— Ma pan już kogoś takiego upatrzonego?

— Wie pani, to jeszcze daleko przede mną. Ale na pewno chciałbym potrenować u boku kogoś takiego, jak Leszek Jezierski.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

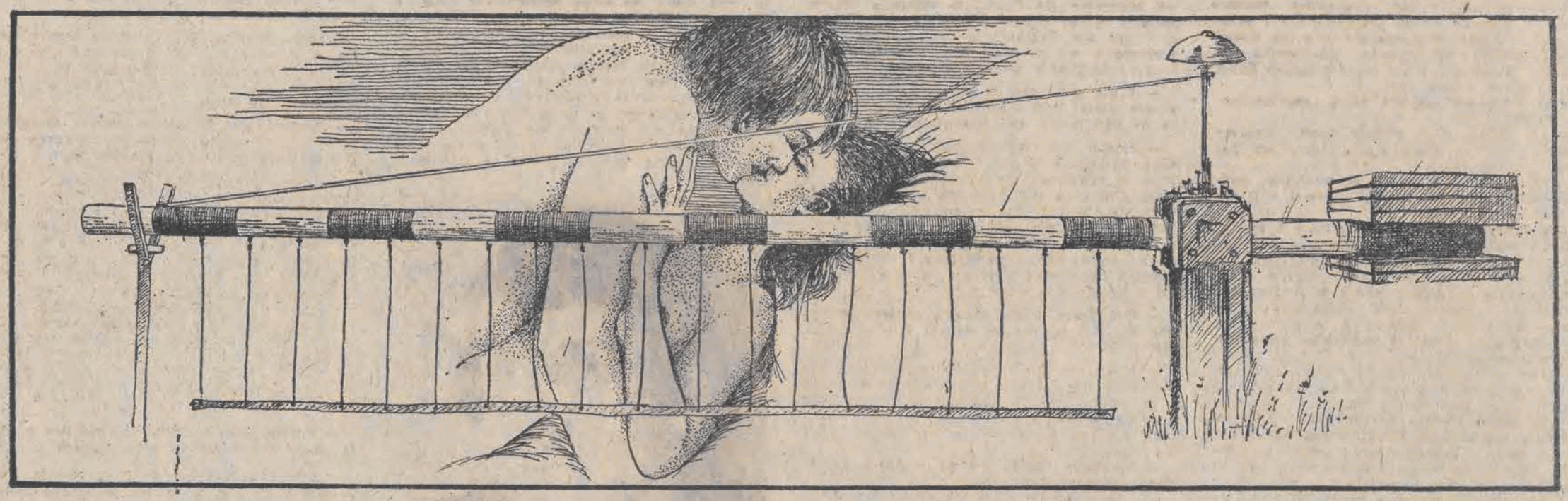

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Podróż poślubna czyli choinka na torach

JAROSŁAW ŁASKI

Grudniowa, mroźna noc z czarnym, niskim niebem. Ostro połyskują bursztynowe gwiazdy potęgując chłód i poczucie nieskończoności.

Przed kilkoma godzinami w obejście Wichroniów z wyciem klaksonów wjechały samochody. To wracali młodzi z kościoła. Pięciu muzykantów powitało ich marszem, a obaj teściowie wyśmienitą przepalanką. Gwar, okrzyki i śpiewy uniosły się nad podwórzem, rozlały się po stężałym śniegu i pomknęły wzdłuż wiejskiej drogi niosąc wszem i wobec nowinę, że oto młody Jacek Wichroń i Ryszarda Balicka wkroczyli na nową drogę życia. Wszem i wobec było jednak wiadome, że będzie to droga szeroka, nawet może solidny gościniec, gdyż żeniły się nie tylko dzieci dwóch gospodarzy, ale łączyły się ze sobą dwie najbogatsze w okolicy rodziny. Jacek Wichroń dopiero co skończył Akademię Medyczną w niedalekiej Łodzi i zamierzał rozpocząć pracę w tutejszym ośrodku zdrowia, zaś Ryśka Balicka, od dziś Ryszarda Wichroń dwa lata temu uzyskała dyplom technika — ogrodnika i już zdążyła sporo zarobić na uprawie warzyw.

Walił głucho bęben, jęczały skrzypce, zawodziła trąbka, postękiwał kontrabas i rzewnie zaciągała harmonia. W odgarniętym śniegu tworzącym spore zaspy pod płotem spali kamiennym snem pierwsi trunkowi.

— Strzemiennego! — wołał stary Wichroń. — Niech im droga lekką będzie!

— Gorzko! Gorzko!

— Wszyscy piją, wszyscy! — Starosta wesołym, choć niepewnym wzrokiem spoglądał na biesiadników. — Bo któż im będzie życzyć tak szczerze, jak my!

— Upływa szybko życie, jak potok płynie czas... — zapiszczała któraś z kobiet, ale zagłuszyła ją muzyka, bo oto młodzi się podnieśli i zaczęli przeciskać się wzdłuż stołów.

— Uważajcie na siebie — szeptała za nimi matka Ryśki. W tyli świat jedziecie...

— Co też mama — uśmiechnęła się Ryśka. — Zakopane to nie tyli świat, zaledwie niecałe czterysta kilometrów.

— Już ja wiem, co mówię — nie ustępowała matka. — Wszystko aby macie?

— Wszystko, mamo, wszystko.

Do stacji kolejowej było ze trzy kilometry. Dobrze już podpity brat Jacka mocował się z silnikiem fiata.

Kiedy walizki wrzucono do bagażnika, a młodzi zajęli miejsca w samochodzie, orkiestra ponownie wytoczyła się przed dom, a za nią rozgorączkowany, parujący tłum. Przy dźwiękach siarczystego marsza auto ostro ruszyło, wykonało niezamierzony piruet, szczęśliwie ominęło słupy podtrzymujące bramę i wypadło na drogę. Trzy kilometry to nie to samo co droga do Monte Carlo, a mimo to mknęli, ile było siły w narowistych koniach mechanicznych. W tej szaleńczej jeździe tuż przed maską pojawiały się na ułamki sekund czarne, zastygłe na mrozie, drzewa, migały oblepione śniegiem znaki drogowe, przesuwały się — raz z lewej, to znów z prawej — jakieś ogrodzenia i mury, by w końcu ustąpić miejsca oświetlonemu podjazdowi przed dworcem kolejowym.

— Cholera — zaklął brat pana młodego. — Przerywa na trzecim cylindrze. Gdyby nie to, zobaczylibyście co porafię.

— I tak pokazałeś klasę.

— Jak wrócicie, zapraszam na przejażdżkę. Specjalnie dla was. A to — sięgnął pod fotel — na drogę, by wam się nie nudziło. — I podał półlitrówkę.

Jacek i Ryśka, na długo przed ślubem, zdecydowali, że wesele weselem, ale oni nie będą trzymać się tradycji. Wynajęli więc u gazdy w Chotarzu, między Zakopanem a Doliną Kościeliską, pokój i czekali na ślub. Właśnie dziś, w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia, zaraz po powrocie z kościoła i krótkim odpoczynku, wyruszali w swoją wielką przygodę.

— Bawcie się dobrze — powiedział brat Jacka. — A ja do rana tak się zaprawię, że aż... nie dokończył, bo właśnie zapowiedziano pociąg do Krakowa.

— Trzymaj się, stary.

— Powodzenia.

— Przyślijcie widokówkę z bacą.

— A ty uważaj jak będziesz wracać. Nie popisuj się, nikt tego nie oceni.

Pociąg nadjechał z lekkim opóźnieniem. Jacek z Ryśką długo machali podskakującemu na peronie chłopcu. Potem zniknęły ostatnie lampy, noc czernią otuliła zaokienny świat i tylko stukot kół świadczył o tym, że zaczyna oddalać ich od domu weselnego rozciągającą się odległość i mijający czas.

W przedziale było duszno, cztery ciemne sylwetki spały w pozycjach powyginanych i śmiesznych. Ryśka usadowiła się prawie pod oknem, Jacek przy drzwiach. Nawet nie można było spokojnie porozmawiać.

Jakiś czas jechali w milczeniu.

— Pić mi się chce — wyszeptała Ryśka.

Jacek podał jej butelkę otrzymaną od brata.

— Wódka?

— Nic innego nie ma.

— Nie, wódki nie chcę.

— Nic to nie. — Jacek pociągnął raz, drugi, odsapnął i znów przytknął szyjkę butelki do ust.

— Może w składzie jest restauracyjny? — zapytała. — Przecież każdy dalekobieżny ma albo wagon restauracyjny, albo bufet.

— Nie zauważyłem.

Nastała cisza.

— Nie wytrzymam — usłyszał szept Ryśki. — Przejdź się i zapytaj konduktora.

Jacek wstał niechętnie, wsunął butelkę pod marynarkę i wyszedł.

W korytarzu było chłodno, gdzieś poskrzypywały nie domknięte drzwi. Podłoga drgała lekko i trzeba było dobrze uważać, by nie zatoczyć się na ścianę, i co nie daj Boże, stłuc butelkę.

Dobrnął do ubikacji, gdzie huczało powietrze w uchylonym oknie i koła dudniły pod podłogą. Odkręcił kurek w kranie, ale wody nie było. Siadł więc na sedesie, pociągnął solidny haust z butelki. Ciepło rozkoszną strugą spłynęło do żołądka.

Czuł się świetnie. Przedmioty były wyraźne i ostre, światło jaskrawo uderzało w oczy. Zawsze był w formie, mógł pić całą noc, a rano szedł zaliczać kolokwia lub ćwiczenia. Taki był z niego twardziel. Pół litra — to żadna dawka, choć w ciągu tych paru godzin za stołem też zdążył zaliczyć co nieco.

W pewnej chwili zapomniał po co tu jest, po co opuścił przedział, w jakim celu siedzi teraz w woniejącym płynami dezynfekcyjnymi ustępie i pije wprost z butelki.

Zerwał się, gwałtownie szarpnął drzwi, zatoczył się, pchnął następne. Mroźny pęd powietrza stłumił jego krzyk, potężny wir obrócił go w miejscu, uniósł i cisnął w ciemność. Poczuł uderzenie w plecy, potoczył się wzbijając tuman białego pyłu, w końcu zarył twarzą w śnieg. Jak przez watę słyszał oddalające się dudnienie pociągu, coraz cichsze i cichsze, aż ustało zupełnie.

Jakiś czas leżał kontemplując ciszę i nieruchomość, w końcu wygramolił się na tory, przetarł oczy i nie namyślając się ruszył w ślad za pociągiem. Nie czuł bólu ani mrozu, szedł lekko choć niezbyt pewnie. Dookoła trwała noc, leżał niebieskawy śnieg, a nad głową drgały gwiazdy. Ale kawał! — chichotał chwilami. — Ale wykręciłem numer!

Skakał z podkładu na podkład, niekiedy podśpiewywał i był pewny, że przecież dojdzie do jakiejś stacji, wsiądzie do oczekującego pociągu i powie do Rysi, że niestety, kochana, w tym składzie nie ma ani wagonu restauracyjnego, ani baru.

Trochę oprzytomniał, gdy znalazł się przed budką dróżniczą. Zapory były opuszczone, a z okien na tory sączyło się żółte światło. Potykając się na stopniach wspiął się na betonową płytę stanowiącą jakby taras i zapukał do drzwi.

Otworzyły się prawie natychmiast, jakby ktoś czekał na jego sygnał. Ujrzał niemłodą kobietę o ciemnej cerze, czarnych gęstych włosach i wielkich oczach.

— Ja... — Zaczął. — Jakby to powiedzieć...

Był obsypany śniegiem, na brwiach, rzęsach i włosach potworzyły się lodowe sople.

— Kim pan jest? — zapytała kobieta. W jej głosie nie było strachu, a raczej ciekawość.

— Ja...

— Wejdźże pan do środka — schwyciła go za rękaw. — Szkoda ciepła.

Jacek przekroczył próg, zatoczył się na ścianę, przewrócił taboret.

Kobieta szybko nalała gorącej herbaty i podała mu kubek. Pił i nie czuł ani ciepła, ani zimna. Było mu nadal wesoło, choć tu, w przytulnym świetle lampy zapragnął nagle położyć się i zasnąć. Nawet się rozejrzał za jakimś posłaniem, ale nic takiego nie dostrzegł, choć cała przeciwległą ścianę zajmowała ni to leżanka, ni to niski tapczan. Dostrzegł natomiast malutką choinkę, ciasto na talerzyku, jakieś mięsiwo.

— Wódki nie ma? — zapytał, choć właściwie chciał zadać zupełnie inne pytanie.

— Jeszcze panu mało? — zaśmiała się kobieta. — Człowieku, jak pan się tu dostał?

— Przyszedłem — powiedział obojętnie.

Kobieta zdecydowanie podeszła do Jacka, ściągnęła z niego marynarkę, spodnie i buty. Słaniającego się posadziła na owej szarej kanapie, a sama zaczęła dokładać do kanonki. W pomieszczeniu zrobiło się duszno od gorąca.

— Wypadł pan z pociągu?

— Nie wiem, chyba tak. Nieważne.

— Jak to nieważne. A bagaż?

Jacek zaśmiał się, jakby nagle przypomniał sobie coś bardzo ważnego.

— Gdzie jest wagon restauracyjny?

— No tak, rozumiem. Chciałeś się napić i pomyliłeś drzwi. — Przeszła na „ty", choć dla Jacka było to obojętne. — Całe szczęście, że nie wyleciałeś na tor. Ech, smarkaczu!

W międzyczasie sprawdziła mu stopy. Nie, nie były odmrożone. I to w taki mróz!

— Siedź i pij herbatę — powiedziała. — Odprawię towarowy i zaraz wrócę.

Siedział i pił, słuchając jak przewala się, dudni, zgrzyta i wali kołami na złączach szyn pociąg. Na stoliku dzwoniły talerzyki, drgała choinka, kołysała się woda w kubku.

Kobieta wróciła i widząc, że gość siedzi bez ruchu wsunęła ramię pod owe szare legowisko i wyciągnęła butelkę wódki. Pili powoli, a Jacek przypominał jakieś fragmenty z wesela, mówił o kościele, o podróży do Zakopanego, o wodzie, której szukał na próżno. Kobieta słuchała i śmiała się samymi oczami.

— Dzisiaj jest twoja noc poślubna, czy nie tak? Ale nic straconego, dobrze trafiłeś. Wynagrodzę ci to. Może nawet będę lepsza. Człowieku, ty nawet nie wiesz, jak dobrze trafiłeś! Irka mi jest, zapamiętasz? A tobie jak? Jacek? Też niebrzydko, nie powiem. No, to jeszcze po jednym. Jedz, jedz, po to są święta, żeby najeść się do syta. Co, gorąco. Zdejm koszulę, o tak, to też, nie wstydź się. Też rozbiorę się jak przepuszczę ten z pierwszej osiemnaście. Potem jest czterdzieści minut spokoju. Zabawimy się. Przed drugą leci towarowy. Wyskoczę i znów będziemy mieli dwadzieścia dwie minuty dla siebie. Czekaj, naleję. No, to po maluchu! jak krzyczał chłop wyrywając kutasa z sieczkarni! Cha, cha, cha! Co, wstydzisz się? Nie ma czego, jesteś całkiem, całkiem. Wychodzę.

Zadudniło, zagrzmiało i ucichło. Już wiedział, że tak huczy osobowy.

Irka wbiegła i od progu zaczęła zrzucać z siebie ubranie. Była to zdrowa, silna kobieta i Jacek pomyślał, że takie zazwyczaj rodzą zdrowe, silne dzieci.

Nastąpił jakiś obłędny, nierealny taniec dwojga ciał. Irka od pierwszej chwili przejęła inicjatywę. Narzuciła tempo. Wynajdywała dziesiątki sposobów, aby rozkosz trwała jak najdłużej. Jacek, który przecież miał spore doświadczenie w tej materii wyniesione z akademika, co rusz dawał się zaskakiwać tej nienasyconej, a przecież znającej cenę przyjemności, kobiecie. Był gotów przyznać, iż cała wiedza zawarta w „Kamasutrze", wszystkie wynalazki pokoleń studenckich nie mogą dorównać wysublimowanym, rozciągniętym w czasie pieszczotom tej zwinnej i mocnej kobiety. Kiedy czuł zbliżające się apogeum, Irka zrywała się, narzucała na gołe ciało płaszcz, wkładała buty, a na głowę czapkę i wybiegała przed budynek. Kolejny pociąg wstrząsnął ścianami i dachem, wprawiał w wibrację talerzyki i kubki, aż oddalał się w nieskończoną ciemność. A ona już była z powrotem, już naga, już zachłanna i ciągle nienasycona. Protestował słabo, jakby od niechcenia, bowiem także czuł się znakomicie, w nieustającej gotowości, pełen radości i przepełniającego go wewnętrznego ciepła.

— A tak lubisz? — pytała i nie czekając na odpowiedź przeginała jego ciało lub sama przyjmowała wprost nieprawdopodobną pozę i on, medyk, dziwił się, że ludzkie ciało jest zdolne do tak skomplikowanych przegięć i łamańców.

— Jak odprawię pośpieszny — mówiła śmiejąc się — pokażę ci coś jeszcze innego. Patrzysz na te blizny? Dawne dzieje. Właściwie głupia sprawa, jakieś uporczywe zapalenie, odporność na antybiotyki, operacja i po jajnikach. A może to i lepiej. Niejednej wystarczy by przeszła obok męskich spodni wiszących na oparciu krzesła, a już zajdzie. Ze mną tego nie ma. Pewniak. Jak w banku.

Przelatywały pociągi, co jakiś czas odzywał się brzęczek telefonu, zegar wybijał godziny, a Jacek stawał się coraz bardziej podobny do kloca drzewa wrzuconego w gwałtowny nurt rzeki. Zatracił poczucie czasu i miejsca. Już nie otwierał oczu, przestał na cokolwiek reagować. Sen walił się czarnym ciężarem na oczy i pogrążał w nieistnienie. Zapadał w ciszę i nieczułość.

Obudził się, gdy przez okna sączyła się biel dnia. Długo wpatrywał się w obcy mu sufit, w rurę od kanonki biegnącą ukosem, w rozwieszoną bieliznę na sznurku. Potem dostrzegł kobietę drzemiącą przy stole, resztki jedzenia, butelki po wódce, przewróconą miniaturową choinkę... Gdzie jestem? — zadawał sobie pytanie i nie znajdował odpowiedzi. Próbował wstać, lecz ostry ból w czaszce powalił go na posłanie.

Jęknął. Kobieta natychmiast zerwała się z krzesełka, podbiegła. Widział jej uśmiech, zmęczone lecz radosne oczy.

— Klin klinem — powiedziała. — Inaczej całkiem oklapniesz. Jacek zmusił się do wypicia wódki.

— Gdzie jestem?

— U mnie. Przyszedłeś w nocy pijaniusieńki w drebiezgi. Co cię tu zaniosło, sama nie wiem. Do najbliższej stacji będzie z dwanaście kilometrów, więc chyba szedłeś po torach...

Nie pamiętał.

— Był mróz, chyba z piętnaście stopni.

Nagle przypomniał: wesele, Ryśka, pociąg do Krakowa...

Zerwał się i natychmiast schował się pod kołdrę. Był nagi. Kobieta widząc jego zawstydzenie, dotknęła chłodną dłonią jego piersi.

— Nie śpiesz się, chyba nie masz zamiaru paradować na golasa po śniegu. Za dzień, dwa, coś wykombinujemy.

— Jak to na golasa?

— A jakie jest wyjście? Zjawiłeś się tu w samej podkoszulce i slipach. Widzisz, suszą się nad rurą. O butach nie wspomnę, zostały tylko cholewki. Więc jak chcesz iść?

— Ależ ja muszę, tam Ryśka...

— Moja zmienniczka zjawi się dopiero po Sylwestrze. Tak się umówiłyśmy. Mamy więc sporo czasu. A tak w ogóle, to jesteś całkiem do rzeczy.

Rozległ się brzęczek telefonu i kobieta wziąwszy żółtą chorągiewkę ociężale ruszyła ku drzwiom.

— Leci towarowy — powiedziała. — Zaraz wrócę. Tu masz herbatę, a tu śniadanie. Wódka pod kozetką.

Doktor Jacek Wichroń zakrył twarz rękami i bezsilnie leżał na przesiąkniętej czymś ostrym pościeli.

W styczniu Jacek zjawił się w domu rodziców i dowiedział się, iż po całym kraju zostały rozesłane za nim listy gończe, przy czym uznano go za zaginionego bez wieści. Ryśka jeszcze nie wróciła z Zakopanego, a z nadsyłanych skąpych listów wynika, że bawi się dobrze, czego także życzy pozostałej rodzinie.

Jacek za nic nie może sobie przypomnieć miejsca, w którym znajduje się owa budka dróżnika, a złożony do protokołu opis kobiety nie pasuje do żadnej z zatrudnionych w PKP dróżniczek.

1 Nagle zastępstwo

Raj reglamentacyjny

Zatelefonował młody obiecujący ekonomista, Jacek A.:

— Chcę ci zaproponować wizytę w miejscu, które pomoże ci zrozumieć lepiej problem reglamentacji. Znów napisałeś felieton, grzeszący idealnym niezrozumieniem sprawy.

Jacek A. prowadził mnie przez miasto i nie zaspokajał mojej ciekawości. Monologował tylko:

— Krytykując najróżniejsze formy reglamentacji, jak na przykład punktów preferencyjnych czy sprzedaż czarnych garniturów wyłącznie nowożeńcom i żałobnikom, lub choćby formy kolportażu nowej książki telefonicznej wtłaczasz wszystko do jednego worka. Tymczasem reglamentacja ma co najmniej dwie odmiany i rozróżnienie między nimi jest warunkiem sine qua non zrozumienia zagadnienia. Otóż ist. niele reglamentacja elitarna i egalitarna. Pierwszym podstawowym systemem reglamentacji elitarnej jest wynagrodzenie za pracę...

— Jak to? — przerwałem — W ustroju sprawiedliwości społecznej płaca jest sprawiedliwym ekwiwalentem, rozdzielanym według, jak powiada klasyk, zasady „każdemu według zasług"

— Teoretycznie, — Jacek A. był lekko zniecierpliwiony — Proponuję, żebyś ekonomisty nie uczył elementarza ekonomii. Płaca jest także stymulatorem wydajności pracy i — co ważniejsze — elementem sterowania produkcją w kierunku pożądanym przez państwo i społeczeństwo. Kiedy na rynku brak jakiegoś towaru czy jakiegoś rodzaju usług, powinny rosnąć płace w tym sektorze, który ten towar produkuje bądź te usługi świadczy..

— Rozumiem — wykrzyknąłem — Kiedy brak na rynku np. medykamentów, rosną płace aptekarzy, kiedy kioski są zawalone prasą, nie ma żadnych powodów, żeby rozpieszczać dziennikarzy wysokimi wierszówkami! Odczuwam to na własnej skórze...

— Znów prymitywizujesz. Akurat brak leków, ale jakoś nie słyszy się narzekań pracowników przemysłu farmaceutycznego na nadmiar pieniędzy A prasę produkują, mój drogi, nie tylko dziennikarze. Zresztą, jednych tytułów brak inne rzeczywiście zalegają kioski. Gdyby — jak to sobie wyobrażasz — można podwyższać produkcję tylko za pomocą rosnących płac, bylibyśmy krajem obfitości.

Doszliśmy wreszcie na miejsce. Jacek A. poszeptał z jegomościem przy wejściu, następnie wprowadził mnie do mrocznego pomieszczenia.

— Rozbierać się — zakomenderował Po chwili dodał — wszystko, dolna bieliznę też.

Zrozumiałem, że jesteśmy w łaźni i dałem wyraz swemu rozczarowaniu. Kiedy jednak przeszliśmy do następnego pomieszczenia, rozczarowanie było jakby mniejsze. Byliśmy w saunie i to nie pierwszej lepszej, bo w saunie koedukacyjnej..

Jacek A. z obojętną miną bywalca pozdrowił obecnych a następnie rozpostarł swój ręcznik, abyśmy mogli na nim usiąść obydwaj. Kontynuował:

— Płaca mieści się w systemie reglamentacji elitarnej. Jedni zarabiają mniej, inni więcej Jednym pracodawca powiada: — oto twoja pensja, za którą możesz nabyć różne przedmioty zbytku. Twoja płaca jest tak wysoka, bowiem społeczne zapotrzebowanie na nią jest duże. Innemu pracodawca powiada: — masz tu swoje grosze, które nie starcza ci do pierwszego. Twoja bowiem praca psu na budę się nie zda i najszczęśliwszy byłbym gdybyś wcale nie pracował. Niestety nie mogę na to iść, bo jako pracodawca humanitarny musiałbym ci zapewnić zasiłek. To demoralizuje, więc rób to co robisz i nie spodziewaj się kokosów.

— Czy słuchasz mnie jeszcze? — zapytał Jacek A. obserwując moje rozbiegane oczka — Nie gap się na te blondynkę ani na tę seksowną brunetkę. To nie uchodzi wśród naturystów. I pamiętaj: jesteś oto w miejscu, w którym żaden system reglamentacji nie obowiązuje. Jak w raju Nikt nic nie ma, nikt nic niekomu nie daje i nikt nic od nikogo nie otrzymuje. Wracając do tematu: reglamentacja elitarna możesz nazwać system talonów na samochody, kredyty dla młodych małżeństw itp itd. Natomiast jedyny system reglamentacji egalitarnej to właśnie system powszechnej reglamentacji niektórych artykułów żywnościowych, czyli kartki. Kartki ma każdy zatrudniony, od premiera do sprzątacza, od przodownika pracy do obiboka. Też jest to rodzaj raju...

Cały paradoks ekonomiczny — ciągnął dalej Jacek A. — polega na tym, że elitarny system wynagrodzeń jest sprzężony z egalitarnym systemem kartkowym. Czyli ponad elitarnym pieniądzem jest egalitarny nadpieniądz, kartki...

— Nic nie rozumiem, a przynajmniej bardzo niewiele — wyznałem ze skruchą — nadal także nie rozumiem, dlaczego mnie tu przyprowadziłeś?

— Popatrz na te smukłą panienkę. Tu, w świecie pozbawionym reglamentacji budzi ona dość mierne zainteresowanie. Możesz się na nią gapić bez ograniczeń. Gdyby była striptizerką, zapłaciłbyś za jej występ i jeszcze ekspensowałbyś się na kolację i trunki Człowiek bowiem kocha reglamentację. Reglamentacja jest motorem postępu ekonomicznego, profanie!

Nadal nic nie rozumiem. Przemyśle to przez święta.

ANDRZEJ KAROL

2 Spojrzenie znad szachownicy

Czekając na Mikołaja

1.

„Czekając na Godota" napisał Samuel Beckett, nie Thomas, tak czy owak jest to kolejny przykry figiel historii, moralne prawo do stworzenia tej sztuki przypada bowiem nam właśnie, Narodowi, który przez parę ostatnich stuleci zbiorowo, warstwowo bądź indywidualnie uparcie czekał na cokolwiek, na przykład na pomoc Francji w czasie powstań i w 1939 roku, na paczki od dobrego wujaszka, albo na to po prostu, żeby ni z tego ni z owego zrobiło się nagle lepiej.

Oczywiście — dorzucam to zdanko, iżby mnie nie zakrzyczano — zawsze znajdowali się ludzie i całe grupy społeczne nie zadowalające się biernym czekaniem: właśnie dlatego istniejemy, mamy swoje własne miejsce na mapie. Mimo wszystko czekanie jest nam lube; niechaj rzuci we mnie kamieniem ten, kto nie zna jakiegoś dziarskiego emeryta mającego dość sił i czasu na wystawanie w kolejkach, a zarazem ani myślącego o podjęciu jakiejkolwiek półetatowej czy, choćby tylko dorywczej pracy, lecz wyczekującego na podwyżkę świadczeń.

2.

Wracając do literatury i do historii. Thomas Becket (piszący się zresztą przez jedno „t"), biskup Cantenbury i prymas Anglii, był kanclerzem, a nawet przyjacielem Henryka II, poważnił się jednak z królem i został — nie bez zgody monarchy — zamordowany w roku 1170. Już w dwa lata później — dla odmiany ku niezadowoleniu króla, obłożonego ponadto ciężkimi karami kościelnymi — Becketa kanonizowano; zwraca uwagę szybkość wydarzeń w epoce nie znającej bądź co bądź telegrafu. Z literaturą ma zaś to wszystko tyle wspólnego, że powstało na ten temat parę głośnych kawałków, między innymi nie grana nigdy w Łodzi sztuka Anouilha „Becket czyli honor Boga".

Samuel Beckett (piszący się przez dwa „tt") też jest kanonizowany, choć na inny sposób, uchodzi bowiem za arcydramaturga XX wieku i biada temu, kto myśli inaczej. Potomek francuskich hugonotów przybyłych z Irlandii w XVII wieku, urodził się w Dublinie, jako młody jeszcze człowiek wyjechał do Francji i tu na przełomie lat 1948/49 stworzył „Czekając na Godota". Na prapremierę i na sławę czekał do 1953 roku, na literacką Nagrodę Nobla dalszych lat szesnaście.

Osobiście podejrzewam jednak, że gdzieś po drodze (może na statku?!) Beckett poznał jakiegoś Polaka, pogadał z nim mało wiele i już wiedział, co ma napisać. Polak oczywiście też wiedział, ale akurat czekał na lepszą pogodę, albo na to, żeby mu się zechciało. W rezultacie Beckett napisał Godota pierwszy, zaś z tej mieszaniny krwi i myśli powstało dzieło zarazem genialnie uniwersalne, jak i prowincjonalnie polskie.

3.

Teraz o Mikołaju. Przyznaję ze wstydem, że nie bardzo wiem, gdzie się narodził, wiem natomiast, iż żadna inna nacja nie potrafi czekać na niego z taką bezbrzeżną ufnością.

Moje dzieciństwo przypadało na lata wojny, mieliśmy swoje doświadczenia, rozpracować Mikołaja nie było tedy trudno. Mniejsza już z tym, że pod brodą i wąsami rozpoznawaliśmy znajomego wujaszka: wysyłanie prawdziwego Mikołaja byłoby przecież niebezpieczne choćby ze względu na godzinę policyjną. Istotniejsze, że zrewidowawszy chyłkiem mikołajowy worek w ogóle nie znaleźliśmy w nim rózgi, którą straszył. Podarki były, a rózgi ani trochę; ba, nawet w przypadkach inscenizacji bardziej realistycznych, gdy Mikołaj rózgę dzierżył w ręku, nie zdarzyło się, aby została ona użyta nawet w przypadku cholernie niegrzecznych dzieci. Optymistyczny morał narzucał się tedy sam: Mikołaj jest udany, podarki prawdziwe, zaś gadanina o rózdze można między bajki włożyć.

I tak już zostało, podobny obraz Mikołaja w wielu z nas utrwalił się na zawsze, z tym iż w miejsce zacnego staruszka podstawiamy sobie równie zacnego pracodawcę albo równie szczodrobliwe państwo. Nie bojąc się ani trochę czekamy na należne prezenty, a jeżeli gdzieś kiedyś Mikołaj się opóźni — podnosimy wrzask aż pod niebiosa.

4.

Recenzując „Czekając na Godota" na łamach „Expressu" rzuciłem myśl jawnie bluźnierczą. Napisałem oto, że inscenizując sztukę w jakimś teatrze satyry, można by zamiast zeschniętego drzewa ustawić na scenie zamknięty kiosk z piwem, a wtedy wszystko stałoby się klarownie jasne.

Vladimir i Estragon czekają oczywiście, aż otworzą, Godot nie przychodzi, bo mu się nie opłaci: kiosk usytuowany jest w mało ruchliwym miejscu, a ci dwaj groszem nie śmierdzą. Co więcej, nie mają ochoty zarobić jest przecież w sztuce moment, gdy oślepły już Lucky przewraca się na ziemię, błaga, iżby mu pomóc, chce nawet płacić, kilkakrotnie podnosząc stawkę. Vladimir i Estragon jakby tego jednak nie słyszeli — gledzą, marudzą, a kiedy wreszcie stawiają Lucky'ego na nogi, zapominają o honorarium.

To ostatnie jest wprawdzie mało realistyczne, należałoby bowiem przedtem poprosić o zaliczkę, a przeszkody wynaleźć dopiero potem, nie zapominajmy jednak, że Beckett co najwyżej zasłyszał coś jednym uchem i naszej rzeczywistości tak zupełnie dobrze nie zna.

5.

Tak zinterpretowany utwór powinien oczywiście otrzymać bardziej nośny i zrozumiały tytuł.: mianowicie „Czekając na Mikołaja". Uzyskalibyśmy wtedy — ku radości teatrów oraz właściwego ministerstwa — pełnokrwistą sztukę współczesną, której tak nam brakuje; mniejsza już z tym, że czystym przypadkiem napisaną przez Irlandczyka i potomka hugonotów.

JERZY P.

3 Lewym okiem

Święta idą!

Idą Święta, a na święta składają sobie ludzie życzenia, najlepsze ze wszystkich życzeń jest też z nich wszystkich najbardziej banalne, bo wszystko najprawdziwsze jest właśnie banałem: obyśmy zdrowi byli. Kiedy się z tymi słowami chyla kieliszek — nie słowa ważne, tylko zawartość kieliszka. Ale w Święta życzenia są szczere, pełne zaangażowania. Naprawdę pragniemy, aby nasi bliscy byli zdrowi, bo im dobrze życzymy.

Niestety, życzenie komuś zdrowia nie ma żadnych szans na realizację, jeśli przedtem nie spełni się kilka innych życzeń, tym razem zależnych nie od losu i różnych uwarunkowań, tylko od solidnego działania ludzkiego. Byłoby ich sporo, ale pozwólcie że wymienię najprostsze, pierwsze z brzegu, a przecież niemal fundamentalne.

A więc życzę Wam, żeby ulice Waszych miast były widne, przynajmniej na tyle, aby nie trzeba było maszerować przebojem kałuża — nie kałuża, dziura — nie dziura, świństwo, schodek, błoto, pętla z drutu (to się też zdarzało).

Żeby pokraczne i ciężkie jak mamuty żelazne śmietniki nie leżały poprzewracane i pogięte na chodnikach, a wokół nich żeby nie rozpełzała się masa cuchnącego śmiecia i odpadków.

Żeby dało się w mieście i w parkach miejskich odróżnić trawnik od nie-trawnika, od zdeptanego na beton, wstrętnego kleiska, po którym chodzi się bez wahania we wszystkie strony, stawia samochody, stragany, wózki, gdzie po deszczu ślizgają się stopy po błocie i nawet psy już nie mają się gdzie wytarzać.

Żeby nie trzeba było słuchać na każdym kroku obrzydliwych, rynsztokowych słów — na każdym kroku: w tramwaju i w lokalu kategorii „S", w kolejce i w poczekalni u dentysty, w kinie i na spacerze. Muszę tu przy okazji powiedzieć, że byłem w ostatnich latach parę razy w różnych krajach. Wszędzie zapytywano mnie: dlaczego Polacy tak strasznie przeklinają? Przecież tego strach słuchać, bo przekleństwo to oznaka wielkiej złości, wzburzenia, afektu!...

I jeszcze życzę gorąco, żeby ceny — te bardzo już wysokie ceny — były przestrzegane w tej swojej zaklepanej wysokości, a to znaczy: żebyśmy nie byli ponadto żywiołowo okradani przez niedoważanie, przeważanie, zamiany, „pomyłki" i przeczenia. Żeby nam nie rzucano z wściekłością na ladę dwudziestozłotówki, o której śmieliśmy się upomnieć jako o należną resztę. Zaraz mi tu powiedzą: nie wszyscy kradną! No tak, nie wszyscy, ale tak wielu, że przypomina się powiedzenie — zdaje się — Gogola: w całym mieście jeden uczciwy, a i to złodziej...

I życzę także, żeby urzędnicy, sprzedawcy, aptekarze, telefonistki — jednym słowem: wszyscy, od których w jakiejś chwili jesteśmy zależni, żeby robili wszystko, aby załatwiać sprawę, a nie — żeby jej nie załatwiać. To zdumiewające jakich wymyślnych pretekstów chwytają się ludzie, żeby czegoś nie zrobić, bo to by mogło być z pożytkiem dla kogoś drugiego. Przykładów nie przytaczam, bo nie mogę zgrać w jednym felietonie tematów na cały szereg tygodni.

I wreszcie najskrytsze marzenie wszystkich rodaków, a więc jego spełnienia życzę serdecznie w Nowym Roku: żeby pomyślane i stworzone ku naszemu dobru urządzenia działały już nie na piątkę, ale tylko na „ledwie dostatecznie". Żeby pociągi kursowały zgodnie z rozkładem, żeby autobusy stawały tam, gdzie są przystanki, żeby telefony naprawdę działały, a poczta niech kursuje tak jak sto lat temu.

Dopiero kiedy z wyliczonych tu życzeń spełni się każde — no, niechby w połowie — dopiero wtedy życzenie „obyśmy wszyscy zdrowi byli" nie będzie żałosną, bezsilną ironią.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

4 Sport

Do garów!

Po felietonie, w którym pisałam o meczu RTS Widzew — Dynamo Mińsk zadzwonił do redakcji kibic. Nie został mnie, niestety, a szkoda. Prosił tylko, aby mi przekazać, że jak się nie znam na piłce nożnej, to lepiej będzie, jeśli będę pisała o przepisach kulinarnych. To nie piłkarze Widzewa są bez formy, a ja. Kazał mi iść „do garów". Tam, ponoć, moje miejsce.

Na transmisję meczu Dynamo Mińsk — RTS Widzew, rozgrywanego w Tbilisi zaprosiłam tym razem Znajomego Pesymistę. Wesoło nie będzie — myślałam — niech więc będzie ponuro. Już zresztą mecz Włochy — Polska nastawił mnie raczej smutno. Choć w grze Polaków jakieś „światełko w tunelu" było już widać. Tylko, że tunel to długi, a światełko nikłe.

Znajomy Pesymista patrzył na ekran telewizora ponuro a jego komentarze budziły czarną rozpacz. Gdy piłkarze Widzewa wymieniali między sobą piłkę, kiwał z politowaniem głową i mówił grobowym głosem:

— Znów nie trafi.

Jedynie gry Henryka Bolesty nie komentował. Musiałby powiedzieć coś dobrego, a nie było go na to widać stać. Po meczu powiedział to samo, co przed dwoma tygodniami Znajomy Optymista:

— To już koniec!

Okazuje się że niezależnie od punktu widzenia, obiektywna rzeczywistość może doprowadzić do takiego samego wniosku. Być może teraz kibic, który dzwonił dwa tygodnie temu do redakcji, znów zadzwoni z pretensjami. Być może uzna, że to tylko moja wina i znów gromko krzyknie: — Do garów! Żeby uprzedzić taką ewentualność śpieszę donieść, iż całkowicie zdaję sobie sprawę, że samopoczucie zależy również od diety. Forma piłkarzy również. Można byłoby tu sparafrazować znane powiedzenie: — Powiedz mi co jesz, a powiem ci jaki jesteś.

Profesor Julian Aleksandrowicz już od dłuższego czasu przekonuje wszystkich, kogo może i kogo nie może, że do sprawnego funkcjonowania organizmu potrzeba nam odrobiny magnezu, a tego magnezu ciągle nam brakuje. Niedostatek magnezu w organiźmie zwiększa jego skłonność do zachorowania na raka. I na inne choroby również. Jeśli ktoś jest bardzo zdenerwowany, agresywny, poirytowany, nieznośny, jeśli czepia się innych, nikomu nie daje spokoju, trudno z nim wytrzymać, to trzeba mu dać filiżankę kakao. I po kilkunastu godzinach spokojny będzie i zrównoważony. W kakao jest bowiem magnez.

Ja wiem, że dziś trudno o kakao. Ale można wybrać się do lasu i nazbierać orzeszków bukowych. Taki spacer po orzeszki bukowe też dobrze człowiekowi zrobi. Magnez jest jeszcze w orzechach włoskich, w soi, w maku. Po świętach, jak pojemy trochę makowców, może będziemy odrobinę spokojniejsi. A trenerowi polskiej reprezentacji radzę z dobrego serca, aby na kilka dni przed meczem pił kakao. Na mecz nie będzie się zrywał z ławki, nie będzie wybiegał prawie na boisko i rozpaczliwie machał rękoma, co kamerzyści uwielbiają pokazywać całej telewizyjnej widowni. Natomiast kibicowi, który tak się denerwował i wykrzykiwał do telefonu, doradzam spacer do lasu po bukowe orzeszki.

A może kibic ów sterol na inne dolegliwości? To się przecież nam zima zdarza. Myślę o bezsenności, braku zdolności do koncentracji, czyli kłopotach z zebraniem myśli. Może się zdarzyć trudność w rozumieniu spraw wydawałoby się najprostszych, a natomiast z łatwością zapominanie wszystkiego tamina „produkująca optymistów". Gdzie jej szukać? W mięsie indyka. Kupcie więc sobie na święta koniecznie indyka. Jest ta witamina również w nasionach słonecznika, w orzeszkach ziemnych, jest w zwierzęcej wątrobie i mięsie tuńczyka.

A w ogóle najlepiej jeść rano na śniadanie kiełki pszenicy. Sportowcy australijscy, już na pół roku przed każdą olimpiadą, zaczynają jeść obowiązkowo właśnie te kiełki. Jest w nich białko, witamina E i F, a także cały zestaw witaminy B, jest żelazo i magnez, jest potas, lit, chrom. Codziennie rano trzeba zjeść dwie łyżki kiełków rozdrobnionych z mlekiem albo też inaczej przygotowanych. Nie wolno ich gotować. Kiełki uprawia się samemu. Najlepiej na oknie, w naczyniach przykrytych gazą, pod którą znajduje się woda. Woda musi dotykać ziaren pszenicy. Nastawia się kilka takich naczyń, aby codziennie mieć świeżą porcję kiełków. Kiełki są dobre na wszystko!

Wszystkim nerwowym polecam jeszcze zioła. Na stany lękowe, histerię, bezsenność, nadwrażliwość i drażliwość najlepsze są: korzeń kozłka, liść mięty pieprzowej, ziele krwawnika, kwiat rumianku, dziegiel, liść ruty i szyszka chmielu. Jeść trzeba dużo owoców i warzyw. Ograniczyć palenie papierosów, picie alkoholu i kawy. Herbatę należy pić słabą.

Wszystko to jest oczywiście dobre i pomaga. Zdrowy człowiek sieje wokół siebie radość. I optymizm Ale to i tak nie zastąpi umiejętności, wiedzy i wytrwałości. A kibic, który się jednak do mnie nie dodzwonił, przyzna mi chyba tym razem rację, że zarówno piłkarzom kadry, jak i piłkarzom Widzewa sporo jeszcze przyjdzie się nauczyć. I jest to chyba naturalne.

A poza tym wszystkim — już znad garów — życzę wesołych świąt!

BOGDA MADEJ

RAPIER NAPOLEONA (8)

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Odetchnął głęboko. Powiadają, że był w młodości nieśmiały, co zdarza się często utalentowanym i wrażliwym ludziom. Utalentowani i wrażliwi ludzie przypominają zwykle bokserów przed pierwszym zatknięciem rękawic. Potem, w walce, stają się odważni i bezczelni.

Stanął przed Lucyną Biust. Muzycy wziąwszy ostatni akord jazzowego standardu „Kansas City Stomp" zmienili tonację i wyprodukowali z werwą rytmiczny utwór Billa Haleva. Napoleon ukłonił się dziewczynie:

— Chodź — powiedział. — Zatańczymy.

— A potem? — zapytała dziewczyna.

— Potem będziemy pić.

Nie wiedziała, kim jest ten drobny, szczupły chłopak. Podniosła się na całą swoją imponującą wysokość, dotknęła brodą napoleońskiego czoła i parsknęła:

— Spieprzaj, malutki.

Napoleon skinął głową i odszedł posłusznie, aby poprosić do tańca inną znajomą dziewczynę, która była po prostu zachwycona.

Nie wysilał się zbytnio, ale to, co pokazał na parkiecie, wystarczyło, żeby zafascynować wszystkie młode damy i zdenerwować wszystkich młodych entuzjastów rocka, szarpiących brutalnie swoje nieszczęsne partnerki dla uzyskania większego efektu.

Rock w owych czasach był tańcem skomplikowanym trudnym, wymagającym od dziewcząt odwagi, a od chłopców solidnej kondycji fizycznej. Istoty niewygimnastykowane i pozbawione refleksu nie miały w tym sporcie żadnych szans. Dziewczęta fruwały niczym ptaki przebywając częściej w powietrzu, niż na ziemi, a chłopcy musieli chwytać je w locie, zarzucać sobie na plecy to z lewej, to z prawej strony i okręcać wokół osi, jak to robią łyżwiarze figurowi z łyżwiarkami.

Tłum szybko zaczął zdradzać jazz dla rocka.

— Bis! — zawrzasnęło kilka głosów.

Orkiestra, aczkolwiek niechętnie, spełniła ten imperatywny postulat. Napoleon tymczasem odprowadził do stolika swoją spoconą i rozgoraczkowaną partnerkę, i ponownie zaatakował Lucynę Biust.

— Zatańczymy?

— A potem co?

— Będziemy się całować.

Dziewczyna wstała z łaskawym uśmiechem, ale kiedy otworzył ramiona, wyminęła go w ostatniej chwili i pociągnęła na parkiet pierwszego z brzegu mężczyznę.

I tym razem Napoleon zachował zimną krew. Rozejrzał się wokół i błyskawicznie dokonał słusznego wyboru, proszac do tańca filigranową, popularną w snobistycznych kręgach plastyczkę, która miała o sobie wysokie mniemanie i w ogóle zadzierała nosa, nie do tego stopnia wszelako, aby spławić reżysera z przyszłością.

Popis, jaki wykonali obydwoje, plasując bez wysiłku, zaledwie na trzy-czwarte gazu, był tak znakomity, iż inne pary ustąpiły im miejsca i zaczęły klaskać.

Every — body — rasil — dasil!

Every — body — rasil — dasil!

A przecież znalazł się człowiek, który postanowił konkurować z reżyserem. Był to znany śródmiejski zabijaka w przeddzień podpisania kontraktu ślubnego ze swoją brzydką i grubą narzeczoną. Przykładnie pijany, rozczochrany, promieniujący ogromną, lecz niezrozumiałą radością życia, próbował za łaskawym pośrednictwem rock and rolla wytłumaczyć ukochanej kobiecie, co ją czeka w najbliższej przyszłości, kto będzie głową domu i tak dalej. Podrzucał ją w tym celu wysoko do góry, a kiedy osiągnąwszy apogeum zaczynała spadać, nie łapał jej, drań, lecz uciekał na stronę i patrzył, jak ląduje z hukiem na podłodze.

Powtarzał tę sztukę raz za razem, przy czym trzeba powiedzieć uczciwie, iż dziewucha przejawiała zdrowe i krzepkie poczucie humoru, przyjmując upadki pogodnie i rechocząc w najlepsze. Wstawała i znowu ruszała w tany ze swoim troglodytą, przypuszczając chyba, że wzmacnia w ten sposób narzeczeńskie więzy.

— Bis, bis! — wrzeszczała sala, kierując ten gorący apel do trzech adresatów jednocześnie: do muzyków, zabijaki i Napoleona. Ten ostatni jednakże był za sprytny, aby kontynuować nierówny pojedynek. Porzucił plastyczkę i zbliżywszy się do zbója z wyciągniętą ręką, oświadczył:

— Gratuluję serdecznie. Jesteś lepszy.

Zbójca przyjął hołd z godnością i zadowoleniem. Krótkim, sugestywnym gestem rozkazał orkiestrze, że ma grać dalej, bo jak nie, to dla wszystkich pięciu muzykusów trzeba będzie zamówić sztuczne szczęki.

No to grali. Sala klaskała i wyła, a matador przystąpił do aktu końcowego. Rozbujał narzeczoną, rozhustał i cisnął pod sufit całą siłą mięśni. Odskoczył. Zakrył swoje zapijaczone oczyska, gdyż był wbrew pozorom człowiekiem poczciwym i nikomu nie życzył śmierci. Rozległ się złowieszczy trzask, a potem wrzask, w związku z czym nasuwał się wniosek, iż ślub może ulec pewnej nieprzewidzianej zwłoce. Kierownik klubu dzwonił już po milicję, ale nim uzyskał połączenie, zbój porwał narzeczoną w ramiona i wyniósł przy pomocy kamratów na schody.

Kiedy orkiestra wznowiła działalność, Napoleon podszedł do Lucyny Biust po raz trzeci:

— Fikniesz? — zapytał.

— Dobra, ale co dalej?

— Dalej możemy się kochać.

— To mi nawet odpowiada — rzekło rezolutne dziewczę, które zdążyło zorientować się wreszcie, iż ma do czynienia z młodzieńcem niepoślednim.

Początkowo tańczyli tradycyjnie, swingowo, ale młodzież była nieustępliwa. Molestowała muzyków:

— Rocka! Chcemy rocka!

Puzonista westchnął, odłożył swój pogięty, przedpotopowy instrument i zaśpiewał do mikrofonu „Rock around the clock". Towarzystwo zaczęło skakać, a Napoleon szybko udowodnił Lucynie, że nie brak mu siły. Nie spocił się nawet i nie zdyszał kręcąc piruety z piękną, ale ciężką Kariatydą. Podrzucał ją do góry i łapał, nagle błysnęła mu jednak śmiała myśl, aby rozwinąć twórczo elementy choreograficzne, które zademonstrował niedawno śródmiejski zbój.

Na twarzy Lucyny Biust pojawiło się przerażenie. Cóż to za figle do cholery?! Wziął ją pod plecy i kolana jak to nieraz bierze się na ręce rannego, i hop! Ona pod sufitem, a on odwrócony. W ułamku sekundy zobaczyła całe swoje dzieciństwo oraz pogrzeb na Dołach odprawiony szybko i bezlitośnie. Już, już miała grzmotnąć o podłogę wagą siedemdziesięciu paru kilogramów, lecz Napoleon okręcił się na pięcie i chwycił ją w ostatniej chwili.

— Nie rób tego więcej, kotku — poprosiła wątłym głosem dziewczyna.

— Jeszcze tylko raz i ślusi — powiedział Napoleon.

Znowu poszybowała w kosmos, a on znowu odwrócił się plecami. Wszyscy oczywiście byli przekonani, że ją złapie, a tu jak na złość chwyciła go jakaś kolka sercowa i skurcz nogi. Wyraz straszliwego bólu i cierpienia malował się na szlachetnym obliczu filmowca. Na dokładkę wstrząsnął jego sumieniem upadek Lucyny, która zawyła rozdzierająco i przeciągle.

Mistrz horroru, przyciskając obie ręce do piersi i ciągnąc za sobą bezwładną, wykręconą w kostce nogę, przyczłapał jakoś do drzwi, otworzył je, zamknął i zbiegł lekko po schodach, chichocząc wesoło.

Lucynka tymczasem również odzyskała siły. Odepchnęła spieszącą jej z pomocą koleżankę i rzuciła się w pogoń za filmowcem, szlochając:

— Zaczekaj, przecież mieliśmy się kochać!

Dopadła go w momencie, kiedy zapalał Lambrettę. Mrugnął do niej:

— Cześć!

Uległa olśnieniu. Była to jedna z owych miłości, które rodzą się nagle.

Krzyczała:

— Możesz zrobić ze mną, co chcesz! Zabij mnie, zgwałć!...

— O nie — powiedział. — Jeszcze nigdy nikogo nie zgwałciłem. I nigdy nie zgwałcę.

Dotrzymał słowa.

Kalifornia

Jak wspomnieliśmy — 11 marca 1977 roku, tuż po incydencie z trzynastoletnią Amerykanką, Napoleon został aresztowany, postawiony w stan oskarżenia, a następnie zwolniony za kaucją 2500 dolarów. W dziewięć miesięcy później, 16 grudnia 1977 roku, ciągle w związku z tą samą sprawą osadzono Napoleona w Stacji Psychiatrycznej państwowego więzienia kalifornijskiego w Chino.

Tych dziewięć miesięcy, a ściślej: jedenaście, bo to, co przeżył w tym sympatycznym amerykańskim pudle, jak i to, co dane mu było przeżyć po wyjściu z niego, również miało swój ciężar gatunkowy — stanowiło w biografii reżysera okres szczególnie dramatyczny i ponury, nawet jeśli wziąć pod uwagę wszystkie jego poprzednie tragedie i szalenie trudne dzieciństwo.

Ameryka znienawidziła Napoleona i postanowiła go zniszczyć! Jednakże w ostatecznym rachunku Polak wygrał mecz z wielkim mocarstwem. Opowiemy o tym po kolei, zastrzegając się wszelako, że utrzymywanie stosunków płciowych z cnotliwymi, choćby nie wiem jak wybujałymi trzynastolatkami, jest ohydne, niemoralne i karygodne, nawet gdyby miało się okazać, że...

No właśnie. Tuż po wypadku, jeszcze przed aresztowaniem reżysera, miało się okazać, że trzynastolatka nie była wcale cnotą. Szpital Parkwood w Los Angeles miał stację dla ofiar gwałtu. Zawieziona tam przez policję wraz z rozhisteryzowaną matką dziewczyna wyznała lekarzowi, że przed Napoleonem współżyła już dwukrotnie, całkiem dobrowolnie, ze swoim szesnastoletnim przyjacielem, przy czym ostatnie zbliżenie odbyło się parę tygodni temu.

Matka była tą wiadomością zaszokowana, natomiast sierżant, który prowadził śledztwo, przyjął to jako rzecz oczywistą. Rosła, wyglądająca w jego oczach przynajmniej na dwadzieścia lat panienka, nie była ani trochę gorsza od tysiąca swoich kalifornijskich rówieśniczek, zaczynających uprawiać miłość radośnie i regularnie w jeszcze młodszym wieku. Ba, wiele z nich brało nawet za to pieniądze. Sierżant znał masę takich historii i będąc człowiekiem uczciwym, zapytywał się w duchu, czy aby przypadkiem domniemana ofiara nie zaniżyła trochę ilości dotychczasowych stosunków, i czy przypadkiem aby... ach!...

Szpitalne laboratorium doniosło, że pobrane do analizy próbki z pochwy i odbytu nie wykazały płynu nasiennego. Stwierdzono niby obecność tego płynu w majteczkach dziewczyny, ale...

Sierżant uderzył się w piersi. Sam odbierał te majteczki przed godziną, kiedy to zaalarmowany przez matkę złożył panience wizytę w domu i przeprowadził z nią pierwszą rozmowę.

— Daj mi majteczki — powiedział.

— Po co?

— Jeśli prawdą jest wszystko to, co mówisz i jeśli mamy posłać tego drania na parę lat za kratki, muszę dostarczyć sądowi dowodów.

— Ale...

— Mów.

— Nie mam ich na sobie.

— Więc je przynieś.

Dziewczyna wyszła i po kilku minutach wręczyła mu jedwabne, figi.

— Jesteś pewna, że to właśnie te?

— Tak.

Sierżant pokiwał głową. Wierzył. Ale potem, w szpitalu, kiedy dziewczyna była już po badaniach ginekologicznych, opadły go wątpliwości. Czemu nasienie było tylko w majtkach? I czemu matka, dowiedziawszy się o tym, zdradza tak chorobliwe, niepokojące oznaki radości.

— „A widzicie?! A widzicie?!

— Co widzimy?

— Że ten bydlak zgwałcił moją córkę.

Myśli sierżanta pobiegły w innym kierunku. Nawet jeśli majtki były rzeczywiście własnością dziewczyny, pierwszy lepszy, byle jaki adwokat Napoleona łatwo obali ten dowód przed sądem, chyba że... chyba, że on, uczciwy kalifornijski gliniarz, powie, iż dziewczyna zdjęła je przy nim. Nie zrobi tego jednakże. Będzie zeznawał w zgodzie ze swoim sumieniem, a wówczas... wówczas adwokat roztoczy przed Wysokim Trybunałem całą gamę innych możliwości. Mogły to być na przykład majtki, które dziewczyna miała na sobie podczas swojej ostatniej randki z szesnastoletnim kolegą. Mogły to być również majtki należące do starszej siostry dziewczyny, a siostra ta, jak sierżant zdołał ustalić, grzeszyła często i chętnie z różnymi partnerami. Mogły to być w końcu majtki szanownej mamusi, której obyczajność też pozostawiała dużo do życzenia. Samo to, że żyła na kocią łapę z mężczyzną, i że szła z nim często do łóżka w biały dzień, jęcząc bezwstydnie i zawodząc w obecności córek było wystarczającym powodem, aby panieneczkom poprzestawiało się w głowie.

Oj, dałby w pysk! Z tego Polaka też oczywiście lepsze ziółko, ale... jeżeli uwodni, iż nie wiedział, ile dziewczyna ma lat, trudno będzie go skazać. Nie wiadomo także, co też ów Polak kryje w zanadrzu przeciwko mamusi. Może przecież powiedzieć, że cała afera jest niczym więcej, jak wrednym i ukartowanym spiskiem lichej aktorki, której nie zatrudnił w filmie i ona teraz się mści. A jeśli naprawdę tak było? W Los Angeles wszystko jest możliwe.

Przeklęte miasto — myślał sierżant przyrzekając sobie, że tak czy owak da reżyserowi zdrowo w kość. Nie lubił po prostu jego filmów.

Z prawniczego punktu widzenia naczelnym błędem Napoleona było to, iż w momencie aresztowania nie umiał utrzymać języka za zębami.

Wedle Thomasa Kiernana, amerykańskiego publicysty, sierżant wspominał później:

— „Facet był poważnie zdumiony, tokował bez przerwy, a ja próbowałem go skłonić do milczenia, gdyż wszystko, co teraz mówił, mogło być użyte przeciwko niemu. Musiałbym zeznawać w sprawie tych jego wypowiedzi w wypadku, gdyby doszło do rozprawy sądowej. On nie chciał po prostu mnie słuchać. Nie miał pojęcia, co to znaczy być aresztowanym w Ameryce".

Właśnie protesty Napoleona przekonały sierżanta, że reżyser wie dokładnie, dlaczego jest aresztowany.

— „Czuł pismo nosem. Im więcej mówił, tym bardziej przyznawał się do przestępstw, którymi go obciążano. Sądzę, iż w oczywisty sposób dał świadectwo temu, że był razem z dziewczyną, że poszedł z nią do łóżka, i że wiedział, ile smarkula ma lat. Wzbraniał się tylko przyznać, że dał jej tabletkę. Pytałem go o to, gdy jechałem z nim wozem policyjnym na posterunek. Jeśli chodzi o tabletki, był nadzwyczaj ostrożny. Nie wahał się natomiast rozmawiać na temat seksu, chociaż nie rozumiał, co kogo może obchodzić, z kim on sypia. Robił to już z wieloma dziewczętami, które młodsze były od tej trzynastki i nikt nigdy nie martwił się o nie.

Kopał sobie coraz głębszy dół. Myślał, że zdoła mnie przekonać, i że zwolnią go z aresztu. Twierdził, że to wszystko jest jednym wielkim nieporozumieniem. Dziewczyna postępowała zgodnie z własną wolą. Może to i prawda? Mówił o tym bardzo sugestywnie, ale nie zmienia to faktu, że smarkula skończyła dopiero trzynaście lat".

Mimo chwilowego współczucia dla Napoleona, sierżant zdawał sobie sprawę, że wnosi przeciwko niemu bardzo poważny zarzut. Biuro prokuratora okręgowego uskarżało się ciągle, że pracownicy policji nie dostarczają wystarczająco mocnych dowodów i dostatecznie wiarygodnych świadków, aby sprawy karne mogły być prowadzone żwawiej. Tym razem — myślał sierżant — nie będą mieli powodów do narzekań. Napoleonowi zdjęto odciski palców i sfotografowano go, a sierżant złożył asystentowi prokuratora dokładny raport o wyniku swoich dochodzeń.

Asystent, młody człowiek, nie ukrywał zadowolenia. Zatarł ręce:

— To z pewnością będzie świetna sprawa. Powinna być dla nas okazją do zdobycia rozgłosu.

— Jest pan bardzo pewny siebie — rzekł sierżant.

— Ano, jestem, — przytaknął asystent. — A wie pan dlaczego?

Sierżant wzruszył ramionami.

— Człowieku, to był pana pomysł! — wypalił asystent. — Nasi chłopcy nakryli przed chwilą kobietę, która jest przyjaciółką tego gwiazdora, Jacka.

— Gdzie ją nakryli?

— Właśnie w jego domu, tam, gdzie nasz ukochany polski przyjaciel zabawiał się z trzynastolatką. Ponieważ mieli nakaz rewizji mieszkania, zrewidowali przy okazji tę damę i wie pan, co przy niej znaleźli?... Kokainę i haszysz. Stanie przed sądem. Chyba, że... potwierdzi, iż była świadkiem jak Polak leżał z tą małą w łóżku".

Skądinąd wiadomo że przyjaciółka wielkiego aktora rzeczywiście odwiedziła jego dom w chwili, kiedy Napoleon robił swojej nieletniej modelce zdjęcia.

C.D.N.

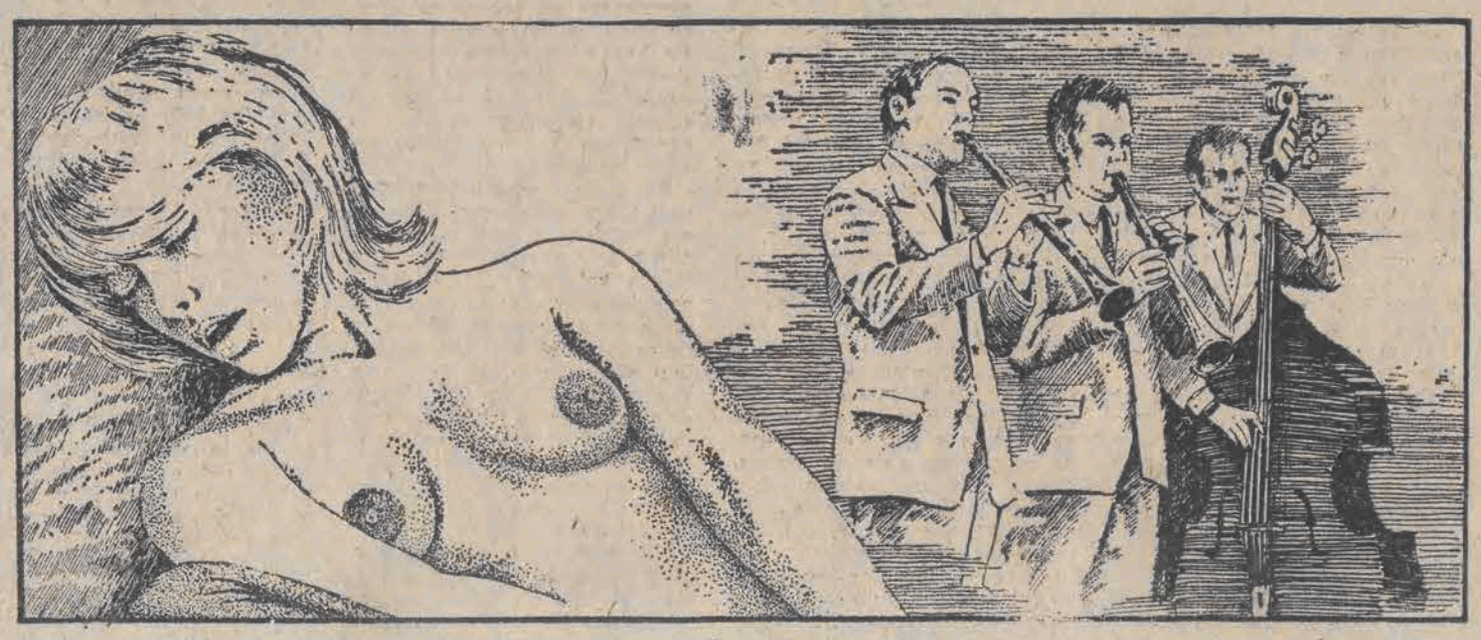

Rys. Janusz Szymański-Glanc